
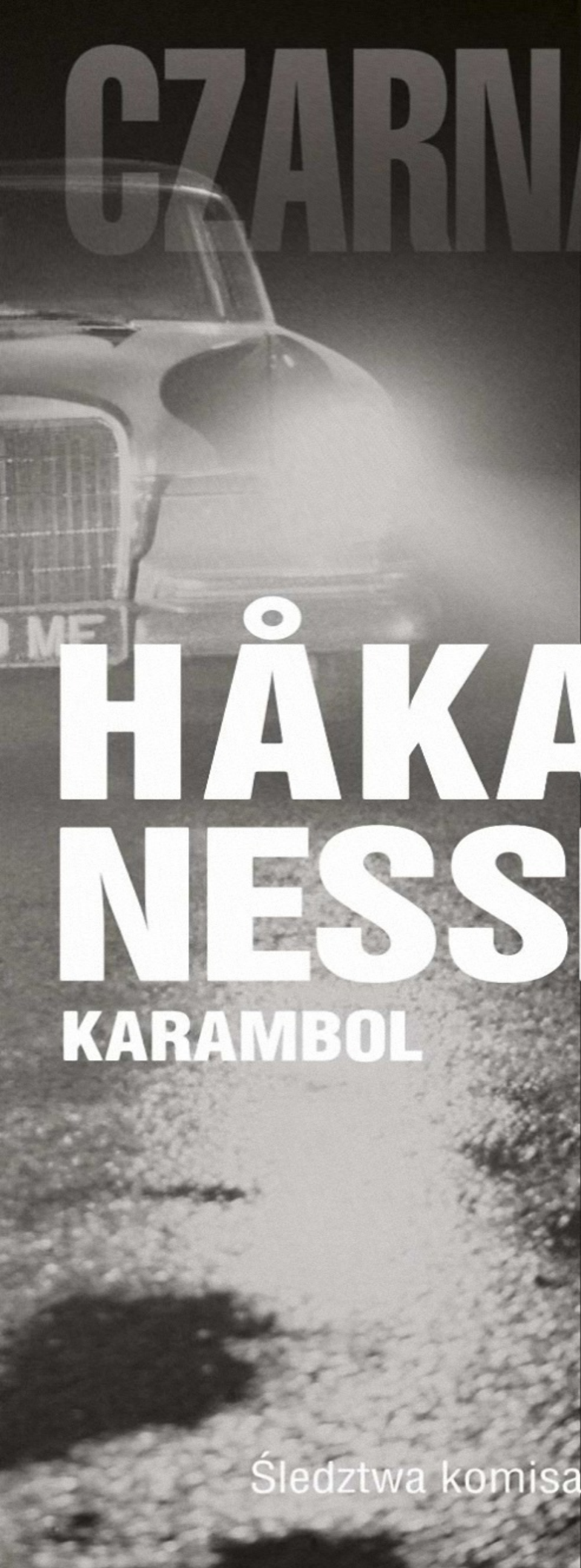


**CZARNA SERIA**  
KRYMINAŁ



**HÅKAN  
NESSER**

**KARAMBOL**

Śledztwa komisarza Van Veeterena

# **HÅKAN NESSER**

## **KARAMBOL**

przełożyła Małgorzata Kłos

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2014

*Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.*

*Szanujmy cudzą własność i prawo.*

*Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)*

*Polska Izba Książki*

**Cykl kryminalny Håkana Nessera o komisarzu Van  
Veeterenie:**

Nieszczelna sieć  
Punkt Borkmanna  
Powrót  
Kobieta ze znamieniem  
Komisarz i cisza  
Sprawa Münstera  
Karambol

**W przygotowaniu:**

Sprawa Ewy Moreno  
Jaskółka, kot, róża, śmierć  
Sprawa G

Tytuł oryginału  
*CARAMBOLE*

Redakcja  
Małgorzata Denys

Projekt graficzny serii  
Magda Kuc

Projekt okładki  
Panczakiewicz ArtDesign

Zdjęcia na okładce  
Bert Hardy Advertising Archive/ Hulton Archive/ Getty Images/ Flash Press Media  
Iolanda Astor/ Age Fotostock/ Getty Images/ Flash Press Media

Korekta  
Ewa Jastrun

DTP  
Paulina Labus

Copyright © Håkan Nesser, 1999  
First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden  
Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2014  
Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Kłos

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie II

ISBN 978-83-7554-862-4

Wydawnictwo

---

**CZARNA  
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
e-mail: [wydawnictwo@czarnaowca.pl](mailto:wydawnictwo@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51  
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Skład wersji elektronicznej:  
Virtualo Sp. z o.o.

W naturalnym porządku rzeczy  
ojcowie nie grzebią swoich  
synów.

Paul Auster, *Czerwony notatnik*

I



# 1

Chłopak, który wkrótce miał umrzeć, zaśmiał się i uwolnił się z uścisku. Strzepnął z koszuli okruchy po chipsach i wstał.

– Muszę lecieć – powiedział. – Naprawdę muszę. Ostatni autobus odchodzi za pięć minut.

– Wiem, wiem – odparła dziewczyna. – Nie mogę cię przenocować. Boję się, co by powiedziała mama. Wróci za kilka godzin. Dzisiaj ma wieczorną zmianę.

– Szkoda – odpowiedział chłopak, wciągając przez głowę grubego sweter. – Fajnie, jak bym mógł zostać. Moglibyśmy... no...

Zawahał się i nie dokończył zdania. Uśmiechnęła się i chwyciła go za rękę. Nie puszczała. Wiedziała, że tak tylko gada. Że udaje. Nigdy by się nie odważył, pomyślała. Taka sytuacja by go przerosła. Przez moment nawet się zastanawiała, czyby się nie zgodzić, żeby został.

Tylko po to, żeby zobaczyć jego reakcję. Żeby sprawdzić, czy pociągnie temat, czy też zrzuci maskę.

Chciała, żeby przez chwilę uwierzył, że zgadza się położyć się z nim nago w łóżku.

Bez wątplenia miałyby z tego niezły ubaw. Sporo by się o nim dowiedziała, ale jednak dała sobie spokój. Zaniechała tego pomysłu. To by było nie fair. Miała o nim zbyt dobre zdanie, żeby pozwolić sobie na egoizm i podobne kalkulacje. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to darzyła go ogromną, ale to przeogromną sympatią, tak więc prędzej czy później pewnie i tak do tego dojdzie. Wylądują nago pod jedną kołdrą. Przeczynała to przez ostatnie tygodnie, nie było sensu zaprzeczać faktom.

Będzie jej pierwszym. Ale nie dziś.

– Kiedy indziej – powiedziała i puściła go. Przesunęła dłonią po włosach, które naelektryzowały się od śliskiego obicia sofy. – Choler-

ne samce, tylko jedno wam w głowach.

– Aha... – odparł i zrobił odpowiednio zawiedzioną minę.

Wyszedł do przedpokoju. Dziewczyna poprawiła sweter i poszła za nim.

– Moglibyśmy być cicho i udawać, że śpisz. A rano wymknąłbym się, zanim twoja mama się obudzi... – dodał, żeby zbyt szybko nie kończyć tego wątku.

– Zrobimy to następnym razem. W przyszłym miesiącu mama pracuje na nocną zmianę. Może wtedy?

Pokiwał głową. Założył buty i zaczął się rozglądać za szalikami i rękawiczkami.

– Kurde, zostawiłem u ciebie książkę do francuskiego. Przyniesiesz ją?

Przyniosła. Kiedy zapiął budrysówkę, znów zaczęli się przytulać. Przez wszystkie warstwy ubrań czuła, że mu stanął. Przycisnął się do niej mocno i na chwilę zawirowało jej w głowie, ogarnęła ją niemoc. Przyjemne uczucie. Jakby spadała, nie musząc się martwić o lądowanie. Zrozumiała, że nic łącząca rozsądek i uczucia, mózg i serce jest faktycznie słaba, tak jak ostrzegła ją matka podczas poważnej rozmowy, którą któregoś dnia odbyły przy kuchennym stole.

Nie ma na czym polegać. Rozsądek wart jest tyle, co chusteczka, w którą się smarka, kiedy jest już po wszystkim, powiedziała mama, a wyglądała przy tym, jakby wiedziała, co mówi.

Bo i jak miałyby nie wiedzieć. Miała za sobą związki z trzema facetami, ale żaden – jeśli dobrze ją zrozumiała – nie okazał się wart tego, by z nim zostać. A już na pewno nie jej ojciec. Przygryzła wargę i odepchnęła go od siebie. Zaśmiała się nieco zawstydzony.

– Lubię cię, Wim – powiedziała. – Naprawdę. Ale musisz już lecieć, bo autobus ci ucieknie.

– Ja też cię lubię. I twoje włosy...

– Włosy?

– Są przepiękne. Gdybym był jakimś małym stworzonkiem, to chciałbym w nich mieszkać.

– Ależ... – Uśmiechnęła się. – Chcesz powiedzieć, że mam wszy?

– Skądże. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Chodzi mi tylko o to,

że jeśli umrę przed tobą, to mam zamiar odrodzić się jako stworzonko, które zamieszka w twoich włosach. Tak żebyśmy już na zawsze byli razem.

Nagle spowaźniała.

– Nie wolno w ten sposób mówić o śmierci – powiedziała. – Bardzo cię lubię, ale nie gadaj tak bez troski o umieraniu, proszę.

– Przepraszam. Nie pomyślałem o...

Wzruszyła ramionami. Miesiąc wcześniej zmarła jej babcia. Trochę o tym rozmawiali.

– Nie szkodzi. I tak cię lubię. Widzimy się jutro w szkole.

– No. Dobra, naprawdę muszę już iść.

– To nie odprowadzać cię na przystanek?

Pokręcił głową i otworzył drzwi na klatkę.

– Nie wygłupiaj się. To tylko dwadzieścia metrów stąd.

– Lubię cię – powiedziała dziewczyna.

– Ja ciebie też – powiedział chłopak, który wkrótce miał umrzeć. – I to bardzo.

Przytulili się ostatni raz, po czym ruszył biegiem po schodach.

Mężczyzna, który wkrótce miał zabić, chciał już być w domu.

W łóżku albo w wannie, sam nie wiedział gdzie bardziej.

A może zaliczę i to, i to, pomyślał, ukradkiem zerkając na zegarek. Najpierw porządna, gorąca kąpiel, a potem do łóżka. Po co obstawiać albo-albo, skoro można mieć i jedno, i drugie? Mój Boże, spędził z tymi półgłówkami ponad cztery godziny... cztery godziny! Rozejrzał się wokół stołu i zaczął się zastanawiać, czy któryś z nich czuje się podobnie. Czy któryś jest równie znudzony, jak on.

Nie wyglądało na to. Na wszystkich twarzach gościły uśmiechy. Pewnie po części na skutek alkoholu, ale i tak widać było, że jego koledzy są zadowoleni z życia i z towarzystwa. Sześciu facetów w kwiecie wieku, pomyślał. Odnoszą sukcesy, nieźle im się powodzi, to znaczy o tyle o ile. Może tylko Greubner wygląda na nieco zmęczonego i nie w formie, ale to pewnie przez rozpadające się małżeństwo.... Albo przez firmę. No właśnie, a może i jedno, i drugie?

Dość już tego, postanowił i wlał w siebie ostatnie krople koniaku.

Otarł serwetką kąciki ust i wyrazem twarzy dał do zrozumienia, że chce wstać od stołu.

– Chyba powinienem już... – zaczął.

– Tak szybko? – zapytał Smaage.

– Tak, jutro przecież jest zwykły dzień. Zresztą chyba nie mamy już nic więcej w planach.

– Heh – odparł Smaage. – No to jeszcze po koniaczku. Heh.

Mężczyzna, który wkrótce miał zabić, wstał.

– Chyba jednak powinienem już... – powtórzył i celowo nie dokończył zdania. – Panowie, życzę dobrej nocy. Nie zabawcie tu za długo.

– Twoje zdrowie – powiedział Kuijsmaa.

– Pokój z tobą, bracie – dodał Lippmann.

Kiedy już stał w holu, nagle poczuł, że absolutnie nie pomylił się, sądząc, że wlał już w siebie tyle, ile trzeba. Założenie kurtki sprawiało mu trudności, do tego stopnia ewidentne, że wytatuowany osiłek z szatni zadał sobie trud, by wyjść z za lady i mu pomóc. Niewątpliwie kłopotliwa sytuacja. Pospieszył więc schodami w dół, a potem na rzeńskie, nocne powietrze.

Czuć było nadchodzący deszcz. Zresztą połyskujący bruk na rynku świadczył o tym, że całkiem niedawno pokropiło. Niebo wyglądało na niespokojne, więc pewnie przyjdą kolejne opady. Zawiązał szalik, wetknął ręce do kieszeni i ruszył Zwille w stronę placu Grote, gdzie zaparkował. Krótki spacer dobrze mi zrobi, pomyślał. Wystarczy kilkaset metrów i człowiekowi od razu przejaśnia się w głowie. A chyba tego mi trzeba.

Kiedy mijał oświetlone wejście domu handlowego Boodwick, zegar umieszczony na budynku wskazywał dwadzieścia po jedenastej, ale plac Ruyders Plejn był już ciemny i opustoszały niczym zapomniany cmentarz. Nad Langgraacht zaczęła się zbierać mgła, a idąc przez most Eleonorabron, poślizgnął się kilka razy. Musiało być około zera stopni. Powtórzył sobie w myślach, że musi uważać z samochodem. Szklanka na drodze i promile we krwi to kiepskie połączenie. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie wziąć taksówki, ale w pobliżu żadnej nie było widać, więc dał sobie spokój. Wiedział zresztą, że ju-

tro rano będzie potrzebował samochodu, a zostawianie go na noc na placu Grote też nie wydawało się dobrym pomysłem. Wprawdzie ostatnio zainstalował nietani alarm, ale wiadomo przecież, jak to bywa. Dla zwinnych złodziejasków żaden wyczyn włamać się do auta, zwinąć stereo, a potem ukryć się, zanim ktokolwiek zdąży zareagować. Ano, nie mam wyjścia, stwierdził z rezygnacją i skręcił w Kellnerstraat.

No i, co też nie było całkiem bez znaczenia, zdarzało mu się już prowadzić na cyku. I to kilka razy, a nigdy nie miał z tego powodu nieprzyjemności. Idąc przez plac w stronę czerwonego audi, próbował podliczyć, ile wypił tego wieczoru. Miał jednak co do tego sporo wątpliwości i nie udało mu się dojść do żadnej sensownej konkluzji. Otworzył więc samochód pilotem i rozsiadł się za kierownicą. Wpakał do ust cztery pastylki na gardło, odpalił silnik i zaczął rozmyślać o kąpieli z pianą.

Z płynem eukaliptusowym, postanowił. Zerknął na zegarek. Były dwie minuty po północy.

Autobus odjechał w tej samej chwili, kiedy chłopak wybiegł z domu.

Najpierw odruchowo podniósł rękę, żeby go zatrzymać. Potem puścił kierowcy porządną wiązanę, przyglądając się, jak tylne światła autobusu znikają na drodze pnącej się po wzgórzu w stronę uniwersytetu.

Niech to! Dlaczego akurat dzisiaj wieczorem musiał przyjechać zgodnie z rozkładem? Cholerny pech.

Chociaż kiedy spojrzął na zegarek, zorientował się, że autobus był pięć minut spóźniony, tak więc mógł winić tylko siebie.

Siebie i, rzecz jasna, Katrinę. Na samą myśl o niej zrobiło mu się weselej. Zdecydowanym ruchem poprawił plecak, naciągnął kaptur na głowę i ruszył przed siebie.

Pewnie zajmie mu to czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt minut, ale na pewno dotrze do domu tuż po dwunastej. Jakoś to przeżyje. Wprawdzie mama będzie czekać na niego przy kuchennym stole, tego mógł być pewien. I będzie patrzeć tym osowiałym, pełnym wyrzutów spojrzeniem, które wyćwiczyła przez lata, przydając mu tragizmu

godnego niemego dramatu. No ale świat się od tego nie zawali. Każdemu może uciec autobus, zdarza się nawet w najlepszych rodzinach.

Przy cmentarzu Keymer zawahał się, czy iść na skróty, czy nie. Postanowił jednak iść dłuższą drogą. Cmentarna kaplica i groby nie wyglądały zachęcająco, a już na pewno nie o zmroku i nie w chłodnej mgle nadchodzącej znad ciemnych kanałów i rozpełzającej się po ulicach i ścieżkach. Sprawiała wrażenie, jakby wkrótce miała całkowicie spowić miasto nocnym welonem. I to raz na zawsze.

Chłopak się wzdrygnął i przyspieszył kroku. Mogłem zostać, pomyślał. Zadzwońbym do mamy i powiedziałbym, że przenocuję u Katriny. Trochę by zrzędziła, wiadomo, ale jaki miałyby wybór? Przecież uciekł mi ostatni autobus. Taksówka była za droga, a o tej porze i w taką pogodę nastolatki nie powinny się wypuszczać na samotne spacerunki.

Mama by go do tego nie zachęcała.

Było to jednak tylko gdybanie. Twardo szedł przed siebie. Skąpo oświetloną dróżkę i ścieżkę rowerową w parku pokonał niemal biegiem, tak więc na główną drogę dotarł szybciej, niż sądził. Wziął głęboki oddech i nieco zwolnił kroku. Jeszcze tylko ostatni odcinek, pomyślał. Długa, monotonna wędrówka wzdłuż głównej drogi. Cóż, gdyby ktoś był wybredny, to i ta trasa nie wydawała się zbyt przyjemna. Pobocze dla pieszych i rowerzystów było wąskie – należało się trzymać cieniutkiego pasa dzielącego ulicę od rowu, a samochody jeździły szybko. Nie wprowadzono tu żadnego ograniczenia prędkości, a oświetlenie było kiepskie.

Dwudziestominutowa przechadzka ciemną drogą w listopadzie. Ledwo uszedł kilkaset metrów, a już chłodny wiatr rozgonił mgłę i się rozpadało.

Cholera, pomyślał. A mogłem teraz leżeć w łóżku Katriny. Nago z nią u boku, jej ciepłym ciałem, czułymi dłońmi, nogami i piersiami, na których prawie już mu się udało położyć ręce... Cóż, widocznie ten deszcz to znak.

Mimo to nieprzerwanie szedł przed siebie. W deszczu, wietrze i ciemnościach, rozmyślając o tej, która miała być jego pierwszą

dziewczyną.

Miała, ale nie była.

Wcześniej zaparkował trochę krzywo, więc teraz musiał ostrożnie wycofać. Kiedy już sądził, że jakoś mu się to udało, prawym bokiem zahaczył ciemnego opla.

Niech to, pomyślał. Dlaczego nie wziąłem taksówki? Ostrożnie otworzył drzwi i zerknął do tyłu. Stwierdził, że to tylko niewielkie obtarcie, nic, czym należałoby się przejmować. Ot, bzdura. Zamknął drzwi. Szyby są całe zamglone, a widoczność minimalna, wytłumaczył sam sobie. To też ma swoje znaczenie.

Darował sobie jednak refleksję nad tym, jakie dokładnie może to mieć znaczenie. Szybko odjechał z placu i ruszył wzdłuż Zwille. Ruch był nieduży, wyliczył sobie, że za kwadrans, góra dwadzieścia minut powinien być w domu. Czekał na czerwonym na Alexanderlaan, zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno ma jeszcze ten eukaliptusowy płyn do kąpieli. Kiedy włączyło się zielone, zagapił się i zgasł mu silnik. Szybko odpalił na nowo i docisnął gaz... Ach, ta przekłeta wilgoć. Na skrzyżowaniu skręcił trochę zbyt gwałtownie i zahaczył o wysepkę.

Rzecz jasna tylko przednim kołem. Nic takiego się nie stało. Nic a nic. Wystarczy to zbyć uśmiechem i jechać dalej, przekonywał sam siebie, jednocześnie jednak uświadomił sobie, że jest bardziej pijany, niż mu się wydawało.

Cholera. Muszę uważać, żeby trzymać się drogi. Niedobrze by było, gdybym...

Opuścił nieco szybę i włączył nawiew na pełne obroty, żeby przynajmniej odparować wóz. Potem przez dłuższą chwilę jechał z przepiśową prędkością, przemierzając Bossingen i Deijkstraa, gdzie od trzydziestu pięciu lat nie uświadczyło się drogówki, a kiedy już dotarł do głównej drogi, okazało się, że niepotrzebnie martwił się o szklankę na ulicy. Zamiast przymrozku nadszedł solidny deszcz. Włączył wycieraczki i po raz setny tej jesieni przeklął własną opieszałość i to, że jeszcze ich nie wymienił.

Jutro, pomyślał. Jutro z samego rana podjadę na stację. Przecież to

szaleństwo prowadzić, kiedy się nic nie widzi...

Później nie umiał określić, czy najpierw zareagował wzrok, czy słuch. W każdym razie najbardziej utkwił mu w pamięci głuchy stuk i lekkie drgnięcie kierownicy. W pamięci, a potem w snach. Nie od razu zorientował się, że uderzenie i dygot mają coś wspólnego z tym, co przez ułamek sekundy mignęło mu z prawej strony. To znaczy nie od razu trafiło to do jego świadomości.

Nie, dopóki nie zaczął hamować.

Nie, dopóki nie było po wszystkim, to znaczy dokąd nie minęło tych pięć–sześć sekund, które musiały upłynąć, zanim udało mu się zatrzymać samochód i ruszyć biegiem po mokrej nawierzchni.

A kiedy tak biegł, na myśl przyszła mu matka. Przypomniał sobie, jak podczas choroby – to musiało być na początku szkoły – siedziała przy nim i trzymała mu chłodną dłoń na czole, a on bez przerwy wymiotował: żółtozielona breja w czerwonym plastikowym wiadrze. Tak bardzo go wtedy bolało i tak miło było czuć tę chłodną dłoń. Zastanowiło go, dlaczego, na Boga, akurat o tym teraz myśli. To wspomnienie sprzed ponad trzydziestu lat, a o ile dobrze pamiętał, chyba nigdy wcześniej go nie przywoływał. Matka nie żyła już od ponad dziesięciu lat, nie mógł więc pojąć, czemu stanęła mu przed oczami właśnie teraz. Ona i cała ta...

Omiał go nie minął, zauważył dopiero w ostatniej chwili. Zanim się zatrzymał, już wiedział, że nie żyje.

Chłopak w ciemnej budrysówce. Leżał w rowie, dziwnie powyginany, z plecami na wycementowanym podłożu i z twarzą zwróconą wprost na niego. Jakby się w niego wpatrywał, próbując go zaczepić. Jakby coś chciał mu powiedzieć. Rysy częściowo zakrywał naciągnięty na głowę kaptur, ale prawa strona twarzy – ta, która, jak można się było domyślić, uderzyła o cement – była odsłonięta wręcz... obscenicznie, jak na sekcji.

Zatrzymał się, próbując opanować odruch wymiotny. Taki sam, co do tego nie miał wątpliwości, jak tamten przed trzydziestu laty. Obok przejechały dwa samochody, każdy w inną stronę, ale chyba nikt nie zwrócił na niego uwagi. Uświadomił sobie, że cały się trzęsie, wziął dwa głębokie wdechy i zszedł do rowu. Po kilku sekundach zamknął



i otworzył oczy. Pochylił się i ostrożnie sprawdził chłopakowi puls, zarówno na nadgarstkach, jak i na zakrwawionej szyi.

Jednak puls nie było. Kurwa, pomyślał, czując, jak ogarnia go panika. Niech to szlag, muszę... muszę... muszę...

Nie udało mu się jednak sprecyzować, co musi. Ostrożnie wsunął ręce pod ciało, przykucnął i podniósł chłopaka. Załupało mu w lędźwiach, dzieciak był cięższy, niż przypuszczał, może przez te przemoczone ubrania. To znaczy o tyle, o ile cokolwiek przypuszczał. Bo i po co miałyby się wdawać w takie przypuszczenia. Problemem okazał się plecak. I głowa. Wciąż opadały, jakby się zawzięły. Zauważył, że krew z kącika ust spływała chłopakowi prosto do kaptura. Mógł mieć najwyżej piętnaście–szesnaście lat. Piętnastoletni chłopak... mniej więcej w tym wieku co syn Greubnera. Zorientował się po tych nie w pełni dojrzałych rysach twarzy, które było widać mimo obrażeń. Całkiem ładny dzieciak, mógłby wyrosnąć na przystojniaka.

Ale nie wyrośnie.

Dłuższą chwilę stał w rowie z ciałem w objęciach, a w głowie kotłowały mu się myśli. Zbocze dzielące go od jezdni miało nie więcej niż metr, ale było strome, a przez deszcz także śliskie i zdradliwe. Wątpił, żeby udało mu się utrzymać na nim równowagę. Na razie nie mijały go żadne samochody, ale gdzieś w dali słychać było zbliżający się moped. A może motor. Kiedy przejechał, okazało się, że to skuter. Oślepił go reflektor, aż zmrużył oczy. Zapewne – tak przynajmniej tłumaczył to sobie później – zapewne to właśnie ten moment oślepiającej jasności sprawił, że znów zaczął działać.

Działać i myśleć racjonalnie.

Ostrożnie odłożył ciało do rowu. Zastanawiał się, czy nie wytrzeć zakrwawionych rąk w trawę, ale zrezygnował. Wdrapał się z powrotem na jezdnię i szybko ruszył do samochodu.

Zauważył, że wcześniej odruchowo wyłączył silnik, ale zostawił włączone światła. I że deszcz leje z siłą rozszalałego żywiołu. Zorientował się też, że mu zimno.

Usiadł za kierownicą i zamknął drzwi. Zapiął pas i odjechał. Teraz widział lepiej, zupełnie jakby deszcz oczyścił szyby także od środka.

Nic się nie wydarzyło, pomyślał. Nic a nic.

Czuł pierwsze objawy zbliżającego się bólu głowy, ale wtedy znów na myśl przyszło mu wspomnienie chłodnej dłoni matki i nagle nabrał zupełnej pewności, że w butelce z płynem eukaliptusowym znajdzie się jeszcze kilka kropli.

## 2

Po przebudzeniu najpierw poczuł niewymowną ulgę.

Trwała trzy sekundy, potem zrozumiał, że to wcale nie był sen.

To zdarzyło się naprawdę.

Ulewny deszcz, nagłe drgnięcie kierownicy, śliski rów – to wszystko była rzeczywistość. Ciężar chłopaka w jego ramionach i krew skapująca do kaptura.

Przez dwadzieścia minut leżał w łóżku jak sparaliżowany. Tylko od czasu do czasu przechodził go dreszcz. Najpierw pojawiał się w stopach, potem przenosił się w górę ciała, żeby na końcu rozbłysnąć w głowie białymi ognistymi językami. Za każdym razem miał wrażenie, że błyski trafiają w którąś z kluczowych części mózgu i świadomości. Zmrażają ją lub wypalają, tak, by już nigdy nie mogła funkcjonować.

To jak lobotomia, pomyślał. Przechodzę operację lobotomii.

Kiedy zjadliwie czerwone cyfry na zegarku wskazały 07:45, podniósł słuchawkę i zadzwonił do pracy. Wyjaśnił łamiącym się głosem, że rozłożyła go grypa i że musi zostać w domu kilka dni.

Tak, tak – grypa.

Niestety, istny pech, ale tak wyszło.

Po prostu poleży w łóżku, wystarczy, że weźmie jakieś proszki i będzie dużo pił.

Tak. Tak. Nie.

Wstał pół godziny później. Stanął przy oknie i wyjrzał na posępną ulicę, typową dla przedmieść. Deszcz już ustał, ustępując miejsca ciężkiej, szarej porannej mgle. I kiedy tak stał, powoli wróciła ta myśl, która, jak pamiętał, towarzyszyła mu wczoraj wieczorem, ale też później, kiedy to zdesperowany leżał przez kilka godzin, zanim wreszcie udało mu się zasnąć.

Nic się nie wydarzyło. Nic a nic.

Przeszedł do kuchni. W składziku miał nieotwartą butelkę whisky. Glenalmond, które latem przywiózł z urlopu. Odkręcił nakrętkę i wypił dwa solidne łyki. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej robił coś takiego – by pił whisky prosto z butelki. Nie, nigdy mu się to nie zdarzyło.

Usiadł przy stole, oparł głowę na rękach i czekał, aż alkohol rozejdzie się po ciele.

Nic się nie wydarzyło, pomyślał.

Potem nastawił ekspres i zaczął analizować sytuację.

W porannych gazetach nie znalazł żadnej wzmianki. Ani w „Telegrafie”, który prenumerował, ani w „Neuwe Blatt”, po którą wyszedł do kiosku. Przez chwilę nawet udało mu się wmówić sobie, że to jednak był sen, ale kiedy tylko przypomniał sobie deszcz, rów i krew, zrozumiał, że to nie ma sensu. To się wydarzyło naprawdę. Wszystko było równie realne, jak ta butelka whisky na stole. Jak okruchy wokół toster. Jak jego ręce, którymi bezsilnie i mechanicznie przewracał kolejne strony. Potem zrzucił gazety na podłogę i na nowo chwycił za butelkę.

Zabił młodego chłopaka.

Prowadził po pijaku i zabił piętnasto- czy szesnastoletniego chłopca. Stał w rowie, w deszczu, i trzymał w ramionach jego martwe ciało, a potem je tam zostawił i wrócił do domu.

Tak to właśnie wyglądało. I nic nie dało się już zrobić. Niczego się nie cofnie.

Dopiero kilka minut przed dziesiątą włączył radio. Wiadomości o dziesiątej rozwiały jego wątpliwości. Młody chłopak. Prawdopodobnie wracał do domu w Boorkhejm. Zwłok jeszcze nie zidentyfikowano.

Szczegółowo opisali miejsce wypadku.

Do zdarzenia doszło w nocy. Prawdopodobnie między godziną jedenastą a pierwszą. Ciało znaleziono dopiero dziś rano.

Najpewniej chłopak zginął na miejscu.

Świadków brak.

Najpewniej też przejechał go samochód. Kierowca nie mógł nie zauważyć, co się stało. Wszyscy, którzy w nocy jechali obok miejsca wypadku, oraz ci, którzy mogą mieć jakieś informacje, proszeni są o zgłaszanie się na policję. Policja chce się skontaktować ze wszystkimi, którzy...

Miejsce odgrodzono taśmami, wprawdzie deszcz utrudniał pracę, ale zabezpieczono część śladów. Poszukuje się kierowcy, który zbiegł z miejsca wypadku... Ponowny apel do wszystkich, którzy...

Wyłączył radio. Wcisnął w siebie jeszcze dwa łyki whisky i wrócił do łóżka. Leżał dłuższą chwilę, a w głowie kotłowały mu się myśli. Niech będzie, co ma być. Wystarczy podjąć decyzję.

Po pierwsze: chłopak w rowie był martwy i to on był winien jego śmierci.

Po drugie: cokolwiek by zrobił, i tak nie przywróci chłopakowi życia.

Po trzecie: nic nie zyska na tym, że się przyzna. Nic.

Wręcz przeciwnie, rozwinął ostatni wniosek. Bo po co za jedno stracone życie płacić kolejnym? Jego własnym?

Kiedy jego myśli wkroczyły na ten tor, poczuł wreszcie, że zmierza w dobrym kierunku. W końcu zaczął myśleć jak on. W końcu. Teraz wystarczy tylko być silnym. Nie dać się złamać.

I tyle.

Po południu zajął się sprawami praktycznymi.

Wyczyścił samochód. Zarówno na zewnątrz, jak i w środku. I choć uważnie przyglądał się prawej stronie maski i prawemu bokowi, to nie mógł się dopatrzeć ani śladu szkód. Przypuszczalnie trafił chłopaka dość nisko, może zderzakiem na wysokości kolan. Może to było tylko lekkie uderzenie. Wyglądało na to – stwierdził, kiedy odtworzył w pamięci scenę w rowie – wyglądało na to, że fatalne zakończenie wypadku było raczej wynikiem upadku chłopaka na cementowe podłoże, a nie samego zderzenia na jezdni. A to, w pewien perwersyjny sposób, sprawiło, że ciężar winy nieco zelżał. Takie miał wrażenie. Chciał, żeby tak było.

Jedyny niepokojący ślad znajdował się w samochodzie, na siedze-

niu kierowcy. Była to ciemna, owalna plama, mniej więcej wielkości jajka, z prawej strony, na krawędzi beżowego obicia. Miał podstawy sądzić, że to krew, poświęcił więc pół godziny, próbując ją zmyć. Na darmo. Plama tkwiła na miejscu, widocznie wżarła się głęboko w materiał. Postanowił zatem nabyć w najbliższych dniach pokrowiec frotté. Byle nie za szybko... może po tygodniu, kiedy sprawa już trochę przycichnie.

Ślady krwi były też na kierownicy i na skrzyni biegów, ale ich usunięcie nie przysporzyło mu wielu problemów. Natomiast ubrania, które miał na sobie poprzedniego wieczoru, uważnie pozbierał i spalił w kominku w salonie, robiąc przy tym sporo dymu. Kiedy już skończył, nagle spanikował na myśl, że ktoś mógłby o nie zapytać. Szybko jednak się uspokoił. Przecież to niedorzeczne – zarówno to, że trafią na jego ślad, jak i to, że będą mu się kazali tłumaczyć z takich drobnostek. Para sztruksów? Stara marynarka i szaroniebieska bawełniana koszula? Przecież mógłby się ich pozbyć na sto uzasadnionych sposobów: wyrzucić, oddać na zbiórkę odzieży, cokolwiek.

Ale to i tak bez znaczenia, bo przecież nie trafią na jego ślad.

Po południu, kiedy już zaczęło zmierzchać i się rozpadało, poszedł do kościoła. Do starej bazyliki Vroon leżącej jakieś dwadzieścia minut piechotą od jego domu. Przez pół godziny siedział w bocznej nawie z zaciśniętymi dłońmi i próbował się wsłuchać w głosy dobiegające z jego wnętrza, a może też gdzieś z góry, nie usłyszał jednak żadnego wezwania, nie dojrzał żadnego znaku, który mógłby go zaniepokoić.

Wychodząc z pustego kościoła, zrozumiał, jaką wagę miała ta wizyta. Jak istotne było to, że poświęcił trochę czasu, żeby posiedzieć przed ołtarzem, tak po prostu, bez żadnych intencji i oczekiwań. Bez obłudy i fałszywych pobudek.

Za swego rodzaju potwierdzenie uznał to, że wytrwał w swoim postanowieniu.

Dziwne, ale kiedy opuszczał ciemną nawę, towarzyszyło mu poczucie siły i determinacji. Przeżył swoiste katharsis. Po drodze do domu kupił dwie gazety, w obu na pierwszej stronie było zdjęcie chłopaka. To samo, choć w dwóch innych powiększeniach. Szeroki uśmiech, dołeczki w policzkach, lekko skośne oczy i ciemne, zaczesano na

czoło włosy. Bez kaptura, bez krwi. Nie poznał go.

Po powrocie do domu przeczytał, że chłopak nazywał się Wim Felders. Przed zaledwie kilkoma dniami skończył szesnaście lat i uczył się w liceum Wegera.

W obu gazetach pełno było szczegółów, zarówno faktów, jak i spekulacji. Nagłówek z trzeciej strony „den Poost” dobrze podsumowywał powszechny stosunek do sprawy:

### POMÓŻ POLICJI SCHWYTAĆ PIRATA

Nieco uwagi poświęcono też ewentualnym konsekwencjom, jakie czekają sprawcę, jeśli policja go wytropi. Wyglądało na to, że dwa do trzech lat to całkiem prawdopodobny wyrok.

Do tego doliczył spożycie alkoholu – które przecież łatwo mógł potwierdzić trzeźwy personel restauracji – i wyszło mu jakieś sześć lat. Co najmniej. Jazda po pijanemu. Spowodowanie zagrożenia bezpieczeństwa ruchu drogowego i przyczynienie się do śmierci drugiej osoby. Słowem, piractwo.

Pięć–sześć lat za kratkami. I na co by się to zdało? – pomyślał. Kogo ucieszyłyby taki obrót spraw?

Wyrzucił gazety do śmieci i wyciągnął butelkę whisky.

### 3

Chłopak śnił mu się przez trzy noce, potem zniknął.

Zresztą podobnie rzecz się miała z gazetami. Pisali o Wimie Felder-sie w piątek, sobotę i niedzielę, ale kiedy zaczął się kolejny tydzień pracy, doniesienia ograniczyły się do krótkiej notki informującej, że policja wciąż nie natrafiła na żaden trop. Nie pojawili się żadni świadkowie, brakowało też potwierdzonych dowodów rzeczowych – cokolwiek takie sformułowanie mogło znaczyć. Chłopaka przejechał nieznanymi kierowca, który później, pod osłoną deszczu i nocy, zbiegł z miejsca zdarzenia. Czyli po czterech dniach wiedziano tyle co na początku.

W poniedziałek wrócił do pracy. Dzięki temu odczuł ulgę, ale też wdroył się na nowo w dawny rytm. Życie znów zaczęło się toczyć swoim torem, znanym, a jednocześnie dziwnie obcym. Nieraz w czasie dnia nachodziła go refleksja nad tym, jak cienka jest granica między codzienną rutyną a grozą.

Jak cienka i łatwa do przekroczenia.

Po pracy pojechał do supermarketu w Löhr, gdzie kupił nowe pokrowce na fotele. Od razu udało mu się znaleźć zestaw w kolorze niemal identycznym jak ten, który miał wcześniej. Kiedy wieczorem z pewnym wysiłkiem udało mu się założyć elastyczną tkaninę, poczuł, że nadszedł finał, że oto postawił nawias zamykający tę sprawę. Uporał się ze środkami bezpieczeństwa, które wcześniej, po pewnym wahaniu, postanowił przedsięwziąć. Zrobił, co mógł, zatarł wszystkie ślady, a jednocześnie, nie bez zdziwienia, zorientował się, że od wypadku nie minął jeszcze tydzień.

Tymczasem nic nie zapowiadało trudności. To znaczy nic, ale to nic nie wskazywało na to, by ktoś miał go pociągnąć do odpowiedzialności za to, co zdarzyło się w tę feralną czwartkową noc. Podczas tych



kilku przeraźliwych, ale też coraz mniej realnych sekund, które zdały się szybko niknąć w mroku przeszłości.

Zatem będzie dobrze. Wziął głęboki oddech i poczuł, że na pewno będzie dobrze.

Wprawdzie w kilku gazetach oraz w wiadomościach telewizyjnych, które śledził dość nieregularnie, twierdzono, że policja ma kilka tropów, on jednak wiedział, że to tylko czcze słowa. Ot, nieporadne udawanie, że się wie i potrafi więcej niż w rzeczywistości. Jak zwykle.

Nigdzie nie wspomniano o czerwonym audi stojącym z włączonymi światłami na poboczu w pobliżu miejsca wypadku. A to właśnie przysparzało mu najwięcej zmartwień. Nie tyle to, że ktoś mógł zauważyć kolor czy model samochodu, o rejestracji nie wspominając, ile to, że ktoś mógł zwrócić uwagę, że stał tam jakiś pojazd. W końcu minęły go dwa samochody, kiedy tak tkwił w rowie... a może to było chwilę wcześniej, kiedy jeszcze stał na brzegu drogi? Nie mógł sobie przypomnieć. Dwa samochody i skuter, to pamiętał wyraźnie. Kierowca samochodu, który nadjechał z przeciwka, od strony Boorkhejm lub Linzhuisen, mógł uznać jego samochód za pojazd jadący w drugą stronę. Jednak pozostała dwójka musiała zauważyć samochód z włączonymi światłami stojący na poboczu.

A może to jeden z tych drobiazgów, które się zapomina? Jeden z tych przebłysków, które trwają kilka sekund, może pół minuty, a potem znikają na zawsze? Trudno powiedzieć, trudno cokolwiek stwierdzić, ale bez wątplenia ta niepewność, to widmo niemożliwych do wykluczenia zeznań świadków nie pozwalały mu spać po nocach.

W czwartek, tydzień po wypadku, kiedy to media już od kilku dni milczały na ten temat, opublikowano apel bliskich chłopaka: jego matki, ojca i młodszej siostry. Rodzina wypowiadała się zarówno w telewizji, jak i w radiu, pojawiła się też na zdjęciach w prasie. Ich cel był jasny – chcieli przekonać sprawcę, by posłuchał własnego sumienia i się ujawnił.

By przyznał się do popełnionego czynu i poddał się należytym karze.

Takie rozegranie sprawy, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości, było kolejnym dowodem na to, że policja była bezradna i nie

miała czego się chwycić. Żadnych poszlak, żadnych tropów. Kiedy zobaczył matkę chłopaka – ciemnowłosą, zaskakująco opanowaną kobietę lat około czterdziestu pięciu – siedzącą na sofie przed kamerą i zwracającą się wprost do niego, nagle odczuł niepokój, ale kiedy tylko jej twarz zniknęła z ekranu, odzyskał równowagę. Zrozumiał, że choć podobne uczucie będzie go dopadało od czasu do czasu, to zawsze znajdzie w sobie tyle siły, by jakoś się z nim uporać, by znaleźć sposób na pokonanie własnej słabości. Najważniejsze to zachować spokój.

Dobrze było się upewnić, że ma to, czego mu trzeba. Siłę.

A jednak chciałby móc z nią porozmawiać.

Dlaczego? – zastanawiał się.

Co by to dało, gdybym trafił do więzienia na pięć lat?

Zabiłem pani syna, z całego serca żałuję, ale to był wypadek. Nawet gdybym się przyznał, co by to zmieniło?

Zastanawiał się, co mogłaby mu odpowiedzieć. Czy rzeczywiście by go obwinięła? Przecież chodziło o wypadek, a wypadki nie mają sprawców. Nie licząc czynników wymykających się wszelkiej kontroli, nikt i nic za nimi nie stoi.

Wieczorem rozważał nawet, czy nie wysłać anonimowego listu do rodziny, ewentualnie czy nie zadzwonić i nie wyjaśnić im jego toku rozumowania. Uznał jednak, że to zbyt ryzykowne, i postanowił definitywnie zrezygnować z takich pomysłów.

Zrezygnował także z zamówienia wieńca na pogrzeb Wima Feldersa, który odbył się w wypełnionym po brzegi kościele Keymer w sobotę, dziesięć dni po wypadku.

Powód był ten sam. Ryzyko.

Poza rodziną i przyjaciółmi w ceremonii uczestniczyło wielu uczniów i nauczycieli z liceum Wegera, jak również kilkoro reprezentantów różnych organizacji związanych z ruchem drogowym. Szczegółową relację z wydarzenia przeczytał w niedzielnym „Neuwe Blatt”, było to jednak ostatnie większe doniesienie na ten temat.

W poniedziałek ze zdziwieniem zauważył, że towarzyszy mu poczu-

cie pustki.

Jakby coś stracił.

Zupełnie jak wtedy, kiedy straciłem Marianne, pomyślał nieco później z nie mniejszym zaskoczeniem. Dziwne porównanie, ale przecież potrzebował jakiegoś punktu odniesienia. Do czegoś istotnego, co przeżył sam. Na dziesięć dni te straszne wydarzenia zdominowały jego życie. Wciskały się w każdy najmniejszy skrawek świadomości. I choć udało mu się szybko opanować panikę, to przecież i tak cały czas gdzieś tam była. Gdzieś w ukryciu, gotowa zaatakować. Dosłownie w każdej sekundzie jego myśli krążyły wokół tego przekłętego powrotu do domu, głuchego uderzenia i drgnięcia kierownicy. Wokół deszczu, martwego ciała chłopaka i śliskiego rowu. I tak dzień i noc... a teraz, gdy wreszcie zdarzały mu się okresy, kiedy się nad tym nie zastanawiał, miał wrażenie, że czegoś mu brak.

Pojawiło się wspomniane poczucie pustki.

Jak po jedenastu latach małżeństwa. Bezdzielnego małżeństwa... tak, można tu było dostrzec pewne punkty styeczne.

Muszę być niezwykle samotnym człowiekiem, uświadomił sobie podczas tych dni. Odkąd Marianne mnie zostawiła, na nikim, ale to na nikim mi nie zależało. Przytrafiają mi się różne rzeczy, ale ja sam nic nie robię, nie działam. Nie żyję, tylko wegetuję.

Dlaczego kogoś sobie nie znalazłem? Dlaczego nawet nigdy nie zadawałem sobie tego pytania? A teraz nagle stałem się zupełnie innym człowiekiem.

Jakim? Kim teraz jestem?

To, że właśnie takie refleksje naszły go po przejechaniu młodego chłopaka, było dość dziwne, coś jednak powstrzymywało go przed zagłębieniem się w podobne rozmyślenia. Postanowił jednak dostrzec dobre strony tej trudnej sytuacji i zrobić coś ze swoim życiem, ten jeden raz dokonać czegoś nowego. I tak oto – zanim się zorientował, zanim zdążył przemyśleć sprawę – zaprosił do siebie na kolację pewną kobietę. Spotkał ją przypadkiem w stołówce, dosiadła się do jego stolika, bo jak zwykle brakowało wolnych miejsc. Nie był pewien, czy kiedykolwiek wcześniej ją widział. Zapewne nie.

Tak czy inaczej, zgodziła się.

Nazywała się Vera Miller. Wyglądała na radosną i miała rude włosy. I tak oto w nocy z soboty na niedzielę, nieco ponad trzy tygodnie po tym, jak po raz pierwszy w życiu kogoś zabił, kochał się z kobietą. Po raz pierwszy od czterech lat.

Po południu zrobili to znowu. Potem powiedziała mu, że jest mężatką. Rozmawiali o tym przez chwilę i zauważył, że ona sama jest tym bardziej poruszona niż on.

W poniedziałek dostał list.

Minęło już trochę czasu, odkąd zabiłeś chłopca. Można było przypuszczać, że ruszy Cię sumienie, ale widzę, że jesteś słabym człowiekiem, który nie potrafi wziąć odpowiedzialności za własne czyny.

Dysponuję niezbitymi dowodami i jeśli tylko przekażę je policji, natychmiast trafisz za kratki. Ceną za moje milczenie jest dziesięć tysięcy guldenów, dla kogoś o takich dochodach jak twoje, taka suma to pestka. Mimo wszystko daję Ci tydzień (dokładnie siedem dni) na jej zdobycie. Przygotuj się.

Jeszcze się odezwę.

Przyjaciel

List był napisany odręcznie. Niedużymi, pochylonymi pod tym samym kątem literami nakreślonymi czarnym tuszem.

Przeczytał go pięć razy.

## 4

– Czy coś się dręczy? – zapytała Vera Miller, kiedy jedli kolację. – Wydajesz się przybity.

– Nie.

– Na pewno?

– To nic takiego – wyjaśnił. – Po prostu jestem trochę nie w formie, chyba mam lekką gorączkę.

Zakołysała kieliszkiem i spojrzała na niego z powagą.

– Ależ na Boga...

Spróbował się zaśmiać, ale zabrzmiało to jak zgrzyt. Wypił więc łyk wina.

– Wydaje mi się, że mieliśmy całkiem dobry początek. Chciałabym, żeby był z tego drugi i trzeci rozdział.

– Oczywiście. Wybacz, jestem trochę zmęczony, ale to nie ma z twoją osobą nic wspólnego. Zgadzam się z tobą... Przysięgam.

Uśmiechnęła się i pogładziła go po ręce.

– Dobrze. Już prawie zapomniałam, że tak cudownie jest kochać. Niewiarygodne, że poszedłeś w odstawkę na cztery lata. Jak do tego doszło?

– Czekałem na ciebie – odparł. – Idziemy do łóżka?

Zaczął za nią tęsknić niemal w tej samej chwili, kiedy w niedzielę zamknęły się za nią drzwi. Kochali się do późna w nocy, a jej wcześniejsze słowa okazały się w pełni trafne: fakt, że dostarczało im to takich odczuć, był wręcz niepojęty. Rzucił się na łóżko i zanurzył głowę w poduszce. Gwałtownie wciągał powietrze, delektując się zapachem, który po niej został, i próbował zasnąć. Na darmo. Poczucie pustki było zbyt dojmujące. Cholernie dziwne, czyż nie?

Co za niewyobrażalna różnica, pomyślał. Wciąż mieć kobietę leżącą

obok, a nie mieć jej, bo już sobie poszła. Ukochaną kobietę. Nową kobietę?

Po chwili się poddał. Poszedł po gazetę, zjadł śniadanie, a potem kolejny raz wyciągnął list.

Oczywiście zupełnie niepotrzebnie. Znał go przecież na pamięć. Każdą frazę, każde słowo, każdą literę. A jednak przeczytał go jeszcze dwa razy. Przesunął po nim palcami, sprawdzając jakość papieru. Bez wątpienia była wysoka. Koperta i arkusz w środku stanowiły komplet. Gruby, tłoczony papier, pewnie kupiony w jednej z księgarń w centrum, gdzie sprzedają takie artykuły luzem.

Odcień też był wyszukany. Bładoniebieski. Do tego znaczek ze sportowym motywem: kobietą biorącą zamach do rzutu dyskiem. Naklejony równo w prawym górnym rogu. Jego imię i adres napisano identycznymi lekko pochyłymi i ostrymi literami, jak treść listu. Nazwa miasta była podkreślona.

I tyle dało się powiedzieć o liście. Innymi słowy, nic. Czy też prawie nic. Nawet płeć nadawcy trudno było określić. Skłaniał się wprawdzie w stronę mężczyzny, ale po prostu zgadywał. Bo mógł to być każdy.

Dziesięć tysięcy? – pomyślał po raz kolejny późnym poniedziałkowym popołudniem. Dlaczego tylko dziesięć tysięcy?

Wprawdzie była to znaczna suma, ale mimo wszystko – jak to zauważył sam nadawca – nie stanowiło to żądania ponad miarę. Na koncie w banku miał przecież z górą dwa razy więcej, był właścicielem domu oraz innych nieruchomości wartych dziesięć razy tyle. Szantażysta użył sformułowania „człowiek o takich dochodach jak twoje”, co znaczyło, że był zorientowany w jego sytuacji finansowej.

Dlaczego więc zadowalał się dziesięcioma tysiącami? Może wypłacenie takiej sumy to nie jakaś pestka, ale mimo wszystko nie była to wysoka cena. Wręcz przeciwnie, całkiem niewygórowana, wzięwszy pod uwagę, o co chodziło.

Nadawca listu był też chyba przyzwoicie wykształcony. Charakter pisma miał równy i schludny, nie zrobił żadnych błędów, krótko i dobitnie sformułował treść. Bez wątpienia ten ktoś powinien był wiedzieć, że mógłby dostać więcej, że jego cena za milczenie jest niska.

Kilkakrotnie doszedł do tego samego wniosku. Zdziwiło go nawet,

że był w stanie prowadzić całkiem dorzeczne rozumowanie. Wprawdzie pojawienie się listu spadło na niego jak grom z jasnego nieba, kiedy jednak oswoił się już z tą myślą, zajął się logicznymi i istotnymi kwestiami.

Zajmował się nimi przez cały tydzień i teraz, w niedzielne popołudnie.

Zatem dlaczego zaledwie dziesięć tysięcy?

Co to oznaczało? Czy miała to być jedynie pierwsza rata?

No i kto? *Kto* go wtedy widział i kto postanowił teraz wzbogacić się na jego nieszczęściu? Jego i chłopaka.

Kierowca skutera lub któryś z dwóch kierowców, którzy przejeżdżali obok, kiedy stał w rowie z martwym ciałem w objęciach, a potem na drodze?

Bo czy była inna możliwość? Nie sądził.

W każdym razie to samochód, jego czerwone audi, musiał go zdradzić. Właśnie od tego wniosku wyszedł. Najwidoczniej ktoś zauważył, że stoi w tym nietypowym miejscu, zapamiętał numer rejestracyjny i po nim zidentyfikował właściciela.

Tak musiało się wszystko rozegrać, był o tym przekonany. Coraz bardziej przekonany. Po chwili wykluczył wszelkie inne możliwości. To znaczy wykluczał je do momentu, kiedy to uderzyła go przerażliwa myśl.

Przecież tamtego wieczoru chłopak mógł być z kimś. Może towarzyszył mu jakiś rówieśnik, może razem szli wzdłuż drogi, ale tylko ten chłopak zginął, uderzając głową o cement.

Nieco dalej, może kilka metrów, po drugiej stronie rowu mogła leżeć jego na wpół przytomna dziewczyna... Chociaż nie, nie dziewczyna, ona mieszkała w mieście, czytał o tym w gazecie. Ale może kolega albo raczej przypadkowy kompan... leżał tam omdlały i skryty w ciemności. A może był w szoku, może wystraszył się śmiertelnie widoku zabitego chłopaka, mężczyzny trzymającego go w objęciach i krwi skapującej do kaptura.

Makabryczna wizja, nie ma co. I choć po chwili udało mu się sobie wmówić, że to mało prawdopodobne, to jednak ta scena z uporem do niego wracała. Po chłodnej kalkulacji postanowił jednak zapomnieć

o tym przerażającym wariacie, o tej niedorzecznej ewentualności, ponieważ bez względu na wszystko nie miało to teraz znaczenia. Bo przecież co to za różnica, kto zauważył go tamtej nocy czy też jakim cudem ten ktoś się dowiedział, co się wydarzyło. Teraz musiał się skupić na pozostałych kwestiach.

Musiał podjąć decyzję.

Czy mógł zatem uznać, że na tym się skończy?

Na dziesięciu tysiącach guldenów. Czy wystarczy, że zapłaci raz, a potem już nie będzie się musiał niepokoić?

W tym właśnie tkwił szkopuł. Bo jaką gwarancję miał mu zamiar dać nadawca listu, że – kiedy już zainkasuje i wyda pieniądze – nie będzie chciał (chciała?) więcej, dajmy na to za miesiąc czy dwa? Albo za rok?

Albo że szantażysta po prostu nie pójdzie na policję i nie wyda go i tak?

Czy mógł mieć pewność? Niby jaką gwarancję mógłby dostać?

Albo też – i to właśnie było najważniejsze pytanie – czy to nie pora, by zrozumieć, że tak dalej być nie może? Czy nie powinien uznać, że gra skończona i że czas już iść na posterunek albo zadzwonić na policję?

Czy nie powinien się poddać?

Do niedzielnego wieczora nie udało mu się odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Bo fakt, że w piątek zaszedł do banku i wyciągnął z konta jedenaście tysięcy, nie musiał wcale oznaczać, że kłamka zapadła.

Mógł jedynie sugerować, że żadna z możliwości nie została jeszcze wykluczona.

Po głowie wciąż chodziła mu też rozmowa, którą odbyli w sobotę.

– A twój mąż? – zapytał ją, kiedy po spacerze na plaży wracali do samochodu. – Mówiłaś mu?

– Nie – odparła, rozpuszczając włosy, które wcześniej wcisnęła pod wełnianą czapkę. Przeczesała je dłonią i potrząsnęła głową. Wydawało mu się, że jej gesty są nieco przesadzone, jakby chciała mieć chwilę do namysłu. – Nie wiedziałam, na ile poważny okaże się związek z tobą. To znaczy na początku nie wiedziałam, teraz już



wiem. Ale jeszcze nie trafiła mi się dobra okazja do rozmowy z nim. Na to potrzeba odpowiedniego czasu i miejsca.

- Jesteś pewna?
- Tak.
- Pewna, że chcesz się z nim rozwieść?
- Tak.
- Dlaczego nie macie dzieci?
- Bo ja nie chciałam.
- Ale z nim czy w ogóle?

Lekko poruszyła głowę. Zrozumiał, że nie chce o tym mówić. Przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając na wzburzone morze.

– Jesteśmy małżeństwem dopiero od trzech lat. To było nieporozumienie od samego początku. Idiotyczne nieporozumienie.

Przytaknął.

- Czym on się zajmuje?
- Teraz nie ma pracy. Pracował w Zindersie, ale zamknęli firmę.
- Przykra sprawa.
- A czy ja mówiłam, że sytuacja jest wspaniała?

Zaśmiała się. Objął ją za ramiona i przytulił do siebie.

- Ale przypadkiem nie jest tak, że gryzą cię wątpliwości?
- Nie – odparła. – Nie chcę z nim być. Od zawsze to wiedziałam.
- To po co za niego wyszłaś?
- Nie wiem.
- Lepiej wyjdź za mnie.

Wyrwało mu się bez zastanowienia, ale natychmiast zrozumiał, że właśnie tego chciał.

– Wow – odpowiedziała ze śmiechem. – Spotkaliśmy się parę razy, a ty już chcesz, żebyśmy wzięli ślub. Może najpierw pojedziemy do ciebie i zjemy coś, tak jak zaplanowaliśmy?

Zawahał się.

- Może – odparł. – Albo dobrze, jedźmy, jestem głodny jak wilk.

Później, wieczorem, nie powtarzał już oświadczyn, ale też ich nie wycofał. Podobało mu się nawet to, że ta deklaracja może przez jakiś czas trwać w zawieszeniu, a żadne z nich nie będzie musiało się do

niej konkretnie odnosić czy też jej komentować. Będzie jak nic między nimi, nic, której nie trzeba wiązać, a która mimo to bez wątpienia łączy. Wydawało mu się, że Vera nie ma nic przeciwko temu, że myśli podobnie.

To taka jakby ich tajemnica. Więż.

A kiedy później się kochali, czuł się zupełnie, jakby pili ze źródła miłości.

Nie do pojęcia. To po prostu było nie do pojęcia.

Jak to możliwe, że zniecka, bez żadnego uprzedzenia, życie zaczyna się toczyć zupełnie innymi torami. I to takimi, które wywracają do góry nogami wszystko, co znajome, przecząc zdrowemu rozsądkowi. Jakim cudem tak się dzieje?

I to za ledwie w parę tygodni. Najpierw okropna czwartkowa noc, potem Vera Miller i miłość. Nie pojmował tego, ale czy coś takiego da się pojąć?

Resztę niedzielnego wieczoru spędził, leżąc na sofie. W pokoju paliła się tylko świeczka, a on czuł, jak popada ze skrajności w skrajność. W jednej chwili miał zupełny mętlik w głowie, wszystko zdawało się wirować, a w następnej mógł spokojnie i z namysłem rozważać całą sytuację. Zupełnie jakby zdrowy rozsądek i emocje nie były ze sobą połączone, ale komunikowały się przez synapsy.

Po pewnym czasie uznał jednak, że mimo wszystko nie chodzi tu o popadanie w skrajności. Rzeczywistość jest przecież tylko jedna i trwa bez przerwy; jego odczucia oraz próby ogarnięcia jej są w zasadzie stałe, zmienia się tylko punkt widzenia. Perspektywa.

Przeskakiwała to w tę, to w drugą stronę. Niczym pstryczek. Raz włączała się codzienność, a raz to, co niepojęte. Raz życie, raz śmierć? A wszystko oddzielone cieniutką granicą.

Niesamowite.

Po wysłuchaniu radiowych wiadomości o jedenastej po raz kolejny wyciągnął list. Przeczytał go, a potem usiadł przy biurku. Przez dłuższą chwilę siedział w ciemności, pozwalając myślom snuć się po głowie. I tak oto zaczęła mu się rysować kolejna opcja, choć wcześniej sądził, że stoi przed alternatywą.

Trzecie wyjście. Całkiem przekonujące. Długo siedział przy biurku, rozważając za i przeciw.

Okazało się jednak, że jeszcze za wcześnie, by wybrać tę opcję. Zdecydowanie za wcześnie. Wiedział, że dopóki nie dostanie kolejnych wytycznych od „Przyjaciela”, chcąc nie chcąc, może tylko czekać.

Czekać na poniedziałkową pocztę.

## 5

Był na miejscu dwadzieścia minut za wcześnie. Siedząc w samochodzie zaparkowanym na opustoszałym parkingu, po raz kolejny przeczytał instrukcje. Nie żeby ich nie znał, przyglądał się im przecież cały dzień. Zrobił to tylko dla zabicia czasu.

*Pieniądze:* banknoty pięćdziesięcio- i stuguldenowe zapakowane podwójnie w foliowe torebki. Całość spakowana do torby z domu towarowego Boodwick.

*Miejsce:* Trattoria Commedia przy polu golfowym na Dikken.

*Czas:* Wtorek, punkt 18.00.

*Przebieg:* Zająć miejsce w lokalu. Zamówić piwo, wypić kilka łyków, po jakichś pięciu minutach iść do toalety. Wziąć ze sobą torbę z pieniędzmi, zostawić ją w koszu na śmieci, dokładnie przykrytą papierowymi ręcznikami. Jeśli w toalecie będzie ktoś jeszcze, zaczekać, aż zrobi się pusto. Wyjść, ruszyć prosto na parking i odjechać.

To wszystko.

Napisane na tym samym papierze, co ostatnio. Ten sam charakter pisma, chyba nawet ten sam długopis.

I ten sam podpis: *Przyjaciel*.

Żadnych pogrózek. Żadnych uwag co do jego słabości.

Tylko niezbędne wytyczne. Prościej się nie dało.

O 17.58 podkręcił szyby w samochodzie i wysiadł. Zaparkował przy samym wyjeździe, tak daleko od restauracji, jak tylko mógł. Od wejścia dzieliło go pięćdziesiąt metrów. Przemierzył wietrzny parking zwawym, ale niezbyt szybkim krokiem. Budynek był niski, miał spadzisty dach. Ciemna fasada, okna jak u Gaudiego, wykończone czarnymi żelaznymi okuciami. Pchnął drzwi zrobione z imitacji drzewa jakarandowego i wszedł.

Stwierdził, że w środku jest pusto, ale wewnątrz i tak wygląda

zachęcająco. Nigdy wcześniej tu nie zachodził. Zawsze mu się wydawało, że to raczej lokal dla golfistów, a przy tej okrutnej jesiennej pogodzie pewnie nie przyszło ich tu wielu. Bar był na lewo od wejścia. Jakaś babka około czterdziestki siedziała samotnie z papierosem, gazetą i zielonym drinkiem. Kiedy wszedł, podniosła wzrok, ale widać uznała, że gazeta jest ciekawsza niż on.

Zanim usiadł, zerknął w głąb lokalu. Część stolików stała za rogiem, ale z tych, które widział, większość była wolna. Jakiś facet siedział pochylony nad porcją makaronu. W kominku trzaskały płomienie. W wystroju dominowały ciemny brąz, czerwień i zieleń. Z ukrytych głośników sączyła się cicho sonata fortepianowa. Postawił torbę między nogami i zamówił piwo u barmana – młodego chłopaka w kucyku i z kolczykiem w uchu.

- Wieje, co nie? – zapytał barman.
- Ano – odparł. – Trochę tu pusto, co?
- Nie da się ukryć.

Dostał piwo w babskiej wysokiej szklance na nóżce. Zapłacił, wypił połowę i zapytał o toaletę. Barman wskazał w stronę kominka. Podziękował, wziął torbę i ruszył.

W toalecie nie było nikogo. Pachniało sosną i było czysto. Kosz na śmieci stał pomiędzy dwoma umywalkami, papierowe ręczniki wypełniały go tylko w jednej trzeciej. Wcisnął do środka torbę z Bodwicka i zakrył ją kolejnymi ręcznikami, które po wyciągnięciu z podajnika nieco zgniótł. Zgodnie z instrukcją. Wszystko zajęło mu dziesięć sekund. Przez kolejne dziesięć stał i z lekkim zdziwieniem wpatrywał się w swoje odbicie w porysowanym lustrze nad umywalką. Potem wyszedł. Przechodząc koło baru, skinął barmanowi i poszedł dalej do samochodu. W powietrzu czuć było zapach zmarzniętego żelaza.

Gładko poszło, pomyślał, kiedy już siedział za kierownicą. Zbyt gładko.

Potem otworzył schowek i wyciągnął rurę.

Minęło dokładnie sześć i pół minuty.

Mężczyzna, który wyszedł z restauracji, wyglądał na jakies trzy-

dzieści lat. Był wysoki i chudy. Torbę trzymał w prawej ręce, w lewej natomiast niósł kluczyki, którymi beztroško machał. Najwyraźniej zmierzał w stronę starego peugeota zaparkowanego jakieś dwadzieścia metrów od jego audi. Poza tym na parkingu stały jeszcze tylko cztery samochody.

Zanim mężczyzna otworzył drzwiczki, pomyślał jeszcze, z jakim amatorem ma do czynienia. Odczekać tylko chwilę, a potem beztroško przemaszerować, wymachując torbą? To chyba świadczyło o kiepskim rozeznaniu w sytuacji. Zrozumiał, że mimo wszystko nie ma do czynienia z poważnym przeciwnikiem oraz, co istotniejsze, że ten przeciwnik nie docenił jego możliwości.

Doszedł do niego, akurat kiedy mężczyzna miał włożyć kluczyki do zamka.

– Przepraszam – powiedział. – Chyba coś panu upadło.

Uniósł zaciśniętą prawą rękę na pół metra od twarzy mężczyzny.

– Niby co?

Rzucił szybkie spojrzenie na parking i okolice. Z każdą sekundą robiło się coraz ciemniej. Wokół nie było żywego ducha. Z całej siły uderzył rurą w głowę mężczyzny. Trafił nieco pod kątem, powyżej lewego ucha. Mężczyzna bezgłośnie padł na ziemię. Na brzuch, z rękami schowanymi pod ciałem. Wymierzył jeszcze w kark, a potem uderzył równie bezwzględnie. Kiedy coś zgrzytnęło, wiedział, że mężczyzna nie żyje, może zresztą zabił go już pierwszy cios. Z głowy obficie sączyła się krew. Ostrożnie wyjął zmarłemu z rąk torbę i kluczyki, po czym się wyprostował i rozejrzał.

Wokół wciąż nie było nikogo. Ciemno i pusto. Po chwili namysłu chwycił mężczyznę za nogi i zaciągnął za nieprzystrzyżony żywopłot otaczający parking. Na zwirowej ścieżce został ślad, ale uznał, że deszcz i tak go zmyje. Cofnął się o kilka kroków i stwierdził, że z odległości kilku metrów nic nie widać. Przynajmniej jeśli nie wiadomo, czego się szuka, albo też nie ma się pojęcia, że czegoś w ogóle trzeba szukać.

Z zadowoleniem pokiwał głową i wrócił do samochodu. Rzecz jasna nie zawadziłoby, żeby zwłoki znaleziono dopiero za kilka dni. Im później, tym lepiej. Zawinał rurę w gazetę i wetknął do torby z pie-

niędzmi.

Odpalił silnik i odjechał.

Dopiero kiedy minął feralny, wykończony cementowym poboczem odcinek na trasie do Boorkhejm, zdjął ciemną, krzaczastą perukę, sztuczną brodę i okulary przeciwsłoneczne o niebieskawym odcieniu. Zaś kiedy pół godziny później we własnej kuchni nalewał sobie glenalmond – do zwykłej szklanki, na dwa palce – z wdzięcznością pomyślał o cudownych tabletkach sobron, połyskujących na niebiesko, które przez całe popołudnie pomogły mu utrzymać całkiem przyzwoity stan świadomości. Zresztą, przez wszystkie poprzednie dni też. Zawsze lepiej wiedzieć, co człowiekowi gra w duszy, i umieć wesprzeć się środkami psychofarmakologicznymi.

Wypił whisky.

Potem wziął długą, relaksującą kąpiel z pianą.

A później zadzwonił do Very Miller.

**II**



## 6

Ciało znalazł niejaki Andreas Fische.

Było to w czwartek po południu. Fische wracał z wizyty u siostry mieszkającej na Windemeerstraat na Dikken (wprawdzie siostra była prawdziwą jędzą, ale wiadomo, rodzina to rodzina, no i udało jej się wydać za całkiem zamożnego adwokata). Kiedy szedł na skróty przez parking przed Trattoria Commedia i zatrzymał się, żeby się załatwić, zauważył, że coś leży w krzakach.

Fische się wysikał, a potem rozejrzał się i ostrożnie przeszedł pod kolczastymi gałęziami, żeby zajrzeć w krzaki. Ktoś tam leżał. Czyjeś ciało. Zwłoki.

Jako że Fische był człowiekiem o bujnej przeszłości, widywał już martwe ciała, i to nie raz. Kiedy więc zwalczył pierwszy odruch, żeby natychmiast zwać, górę wzięła lepsza, to znaczy praktyczniejsza część jego natury. Sprawdził, czy nikt się nie kręci po ciemnym, opustoszałym parkingu, a potem ostrożnie przeszedł pod kolejnymi gałęziami, starając się przy tym nie zostawić śladów w miękkiej ziemi – w końcu wiedział to i owo o życiu – i zerknął na umarlaka.

Dość młody, wysoki facet. Leżał na brzuchu z rękoma wyciągniętymi za głowę. Miał na sobie ciemnozieloną kurtkę i niebieskie dzinsy. Część twarzy zwrócona do góry pokryta była zaschniętymi strupami. Fische domyślił się, że ktoś pozbawił go życia, dając mu czymś ciężkim w głowę. Ot tak. I takie przypadki już widywał, choć od tamtej pory minęło trochę lat.

Upewniwszy się kolejny raz, że nikogo w pobliżu nie ma, schylił się i zaczął przeszukiwać kieszenie.

Zajęło mu to kilka sekund, ale łup okazał się raczej marny. Udało mu się to stwierdzić, kiedy już odszedł jakieś dwieście metrów od zwłok. Podniszczony portfel, żadnych kart kredytowych, ledwo czter-

dzieści guldenów w banknotach. Do tego garść drobniaków. Prawie pusta paczka po szlugach i zapalniczka. Cztery klucze na breloczku i ulotka jakiejś firmy farmaceutycznej. I tyle. Wszystko z wyjątkiem gotówki wrzucił do kosza, szybko podsumował, ile zarobił, i stwierdził, że mimo wszystko nie stoi najgorzej z kasą. Razem ze stową, którą pożyczył od siostry, miał dość gotówki, żeby spędzić wieczór w pubie. Z pewnym, choć raczej umiarkowanym zadowoleniem wsiadł do tramwaju w stronę centrum. Rzecz jasna bez biletu. W końcu Andreas Fische jeździł na gapę już od trzydziestu lat.

Pub Klejne Hans położony na północnym brzegu Maar był jednym z jego ulubionych. Właśnie tu spędzał większość z tych wieczorów, kiedy to stać go było na wyjście do baru. Tu też skierował swoje kroki tego deszczowego listopadowego dnia. Kiedy wszedł, lokal świecił pustkami. Nie było jeszcze szóstej, przez jakiś czas siedział więc sam przy długim stole z kuflem piwa i szklaneczką ginu jenever. Starał się przy tym pić na tyle oszczędnie, na ile się dało, i popalał papierosy zmarłego, rozważając przy tym, czy może nie lepiej było zawiadomić policję od razu. W końcu obowiązek obywatelski to obowiązek obywatelski. Po chwili jednak pojawiło się czterech jego dobrych kompanów i swoim zwyczajem Fische odłożył sprawę na później. Nie ma pośpiechu, pomyślał. Bo wiadomo, co nagle, to po diable, a trup nie zajac.

Kiedy około pierwszej w nocy Fische zwałił się na swoje rozklekotane łóżko w noclegowni przy Armastenstraat, po głowie kołatały mu się różne myśli, ale na pewno żadna nie dotyczyła zwłok przy opustoszałym parkingu, nie dopadły go też wyrzuty – w jego przypadku nieco przytępionego – sumienia.

Następny dzień, czyli piątek, był deszczowy i ponury. Andreas Fische przez większość czasu leżał w pokoju, bo miał kaca i był nie w formie, dlatego też dopiero w sobotę przed południem zadzwonił na policję z jednego z telefonów na dworcu i zapytał, czy interesuje ich zgłoszenie.

Owszem, interesowało jak najbardziej. Nie omieszkali jednak od razu zaznaczyć, że nie zapłacą za nie ani centa.

Fische szybko przeanalizował sytuację. W końcu jego obywatelska postawa wzięła górę i poinformował policję zupełnie za darmo o tym, że na Dikken leżą zwłoki. Na parkingu w pobliżu pola golfowego przy tej restauracji, jak jej tam...

Tego kogoś zamordowano, o ile się nie mylił.

Kiedy zaczęli dopytywać o jego nazwisko i adres, i tym podobne, odłożył słuchawkę.

– Jak długo? – zapytał komisarz Reinhart.

– Trudno powiedzieć – odparł Meusse. – Teraz nie mogę powiedzieć nic pewnego.

– To strzelaj.

– Hm. – Meusse zerknął na ciało leżące na dużym, marmurowym stole. – Trzy–cztery dni.

Reinhart obliczył w pamięci.

– Czyli we wtorek czy w środę?

– Wtorek – odpowiedział Meusse. – Jeśli zadowolają cię spekulacje.

– Facet wygląda na sfatygowanego.

– Bo nie żyje. No i padało.

– Jasne.

– Chociaż pan komisarz pewnie nie wytyka nosa za drzwi?

– O ile to możliwe. Zatem tylko dwa ciosy, mówisz?

– Wystarczy jeden. – Meusse przejechał dłonią po łysinie. – Jeśli tylko wiadomo, gdzie celować.

– A sprawca wiedział?

– Może. To całkiem naturalne, że uderza się właśnie w to miejsce. Trochę obok ciemienia, bliżej skroni. Drugi cios, ten w kark, wydaje się ciekawszy. Trochę bardziej profesjonalny. Naruszył kręgi szyjne. W ten sposób można zabić konia.

– Rozumiem – odparł Reinhart.

Meusse podszedł do umywalki w rogu i umył ręce. Reinhart nadal stał przy stole i przyglądał się zwłokom. Wszystko wskazywało na to, że facet był około trzydziestki. Może trochę młodszy. Dość szczupły i wysoki, miał metr osiemdziesiąt sześć, powiedział mu wcześniej Meusse. Ubrania były rozłożone na innym stole i wyglądały na

całkiem zwyczajne: niebieskie dżinsy, zielona, półdługa kurtka, cienki, dość znoszony wełniany sweter, wcześniej jasnoszary, ale kolor zachował się tylko w kilku miejscach. Do tego proste, brązowe buty żeglarskie.

Żadnych dokumentów. Żadnego portfela czy kluczy. Żadnych przedmiotów osobistych. Nie było wątpliwości co do tego, że ktoś opróżnił mu kieszenie.

Równie oczywiste było, że ktoś go zabił, uderzając w głowę i w kark tępym narzędziem.

No proszę, pomyślał Reinhart, to jesteśmy w domu.

Meusse odchrząknął i Reinhart zrozumiał, że czas już zostawić go w spokoju. Zanim wyszedł, spojrział jeszcze raz na twarz zmarłego.

Już cię gdzieś widziałem, pomyślał.

Potem wyszedł z Zakładu Medycyny Sądowej i wrócił na komendę.

Inspektor Ewa Moreno wetknęła zdjęcia z powrotem do teczki i, sięgając przez stół, podała ją Reinhartowi.

– Nic z tego – powiedziała. – Nie ma go na liście. Zresztą w minionym tygodniu zgłoszono tylko trzy zaginięcia. Jakaś zniedołężniała babcia z domu starców w Löhr i piętnastolatek, który uciekł z domu.

Rooth przestał żuć ciastko.

– Ale mówiłaś o trzech.

– Owszem – przytaknęła – trzecie zgłoszenie dotyczyło węża. Myślę, że je też możemy wykluczyć.

– Węża? – zapytał Jung.

– Zielonej mamby – sprecyzowała Ewa Moreno. – Wygląda na to, że uciekła z mieszkania na Kellnerstraat w nocy z poniedziałku na wtorek. Stanowi zagrożenie dla życia, tak twierdzi właściciel. Ale jest przyjazna. Może zabić człowieka w dwie sekundy. Reaguje na imię Betsy.

– Betsy? – zapytał Rooth. – Kiedyś miałem dziewczynę o tym imieniu. Wcale nie była przyjazna, ale i ona zniknęła.

– Dziękujemy, że nam o tym opowiedziałeś – odparł Reinhart i postukał fajką w stół. – Chyba już wystarczy. Przy takiej pogodzie tropikalny wąż i tak nie ma szans przetrwać dłużej niż kilka dni. A co do

naszego zabitego delikwenta, to chyba wkrótce ktoś powinien zauważyć jego zniknięcie. Jeśli Meusse się nie myli...

– Meusse nigdy się nie myli – wtrącił Rooth.

– Nie przerywaj mi. Jeśli Meusse się nie myli, to facet leżał w krzakach już od wtorku. Zazwyczaj ludzie nie czekają ze zgłoszeniem zaginięcia dłużej niż dobę–dwie. Oczywiście mówię o bliskich.

– O ile on takich miał – powiedziała Ewa Moreno. – W sensie bliskich.

– Starsi samotni faceci mogą sobie leżeć martwi nawet pół roku – dodał Jung.

– Owszem, to swoisty znak czasów – westchnął Reinhart. – Zresztą nie tylko faceci. Czytałem o jakiejś kobiecie z Gösslingen, której wysyłali emeryturę jeszcze przez dwa i pół roku po śmierci. Leżała w piwnicy na ziemniaki, a pieniądze szły bezpośrednio na jej konto. Hmm, w pięknym świecie żyjemy, nie ma co. Jung, a co powiedzieli w restauracji?

Jung wyciągnął notatnik.

– Właśnie rozmawiałem z kilkoma osobami z personelu – wyjaśnił Jung. – Nikt nie rozpoznał mężczyzny ze zdjęcia, ale jutro po południu mamy się spotkać z dwójką pracowników, którzy mieli zmianę we wtorek. O ile to wtedy doszło do zabójstwa, niewykluczone, że go rozpoznają. Albo przynajmniej powiedzą, czy był w knajpie i coś jadł.

– Coś jeszcze? – zapytał Reinhart i zapalił fajkę.

– Owszem, jest jeszcze kwestia tego samochodu. Od wtorku lub środy na parkingu stoi stary peugeot. Sprawdziliśmy to, wóz należy do niejakiego Elmera Kodowsky’ego. Niestety, jak dotąd nie udało nam się go namierzyć. Dozorca domu, w którym mieszka, twierdzi, że Kodowsky pracuje na platformie wiertniczej na Morzu Północnym...

– Świetnie – odparł Reinhart. – O tej porze roku na pewno dopisuje tam pogoda. Ktoś się zgłasza na ochotnika?

– ...choć dozorca też dodał, że może jednak chodzić o jakieś mniej odległe miejsce – dodał Jung. – W każdym razie to nie Kodowsky leżał w krzakach.

– Jak to? – nie rozumiał Reinhart. – Mów po ludzku.

– Więzienie – wyjaśnił Jung. – Z Kodowsky'ego żaden aniołek, jak twierdził dozorca, tak więc niewykluczone, że ta platforma wiertnicza to tylko eufemizm. Może facet po prostu gdzieś siedzi. Widocznie już mu się to zdarzało.

– Hm. To już brzmi lepiej – odparł Reinhart. – Sprawdź wszystkie zakłady... albo niech Krause się tym zajmie. Chociaż jeśli ten cały Kodowsky jest za kratkami, to chyba nie mógł zaparkować wozu na Dikken?

– Przepustka – powiedział Jung. – Albo może pożyczył komuś ten samochód. Albo mu go ukradli.

– Niewykluczone – przyznał Reinhart, wydychając chmurę dymu. – Chociaż jeśli to stary wóz, to mało prawdopodobne, że ktoś go zwinął. Dzisiejsi złodzieje są dość wybredni. Niestety, obawiam się, że na razie już dalej nie zajdziemy. Czy może komuś coś jeszcze leży na sercu?

Nikommu nic nie leżało. Była sobota, kwadrans po piątej po południu, więc pora nie najlepsza na pogaduszki i spekulacje.

– W takim razie spotkamy się na kilka godzin jutro przed południem – przypomniał im Reinhart. – Przynajmniej mamy zbadane odciski palców. Nie żeby miały się nam do czegoś przydać, ale zawsze. Ale możemy mieć nadzieję, że Meusse i laboratorium kryminalistyczne coś dorzucą. A tak na marginesie...

Reinhart wyjął z żółtej teczki zdjęcia i przez chwilę im się przyglądał.

– ...czy nikt z was go nie rozpoznaje?

Jung i Rooth popatrzyli na zdjęcia i pokręcili głowami. Moreno na kilka sekund zmarszczyła czoło, a potem westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Może – powiedziała. – Może z kimś mi się kojarzy, ale teraz sobie nie przypominam.

– Aha – odparł Reinhart. – Zatem miejmy nadzieję, że coś ci się przypomni. Bez wątplenia lepiej jest, jeśli uda się zidentyfikować ofiarę. To się tyczy wszelkiego rodzaju dochodzeń. Życzę wszystkim udanego sobotniego wieczoru.

– Dziękujemy, nawzajem – odpowiedziała Ewa Moreno.

– Kolejnego z rzędu – dodał Rooth.

- Czy mogę cię zaprosić na piwo? – zapytał Rooth kwadrans później.
- Obiecuję, że nie będę się narzucał ani oświadczał.

Ewa Moreno się uśmiechnęła. Właśnie wyszli z komendy, czuć było chłód, jakby wiało z zamrażarki.

– Brzmi zachęcająco – odparła. – Ale umówiłam się na randkę z wanną i kiepską powieścią. Obawiam się, że to dość poważne zobowiązanie.

– Ależ nie szkodzi – odpowiedział Rooth. – Ja i moja wanna też nieźle się dogadujemy. Tańczy tango równie kiepsko jak ja, tak więc podejrzewam, że i tak skończymy jako para. Warto troszczyć się o to, co już się ma.

– Mądre słowa. To mój autobus.

Pomachała mu na pożegnanie i ruszyła szybko przez parking. Rooth zerknął na zegarek. Stwierdził, że równie dobrze mógłby wrócić do biura i tam przespać do jutra. Po cholere się w ogóle przemieszczać po dworze o tej porze roku? Toż to czysta głupota.

Mimo wszystko jednak ruszył w stronę placu Grote i tramwaju, po drodze rozmyślając, kiedy to ostatni raz zrobił sobie porządną kąpiel.

Cóż, o ile pamiętał, na pewno nie było to wczoraj.

## 7

Zgłoszenie przyszło w niedzielę rano o godzinie 7.15, telefon odebrał aspirant Krause. Z początku uznał, że to dziwna pora, żeby dzwonić na policję. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, w jakiej sprawie dzwoniła ta kobieta, jak i to, że czekała z tym zgłoszeniem co najmniej cztery dni. Jednak słysząc jej głos, szybko się zorientował, że miała za sobą wiele nieprzespanych godzin. Prawdopodobnie w ogóle nie zmrużyła oka.

Może więc nie było to aż tak dziwne.

– Nazywam się Marlene Frey – zaczęła. – Mieszkam na Ockfener Plejn i chcę zgłosić zaginięcie.

– Proszę mówić.

– To było we wtorek wieczorem – wyjaśniła Marlene Frey. – Miał tylko załatwić jakąś sprawę. Obiecał, że wróci wieczorem, ale potem się nie odezwał, a zazwyczaj... to do niego niepodobne...

– Chwileczkę – przerwał jej Krause. – Gdyby była pani tak miła i powiedziała, o kogo chodzi. Imię, nazwisko, wygląd... Jak był ubrany i tak dalej.

Zrobiła krótką pauzę, chyba próbowała wziąć się w garść. Potem westchnęła ciężko, słychać było, że się denerwuje.

– Oczywiście, proszę wybaczyć. Jestem trochę zmęczona, oka nie zmrużyłam. I to przez kilka nocy.

– Rozumiem – odparł aspirant Krause. Po chwili przekazała mu wszystkie dane, o jakie prosił. Zajęło to najwyżej dwie minuty, ale kiedy rozmowa już się skończyła, Krause spędził przy biurku kolejnych dziesięć, wpatrując się w informacje, które spisał. Próbował jakoś okiełznać myśli.

Kiedy uświadomił sobie, że i tak mu się nie uda, chwycił za słuchawkę i wykręcił numer komisarza Reinharta.



Synn przez chwilę trzymała słuchawkę w dłoni, zanim podała ją Münsterowi. Ruchem warg próbowała mu przekazać nazwisko dzwoniącego, ale nie załapał. Uniósł się na łóżku i odebrał.

– Tu Reinhart. Co tam?

– Dzięki za troskę. Dawnośmy się nie słyszeli.

– Jesteś jeszcze w łóżku? – zapytał Reinhart.

– Jest niedziela i nie ma jeszcze dziewiątej. O czym chciałbyś pogadać?

– Stało się coś okropnego i potrzebuję twojej pomocy.

Münster zastanawiał się przez dwie sekundy.

– Aż tak brakuje wam ludzi? – zapytał. – Wciąż zajmuję się tym śledztwem, zapomniałeś? Wracam najwcześniej w lutym.

– Wiem.

– A o co chodzi?

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Potem Reinhart odchrząknął i wyjaśnił.

– O cholera – odparł Münster. – Oczywiście, że przyjadę. Za kwadrans będę gotowy.

– Najpierw zrobimy sobie rundę wokół miasta – powiedział Reinhart.

– Potrzebuję trochę czasu.

– Ja też – odparł Münster. – Jak to się stało?

– Oberwał mocno w głowę. Zabójstwo albo nieumyślne spowodowanie śmierci. Raczej to pierwsze.

– Kiedy?

– Prawdopodobnie we wtorek.

– Wtorek? Przecież dziś niedziela.

– Znaleźli go dopiero wczoraj. Nie miał przy sobie dokumentów. Wydawało mi się, że go kojarzę, ale przecież wcześniej widziałem go raz czy dwa. No i dziś rano zadzwoniła ta kobieta, zgłaszając zaginięcie. Już go zidentyfikowała. Niestety, nie ma żadnych wątpliwości.

Münster przez chwilę siedział w milczeniu, wpatrując się w wycieraczki przesuwające się po szybie.

Niech to szlag, pomyślał. Dlaczego coś takiego musiało się zdarzyć? Czy to ma jakiś sens?

Wiedział, że na takie pytania i tak nie ma odpowiedzi, ale może już sam fakt, że za każdym razem się pojawiały, miał jakieś znaczenie. Może był w pewnym sensie wyrazem nadziei i pozytywistycznych przekonań? Może oznaczał, że człowiek nie poddaje się siłom ciemności? Może jednak trzeba spojrzeć na to w ten sposób, tak zinterpretować to odwieczne *dlaczego?*

– Często się do niego odzywałeś ostatnimi czasy? – zapytał Reinhart, kiedy już przejechali na drugą stronę rzeki i zaczęli się zbliżać do bloków na Leimaar.

Münster wzruszył ramionami.

– Średnio. Może raz na miesiąc. Od czasu do czasu chodzimy na piwo.

– A w badmintona nie gracie?

– Dwa razy do roku.

Reinhart westchnął ciężko.

– I co u niego?

– Nie najgorzej, jak sędzę. Przynajmniej tak było. Nawet kogoś teraz ma.

Reinhart pokiwał głową.

– Jestem wdzięczny, że zgodziłeś się mi towarzyszyć.

Münster nie odpowiedział.

– Cholernie wdzięczny. Nie wiem, czy dałbym radę sam.

Münster wziął głęboki oddech.

– Dobra, jedź na miejsce. Nie ma co dłużej zwlekać. Dzwoniłeś, żeby sprawdzić, czy jest w domu?

Reinhart pokręcił głową.

– Nie, ale na pewno jest. Czuję to. Nie ominie nas to.

– Nie – odparł Münster. – Ani nas, ani jego.

W okolicy Klagenburga trudno było znaleźć wolne miejsce parkingowe. Po zrobieniu kilku kółek po okolicy Reinhart znalazł kawałek wolnej przestrzeni na rogu Morgenstraat i Ruyder Allé. Musieli przejść dwieście metrów w deszczu, zanim dotarli i zadzwonili do bramy domu numer cztery.

Z początku ze środka nic nie było słychać, dopiero po kolejnym

bezlitośnie głośnym sygnale usłyszeli, że ktoś schodzi po schodach. Zanim drzwi się otworzyły, Munster zauważył, że mimo panującej wokół pluchy zupełnie zaschło mu w ustach. Nagle zwątpił, że będzie w stanie wydobyć z siebie choćby słowo. Drzwi się uchyliły.

– Dzień dobry – powiedział Reinhart. – Możemy wejść?

Van Veeteren ubrany był w coś granatowo-czerwonego, co prawdopodobnie było kiedyś szlafrokiem. Do tego na nogach miał brązowe klapki. Nie wyglądał zbyt rześko, zaś pod pachą trzymał zwiniętą gazetę.

– Reinhart? – zdziwił się i otworzył drzwi szerzej. – I Münster. Co, u licha?

– No – udało się wydukać Münsterowi – można powiedzieć, że to my.

– Wchodźcie – odparł Van Veeteren, machając na nich gazetą. – Cholerny deszcz. A o co chodzi?

– Najpierw usiądźmy – powiedział Reinhart.

Weszli po schodach. Van Veeteren wprowadził ich do wiekowego salonu. Oni obaj usiedli w fotelach, natomiast on stał. Münster przygryzł wargę i zebrał się w sobie.

– Twój syn – powiedział. – Erich. Bardzo mi przykro, ale Reinhart twierdzi, że ktoś go zabił.

Kiedy potem się nad tym zastanawiał, wydawało mu się, że mówiąc to, zamknął oczy.

## 8

Kiedy Jung i Rooth zaparkowali przed Trattoria Commedia około drugiej w niedzielę, przestało już padać. Dwaj technicy pod nadzorem inspektora le Houde wciąż zajmowali się porzuconym peugeotem. Samochód, jak również oddalone od niego o dziesięć metrów miejsce znalezienia zwłok oddzielono białą-czerwoną taśmą.

Przeście pomiędzy nimi też zresztą odgradzono. Rooth zatrzymał wóz i podrapał się w głowę.

– Co w zasadzie spodziewają się znaleźć w samochodzie?

– Nie mam pojęcia – odparł Jung. – Przecież pożyczył go na kilka miesięcy od tego typu z więzienia. Może zresztą tamten jest w to jakoś zamieszany.

– Nie wiem, ale na pewno wygląda na to, że to nie Elmer Kodowsky walnął go w głowę. Nie miał przepustki od ośmiu miesięcy. Trudno o lepsze alibi.

– Może – przytaknął Jung. – To co, wchodzimy do środka zdybać barmana czy chcesz jeszcze trochę posiedzieć i połapać wszy?

– Już skończyłem – odparł Rooth. – Cholera, co za podła sprawa. Nie lubię, jak przestępstwa dopadają nas samych. Ktoś taki jak VV zasłużył przecież na swego rodzaju immunitet.

– Wiem. Nie mówmy o tym. Po prostu chodźmy tam i zróbmy, co do nas należy, a potem napijemy się kawy.

– Dobra. Absolutnie się zgadzam.

Barman nazywał się Alois Kummer i nie wyglądał na zbyt szczęśliwego.

Jung nie bardzo rozumiał dlaczego, bo facet był młody, opalony i silny. Usiedli przy pustym barze, naprzeciwko niego. Uznali, że dopóki nie pojawią się klienci, mogą rozmawiać w tym miejscu. To

znaczy uznali tak Jung i Rooth, ale chyba Kummer też, bo nie zaprotestował.

– Miał pan zmianę we wtorek wieczorem? – zaczął Jung.

– Tylko do dziewiątej – odparł Kummer.

– Właśnie na tej porze dnia się skupiamy – powiedział Rooth. – Mieliście dużo klientów?

Kummer wyszczerzył zęby. Wyglądały na zdrowe i mocne, a w tej chwili miały chyba wyrażać ironiczny uśmiech.

– Ilu?

– Może tuzin – odparł Kummer. – W najlepszym momencie. Napiją się panowie czegoś?

Jung pokręcił głową. Rooth wyłożył zdjęcia na ladę.

– A ten mężczyzna? – zapytał. – Był tutaj? Proszę się zastanowić i dopiero wtedy odpowiedzieć.

Barman wpatrywał się w zdjęcia przez dziesięć sekund, trzymając się przy tym za kolczyk w uchu.

– Tak mi się wydaje – odparł.

– Wydaje się panu?

– No był tu, no. Jadł przy jednym ze stolików. Nie przyglądałem mu się specjalnie.

– O której? – zapytał Jung.

– Coś między piątą a szóstą... Tak, wyszedł stąd piętnaście po szóstej, na chwilę przed tym, jak przyszła Helene.

– Helene?

– Jedna z dziewczyn z kuchni.

– Są państwo parą? – zapytał Rooth.

– A co to, do cholery, ma wspólnego z tą sprawą? – Po Kummerze widać było, że się zirytował.

– Nigdy nie wiadomo – odparł Rooth. – Życie to pasmo niesamowitych powiązań.

Jung chrząknął.

– Siedział sam czy z kimś? – zapytał.

– Sam – odpowiedział bez namysłu Kummer.

– Cały czas? – ciągnął Rooth.

– Cały czas.

– A ile osób tu wtedy jadło? To znaczy między piątą a szóstą.

Kummer chwilę się zastanawiał.

– Niewielu, może z czterech, pięciu.

– Wygląda na to, że sezon się skończył – stwierdził Rooth.

– A pan by grał w golfa w taką pogodę? – zapytał Kummer.

– W golfa? – zdziwił się Rooth. – To ta gra, w której turla się jajko po trawniku?

Kummer nie odpowiedział, ale po tatuażu na ręce widać było, że drgnął.

– A wcześniej nigdy nie przychodził tu, żeby coś zjeść albo się napić? – Jung spróbował wrócić do tematu.

Kummer pokręcił głową.

– A ilu klientów siedziało przy barze?

– Dwóch, trzech. Nie pamiętam dokładnie. Kilku wpadło tylko na chwilę, zazwyczaj tak jest.

– Aha – odparł Jung. – A nie zwrócił pan może uwagi na to, czy ktoś wyszedł za tym samotnym klientem? To znaczy chwilę po nim?

– Nie. Jakim cudem miałbym pamiętać takie rzeczy?

– Nie wiem – odparł Jung. – Ale tak się składa, że ktoś go zabił na parkingu przed lokalem, najprawdopodobniej kilka minut po tym, jak stąd wyszedł, więc dobrze by było, gdyby pan sobie przypomniał.

– Robię, co mogę – wyjaśnił mu Kummer.

– Świetnie – powiedział Rooth. – Naszym celem nie jest żądanie od pana niemożliwego. A czy pamięta pan z tamtego wieczoru coś wyjątkowego? Przypomina pan sobie cokolwiek godnego uwagi?

Kummer przez chwilę myślał.

– Nie sądzę. Nie... Było jak zwykle. Całkiem spokojnie.

– A więc nigdy wcześniej się tu nie pojawił? – zapytał jeszcze Jung, wskazując długopisem na zdjęcie.

– Nie, przynajmniej nie odkąd ja tutaj pracuję.

– Ma pan dobrą pamięć do twarzy?

– Tak, z reguły pamiętam ludzi, których spotkałem.

– A jak długo pan tu pracuje?

– Od trzech miesięcy.

Rooth zauważył stojącą nieco dalej miseczkę orzeszków ziemnych.

Zsunął się z krzesła, podszedł do niej i nabrał sobie garść. Barman przyglądał mu się sceptycznie, marszcząc przy tym czoło. Jung odchrząknął.

– A ten samochód – zaczął. – Ten peugeot na parkingu. Jak rozumiem, stał tutaj od wtorku?

– Tak mówią – odparł Kummer. – Ale dopiero dziś się zorientowałem.

– Lepiej idzie panu rozpoznawanie twarzy niż samochodów?

– Owszem.

– A jaka pogoda była we wtorek wieczorem?

Kummer wzruszył ramionami.

– Było szaro, jak sędzę. I wiało. Ale z drugiej strony, jak może panowie zauważyli, bar jest we wnętrzu lokalu.

– Co pan powie. – Rooth wybrał resztkę orzeszków z miski.

– Jak pan tutaj dojeżdża? – zapytał Jung. – Też korzysta pan z parkingu? Bo chyba nie mieszka pan na Dikken?

Kummer pokręcił głową i wyszczerzył zęby.

– Najczęściej dojeżdżam tramwajem. Czasami zabieram się z Helene albo kimś z personelu. Zresztą i tak nikt od nas nie korzysta z parkingu. Mamy kilka prywatnych miejsc na tyłach restauracji.

– A ile osób tu pracuje? – zapytał Rooth.

– Około dwunastu, ale na jednej zmianie są góra trzy, cztery osoby. Jak mówiłem, o tej porze roku jest już po sezonie.

– No tak, istotnie – przytaknął Rooth i rozejrzał się po pustym lokalu. – Tak więc nie wie pan, kto go zabił?

Kummer aż się wzdrygnął.

– Że co? Jasne, że nie wiem, do cholery. Chyba nie możemy brać odpowiedzialności za to, że komuś coś takiego przytrafiło się na naszym parkingu?

– Oczywiście że nie – uspokoił go Rooth. – Cóż, myślę, że na razie panu dziękujemy. Może będziemy się jeszcze odzywać.

– A po co? – zapytał Kummer.

– Bo tak właśnie pracujemy – odpowiedział Jung.

– Bo lubimy orzeszki – dodał Rooth.

W niedzielę wieczorem Moreno i Reinhart wybrali się na Ockfener Plejn. Było to zaledwie kilka przecznic od komendy, tak więc mimo wiatru i zacinającego deszczu poszli na piechotę.

– Muszę przewietrzyć głowę – wyjaśnił Reinhart. – No i ta pogoda pasuje do naszego nastroju, to dobrze.

– Jak to przyjął? – zapytała Moreno.

Reinhart szedł w milczeniu, odpowiedział dopiero po chwili.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Na pewno nie zrobił się rozmowniejszy. Münsterowi ledwo udało się przez to przebrnąć. Straszne.

– Był sam?

– Nie, dzięki Bogu była u niego jego nowa kobieta.

– Dzięki Bogu – powtórzyła Moreno. – Fajna jest?

– Tak sądzę.

Doszli do starego placu i znaleźli właściwy numer. Dom stał w rzędzie z innymi, równie wąskimi i wysokimi. Był dość zniszczony, miał przybrudzoną sadzą fasadę, okna były zaniedbane. Weszli po schodkach prowadzących do wejścia. Moreno nacisnęła domofon, obok którego wisiała tabliczka z odręcznie wypisanym nazwiskiem.

Marlene Frey otworzyła po trzydziestu sekundach i kolejnym sygnale. Twarz miała nieco opuchniętą, a oczy trzy razy bardziej zaczerwienione od płaczu, niż kiedy Moreno przesłuchiwała ją na komendzie przed południem. Mimo wszystko po tej delikatnej kobiecie widać było pewną siłę woli i hart ducha.

Moreno zauważyła też, że Marlene Frey się przebrała. To znaczy założyła tylko inną parę dżinsów i zmieniła czerwoną koszulkę na żółtą, ale może dlatego, że zaczynała się godzić z tym, co się stało. Może powoli zaczynała rozumieć, że życie musi się toczyć dalej. Nie wyglądała, jakby była na tabletkach uspokajających. Choć oczywiście coś takiego trudno jest stwierdzić.

– Witamy – powiedziała Moreno. – Czy choć trochę się pani prześpała?

Marlene Frey pokręciła głową.

Moreno przedstawiła Reinharta, po czym wszyscy przeszli wąskimi schodami na trzecie piętro.

Dwa małe pokoje i wąska, zimna kuchnia, nic więcej. Bordowe ścia-



ny i kilka mebli na krzyż, w tym większość stanowiły poduszki i kolorowe pufy do siadania lub leżenia. Do tego kilka dużych roślin doniczkowych i kilka plakatów. Przed gazowym kominkiem w większym pokoju stały dwa wiklinowe krzesła i niski taboret. Marlene Frey usiadła na taborecie, a Moreno i Reinhartowi wskazała miejsca na krzesłach.

– Napiją się państwo czegoś?

Moreno pokręciła głową. Reinhart chrząknął.

– Wiemy, że to dla pani straszne chwile – powiedział. – Mimo wszystko musimy zadać pani kilka pytań. Jeśli teraz nie da pani rady, proszę powiedzieć, możemy porozmawiać jutro.

– Proszę pytać teraz.

– Nikogo u pani nie ma? – zapytała Moreno. – Przyjaciółki lub kogoś bliskiego?

– Przyjaciółka przyjdzie później. Ale proszę się nie niepokoić, dam sobie radę.

– Zatem mieszkaliście tu razem? – zapytał Reinhart, przysuwając się bliżej kominka. Wyglądało na to, że to jedyne źródło ciepła w całym mieszkaniu, lepiej więc było się trzymać blisko niego.

– Tak – potwierdziła Marlene Frey. – Mieszkamy tu. To znaczy mieszkaliśmy.

– Jak długo byliście ze sobą? – zapytała Moreno.

– Prawie dwa lata.

– Wie pani, kim jest jego ojciec? – zapytał Reinhart. – Oczywiście nie ma to nic wspólnego z tym, co się stało, ale dla nas to wyjątkowo nieprzyjemna sprawa. Nawet jeśli...

– Wiem – przerwała mu Marlene Frey. – Rzadko się ze sobą kontaktowali.

– Wiemy – przytaknął Reinhart. – A kontaktowali się w ogóle?

Marlene Frey przez chwilę się wahała.

– Nigdy go nie spotkałam – odparła. – Wydaje mi się jednak, że ich stosunki zaczęły się nieco poprawiać.

Reinhart skinął głową.

– Spotykali się? – zapytała Moreno.

– Erich odwiedził go kilka razy tej jesieni. Chociaż teraz oczywiście nie ma to żadnego znaczenia.

Głos jej zadrżał, szybko przejechała dłońmi po twarzy, jakby chciała wygładzić jej wyraz. Moreno zauważyła, że Marlene Frey ma rude, lekko zaniedbane włosy, nie wyglądała jednak na uzależnioną od alkoholu czy narkotyków.

– Może więc skupmy się na wtorku – zaproponował Reinhart, wyciągając przy tym fajkę i tytoń. Marlene Frey przyzwalającą skinęła głową.

– Zatem Erich pojechał do tej restauracji na Dikken – powiedziała Moreno. – Domyśla się pani po co?

– Nie. Nie mam pojęcia. Mówiłam to już dziś rano.

– Miał jakąś pracę? – zapytał Reinhart.

– Zajmował się tym i owym. Najmował się przy budowach jako stolarz, malarz i tym podobne. Obawiam się, że najczęściej na czarno, no ale... Był taką złotą rączką.

– A pani? – zapytała Moreno.

– Chodzę na kurs dla bezrobotnych. Finanse, informatyka i takie tam bzdury, ale dostaję za to zasiłek. I dorabiam w różnych sklepach, jeśli akurat kogoś potrzebują. W sumie jakoś dajemy... dawaliśmy sobie radę. To znaczy finansowo. Erich dorabiał też w drukarni Stemmingera.

– Rozumiem – odparł Reinhart. – W końcu miał na swoim koncie to i owo, że tak powiem.

– A kto nie ma? – powiedziała Marlene Frey. – Ale wyszliśmy na prostą, proszę, żebyście o tym pamiętali.

Przez chwilę wyglądała, jakby miała wybuchnąć płaczem, wzięła jednak głęboki oddech, a potem wydmuchała nos.

– Proszę opowiedzieć, co się działo we wtorek – poprosił Reinhart.

– Nie bardzo jest o czym opowiadać. Przed południem byłam na kursie, a po południu przez kilka godzin pracowałam w sklepie przy Kellnerstraat. Spotkałam Ericha w domu, między pierwszą a drugą. Chciał iść komuś pomóc z jakąś łodzią, a wieczorem miał jeszcze coś do załatwienia.

– Z łodzią? – zapytał Reinhart. – Jaką łodzią?

– To łódź jego dobrego znajomego. Chyba chodziło o wykończenie wnętrza.

Moreno zapisała nazwisko i adres, Marlene Frey podała je jej z notesu, który przyniosła z kuchni.

– A ta sprawa do załatwienia wieczorem? – zapytał Reinhart, kiedy już skończyły spisywać dane. – O co chodziło?

Marlene Frey wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Chodziło o jakąś robotę?

– Prawdopodobnie.

– A może o coś innego?

– To znaczy?

– No... coś, co nie było pracą...

Marlene Frey wyciągnęła chusteczkę i kolejny raz wydmuchała nos. Oczy jej się zwięziły.

– Rozumiem – odparła. – Bardzo dobrze rozumiem. Tylko przez wzgląd na jego znanego ojca jest pan tak cholernie uprzejmy. Gdyby nie on, traktowalibyście Ericha jak pierwszego lepszego łajzę. A mnie jak zaćpaną dziwkę.

– Ależ... – zaczęła Moreno.

– Nie musicie się wysilać – ciągnęła Marlene Frey. – Przecież wiem, jak było. Erich miał sporo na sumieniu, ale w ostatnich latach już z tym skończył. Skończyliśmy brać i nie jesteśmy żadnymi kryminalistami. Chociaż chyba nie ma sensu wyjaśniać tego glinom, prawda?

Ani Moreno, ani Reinhart nie odpowiedzieli. Przez chwilę gwałtowne słowa Marlene Frey wisiały w powietrzu nagrzanym od gazowego kominka. Rozpierzchły się dopiero, kiedy z ulicy dobiegło skrzypienie tramwaju.

– Dobrze – powiedział Reinhart. – Rozumiem, może ma pani rację. Jednak sytuacja wygląda, jak wygląda. A dziwnie jest oberwać za to, że wyjątkowo traktuje się kogoś jak przyzwoitego człowieka. Chyba co do tego jesteśmy zgodni i nie ma co się nad tym zatrzymywać. Możemy iść dalej?

Marlene Frey przez chwilę się wahała. Potem przytaknęła.

– Zatem Dikken – powiedział Reinhart. – Co mógł tam mieć do roboty? Coś chyba musi pani wiedzieć?

– To mogło być cokolwiek – odparła Marlene Frey. – Możliwe, że

wasz wydział narkotykowy właśnie próbuje coś znaleźć, ale przysięgam, że nie o to chodziło. Erich skończył z tym, jeszcze zanim zostaliśmy parą.

Reinhart przyglądał się jej przez chwilę.

– No dobra. Uznajmy więc, że tak było. Mogło chodzić o jakiś zarobek? Czy może tylko o spotkanie z kumplem, dajmy na to? A może o wyświadczenie komuś przysługi?

Marlene Frey się zastanawiała.

– Myślę, że to była jakaś robota.

– A mówił, że wybiera się właśnie na Dikken?

– Nie.

– I nie mówił, o co chodziło?

– Nie.

– Nawet nie zasugerował?

– Nie.

– A pani nie zapytała?

Marlene Frey z westchnieniem pokręciła głową.

– Nie. Erich potrafił mieć po siedem–osiem różnych robót w tygodniu. Tylko czasami o tym rozmawialiśmy.

– Mówił, kiedy wróci? – zapytała Moreno.

Marlene Frey znów się zamyśliła.

– Zastanawiałam się nad tym, ale nie jestem pewna. Byłam pewna, że wróci około ósmej–dziewiątej, ale nie jestem pewna, czy faktycznie tak powiedział.

Zagryzła wargę. Moreno widziała, że jej oczy nagle napełniły się łzami.

– Proszę sobie popłakać – powiedziała do Marlene Frey. – Przecież może pani płakać i mówić jednocześnie.

Marlene Frey natychmiast zastosowała się do jej rady. Moreno pochyliła się i niezgrabnie pogłaskała ją po ramieniu. W tym czasie Reinhart usiadł w innej pozycji, załadował fajkę i ją zapalił.

– Może pamięta pani jakieś imię? – zapytała Moreno, kiedy Marlene Frey zaczęła się już uspokajać. – Może wspomniał o kimś, mówiąc o tej sprawie do załatwienia?

Marlene Frey pokręciła głową.

– A nie wie pani, czy był tam już wcześniej? Może często tam jeździł?

– Na Dikken? – zaśmiała się. – Nie, to że tak powiem, za wysokie progi...

Moreno też się uśmiechnęła.

– A może ostatnio coś go niepokoiło? Może zdarzyło się coś dziwnego, co według pani w jakiś sposób łączy się z zabójstwem?

Marlene Frey otarła oczy rękawem i przez chwilę się zastanawiała.

– Nie – odparła w końcu. – Nic takiego sobie nie przypominam.

– A nie zawierał ostatnio żadnych nowych znajomości?

– Nie. Erich znał wiele osób... i to z różnych kręgów.

– Rozumiem – podpowiedział Reinhart. – Na przykład tego Elmera Kodowsky'ego, który pożyczył mu samochód?

– Na przykład – przytaknęła Marlene Frey.

– A nie kontaktowaliście się z nim ostatnio?

Pokręciła głową.

– Teraz siedzi w więzieniu. Nie wiem w którym. To stary znajomy Ericha, nie znam go za bardzo. Widzieliśmy się zaledwie kilka razy

– A pani nie czuła żadnego zagrożenia? – zapytała Moreno.

– Ja? – Marlene Frey wyglądała na zdziwioną. – Nie, absolutnie.

Na chwilę zapadła cisza. Marlene Frey pochyliła się bliżej kominka, pocierając przy tym ręce i starając się wykorzystać rozchodzące się ciepło.

– Dość długo trwało, zanim zawiadomiła pani policję – zauważył Reinhart.

– Wiem.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Może człowiek tak właśnie reaguje w podobnych sytuacjach. Nie sądzi pan?

Reinhart nie odpowiedział.

– Miała pani jakiś kontakt z matką Ericha? – zapytała Moreno.

– Nie. W ogóle. Ale chętnie porozmawiałabym z jego ojcem, więc przekażcie mu, jeśli będziecie go widzieć, że chciałabym mu coś powiedzieć.

- Tak? A co? – zapytał Reinhart.
- Powiem to tylko jemu.

Po rozmowie z Marlene Frey usiedli na chwilę w Café Gambrinus, żeby krótko omówić wrażenia.

– Na razie nie ma żadnych punktów zaczepienia, co nie? Niech to cholera – zaczął Reinhart.

– Prawda, żadnych – zgodziła się Moreno. – Wygląda to trochę tak, jakby umówił się na randkę ze swoim zabójcą. Choć pewnie nie wie-dział, jak się to skończy. Dziwne w każdym razie, że siedział sam w restauracji. O ile oczywiście można polegać na tym, co mówili Ro-oth i Jung. To może oznaczać, że ten ktoś nie stawiał się na umówione spotkanie.

– Możliwe, ale nie zapominajmy, że wszystko mogło mieć prostszy przebieg.

– To znaczy? – Moreno wypięła łyk grzanego wina.

– To mógł być zwykły napad rabunkowy. Może jakiś ćpun z młotkiem w ręku uznał, że potrzebuje gotówki. Ktoś wyczyścił mu kieszenie, zabrał nawet papierosy i klucze, a to o czymś świadczy.

Moreno pokiwała głową.

– Myślisz, że tak to wyglądało? – zapytała.

– Może tak, może nie. I wcale nie musi chodzić o tę samą osobę. To znaczy ktoś inny mógł go zabić, a ktoś inny wyczyścić kieszenie. Ten facet, który dzwonił ze zgłoszeniem, chyba miał co nieco na sumieniu, nie sądzisz?

– Prawdopodobnie – powiedziała Moreno. – Ja w każdym razie skłaniam się ku temu, że nie chodziło o zwykły napad, tylko o coś więcej. Ale nie wiem... może wydaje mi się, że tak się stało, bo ofiarą był właśnie on. Choć to oczywiście skrzywiony sposób myślenia.

– Myślenie często bywa skrzywione – odparł Reinhart. – Jakby się dobrze przyjrzeć, to intuicja niewiele się różni od uprzedzeń. Więc bez względu na wszystko możemy zacząć od tego.

Mówiąc to, wyciągnął czarny notes, który Marlene Frey pożyczyła im, prosząc, żeby zwrócili go, kiedy tylko spiszą co trzeba.

– To dowód na to, że ostatnio żyli praworządnie – powiedziała Mo-

reno. – Bo kto, mając coś na sumieniu, z własnej woli udostępnia policji notes z adresami.

Reinhart kartkował notes z ponurą miną.

– Nazwisk w cholere – westchnął. – Chyba trzeba będzie jeszcze z nią pogadać i poprosić, żeby zrobiła wstępną selekcję.

– Jutro z nią porozmawiam – zaoferowała się Moreno. – Dobra, nie ma co tu dłużej siedzieć. Raczej nie zniesiemy złotego jajka.

Reinhart zerknął na zegarek.

– Pani inspektor ma absolutną rację. Jedno w każdym razie jest pewne.

– Co?

– Musimy rozwiązać tę sprawę. Nawet jeśli do końca tego stulecia mielibyśmy nie rozwiązać żadnej innej, to akurat z tą musi nam się udać. Choć tyle jesteśmy mu winni.

Moreno oparła głowę na rękach i chwilę się zastanawiała.

– Gdyby chodziło o kogoś innego, pomyślałabym, że to pompatyczne morały druha drużynowego – powiedziała. – Przyznaję jednak, że w pełni się zgadzam. I tak już jest źle, a będzie jeszcze gorzej, jeśli morderca zostanie na wolności. Odezwiesz się do niego jutro? Może chciałby wiedzieć, jak nam idzie.

– Obiecałem, że będę go informował na bieżąco. I będę, czy tego chcę, czy nie.

Moreno skinęła głową z ponurą miną. Potem dopili wino i wyszli z kawiarni, zostawiając lokal, miasto i cały świat własnemu losowi.

Przynajmniej na kilka godzin.

## 9

Obudził się i spojrzął na zegarek.

Za kwadrans piąta. Przespał dwadzieścia minut.

Erich nie żyje, pomyślał. To nie jest sen. Naprawdę nie żyje.

Poczuł, jak palą go oczy. Jakby chciały wyjść z głowy. Edyp, przyszło mu nagle na myśl. Król Edyp... A gdyby tak jak on wędrować po świecie, szukając łaski. To by było coś. Może to miałyby jakiś sens. Erich. Erich nie żyje. Mój syn.

Niesamowite, że też jedna myśl może tak wypełniać świadomość godzinę po godzinie. W zasadzie to nawet nie myśl, tylko te trzy słowa. Ich zestawienie, cisnące się do głowy niczym mantra w obcym języku: Erich nie żyje, Erich nie żyje, Erich nie żyje. I tak minuta po minucie, sekunda po sekundzie. Ułamek każdej sekundy po ułamku każdej sekundy. Erich nie żyje.

A może to wcale niedziwne. Zapewne tak musi być. Od teraz już tak będzie. To będzie kamień węgielny reszty jego życia. Erich nie żyje. Jego synowi udało się wreszcie przejąć nad nim władzę. Swoją śmiercią zyskał w końcu miłość i uwagę ojca. W taki właśnie sposób. Cały Erich.

Załamie się, pomyślał Van Veeteren. Rozpadnę się na kawałki, ale nic mnie to nie obchodzi. Trzeba było umrzeć, kiedy była na to pora.

Kobieta leżąca u jego boku poruszyła się i obudziła. Ulrike.

Ulrike Fremdli, która związała się z nim mimo wszelkich wątpliwości i duchowych rozterek. Jego, nie jej.

– Spałeś choć trochę?

Pokręcił głową.

– W ogóle?

– Pół godziny.

Przesunęła ciepłą dłonią po jego piersi i brzuchu.



- Napijesz się herbaty? Mogę ci zrobić.
- Nie, dziękuję.
- Chcesz pogadać?
- Nie.

Obróciła się na drugi bok. Przysunęła się jednak bliżej niego. Po chwili usłyszała, że zasnęła. Odczekał jeszcze kilka minut, po czym ostrożnie wstał, przykrył ją kołdrą i wyszedł do kuchni.

Czerwone cyfry na radiu stojącym przy oknie wskazywały 04:56. Za oknem wciąż panowała ciemna noc. Tylko kilka strużek światła padało z latarni na narożnik pograżonej w mroku posesji po drugiej stronie ulicy. To Guijdermann, stara piekarnia. Przedmioty, które mógł odróżnić w kuchni, też były spowite w czerń. Stół i krzesła. Kuchenka, blat, półka nad szafką, sterta gazet w ustawionym w rogu koszu. Otworzył drzwi lodówki, po czym zaraz je zamknął. Z szafki wyjął szklankę i napił się wody z kranu. Erich nie żyje, pomyślał. Nie żyje.

Wrócił do sypialni i się ubrał. W tym czasie Ulrike kilka razy poruszyła się niespokojnie, ale się nie obudziła. Wykradł się do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Założył buty, szalik i kurtkę. Wyszedł z domu i cicho zszedł po schodach na ulicę.

Padał niewielki deszcz, a może raczej mżyło. Wokół unosiła się miękka zasłona złożona z ruchomych, lekkich jak puch kropli. Było na pewno jakieś siedem–osiem stopni na plusie. Nie wiało. Ulice opustoszały niczym przed długo spodziewanym atakiem bombowym. Ciemne i pograżone same w sobie oraz w bezwstydnym śnie otaczających je domów.

Erich nie żyje, pomyślał i ruszył przed siebie.

Wrócił po półgodzinie. Ulrike siedziała w ciemnej kuchni, w rękach trzymała kubek herbaty. Wyczuł jej pełen wyrzutów niepokój pomieszany z empatią, ale dla niego nie znaczyło to więcej niż źle trafione lub zbyt formalne kondolencje.

Mam nadzieję, że to wytrzyma, pomyślał. Mam nadzieję, że nie pociągnę jej za sobą.

– Przemokłeś – powiedziała. – Daleko poszedłeś?

Wzruszył ramionami i usiadł ciężko na krześle naprzeciwko niej.

– Poszedłem w stronę Löhr – odparł. – Wcale tak bardzo nie pada.

– Zasnęłam. Przepraszam.

– Musiałem się przejść.

Pokiwała głową. Po pół minuty wyciągnęła ręce przez stół i położyła dłonie przed nim. Chwycił je po chwili. Objął swoimi i uścisnął, choć z mieszanymi uczuciami. Wiedział, że Ulrike czegoś się spodziewa, że powinien coś powiedzieć.

– Kiedy byłem dzieckiem – zaczął – znałem pewną starszą parę. Nazywali się Bloeme.

Nieznacznie skinęła i spojrzała wyczekująco. Przez chwilę wędrował spojrzeniem po jej twarzy, a potem zaczął opowiadać dalej.

– To znaczy w sumie nie byli tacy znowu starzy, ale sprawiali wrażenie najstarszych ludzi na świecie. Mieszkali kilka domów od nas i prawie nigdy nie wychodzili z domu. Można ich było zobaczyć tylko czasami w niedzielne popołudnia. Wtedy na całej ulicy zamierało życie. Zawsze szli pod rękę, ocienioną stroną chodnika, on zawsze miał na sobie kapelusz. Emanował z nich prawdziwy żal. Wisiał nad nimi jak chmura. Mama opowiedziała mi ich historię, nie miałem wtedy więcej niż siedem–osiem lat. Państwo Bloeme mieli kiedyś dwie córki. Dwie śliczne córeczki, które pewnego razu pojechały razem do Paryża. Zamordowano je tam pod mostem. Od tamtej pory ich rodzice zerwali kontakty z ludźmi. Dziewczynki wróciły do domu we francuskich trumnach. I taka właśnie była ich historia. Ja i inne dzieci zawsze traktowaliśmy ich z największym szacunkiem.

Zamilkł i puścił dłonie Ulrike.

– Dzieci nie powinny umierać przed rodzicami.

Pokiwała głową.

– Napijesz się herbaty?

– Chętnie. Możesz dodać kilka kropli rumu.

Wstała. Podeszła do blatu i włączyła elektryczny czajnik. Przez chwilę szukała odpowiedniej butelki w szafce. Van Veeteren wciąż siedział przy stole. Zacisnął dłonie i oparł na nich brodę. Zamknął powieki i znów poczuł, jak oczy go palą. Piekący ból rozchodził się w głąb głowy i w górę, w stronę skroni.

– Już kiedyś to przeżyłem.

Ulrike się obróciła i spojrzała na niego.

– I nie mam tu na myśli pracy. Chodzi mi o to, że nie raz sobie wyobrażałem śmierć Ericha. Myślałem, że to ja będę go musiał pochować, nie on mnie. Nie ostatnio, ale dawniej. Osiem–dziesięć lat temu. Takie sceny dość wyraźnie stawały mi przed oczami. Ojciec, który chowa syna, sam nie wiem, może wszyscy rodzice tak mają.

Ulrike postawiła na stole dwa kubki i znów usiadła naprzeciwko.

– Ja nie – odparła. – A przynajmniej nie w takim stopniu. A dlaczego tak cię to prześladowało? Musiał być jakiś powód.

Van Veeteren pokiwał głową i ostrożnie spróbował mocnego, słodkiego napoju.

– Owszem. – Przez chwilę się zastanawiał. – Owszem, był powód. Przynajmniej jeden... Kiedy Erich miał osiemnaście lat, próbował popełnić samobójstwo. Naszpikował się tabletkami. Taka dawka wystarczyłaby dla pięciu, sześciu dorosłych. Jego dziewczyna znalazła go i na czas dowiozła do szpitala. Gdyby nie ona, umarłby. To było ponad dziesięć lat temu. Przez jakiś czas śniło mi się to każdej nocy. Nie tylko jego puste, pełne zwątpienia i poczucia winy spojrzenie na tle szpitalnego łóżka... czasami śniłem, że mu się udało i że muszę chodzić zmieniać kwiaty na jego grobie. I tak dalej. To trochę tak, jakbym... jakbym wtedy przygotowywał się na teraz. Teraz to się dzieje naprawdę, a wtedy wiedziałem, że prędzej czy później to się musi wydarzyć. To znaczy czułem. Potem prawie o tym zapomniałem, a teraz proszę. Erich nie żyje.

Zamilkł. Ktoś, roznosiciel gazet, a może któryś z sąsiadów, przeszedł klatką schodową. Ulrike chyba chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

– Teraz, podczas spaceru, próbowałem wejść do kościoła – powiedział Van Veeteren. – Ale był zamknięty. Możesz mi wyjaśnić, dlaczego kościoły muszą być zamknięte?

Delikatnie pogłaskała go po dłoniach. Minęła minuta. Dwie. Ona zastanawiała się, co powiedzieć, on ją w pełni rozumiał.

– Erich nie umarł, bo chciał – stwierdziła w końcu. – A to duża różnica.

Nie odpowiedział. Uwolnił prawą rękę z jej uścisku i napił się herbaty.

– Może tak – odparł w końcu. – Może to istotna różnica. Teraz trudno mi to stwierdzić.

Potem znów zapadła cisza. Przez okna zaczęło zaglądać szare światło poranka. Było kilka minut po siódmej. Za oknami ulica i całe miasto budziły się do kolejnego listopadowego poranka. Do życia.

– Nie mogę już o tym rozmawiać – powiedział Van Veeteren. – To, że ubiorę to w kolejne słowa, i tak niczego nie zmieni. Przepraszam, że jestem taki milczący. I dziękuję, że tu jesteś. Jestem ci niewymownie wdzięczny.

– Wiem – odparła Ulrike. – I nie chodzi mi o słowa. Bo tu w ogóle nie chodzi o nas. Pójdziemy się jeszcze położyć na chwilę?

– Gdybym to ja mógł być na jego miejscu.

– Takie gdybanie i tak niczego nie zmieni.

– Wiem. Jak to gdybanie.

W porze lunchu zadzwoniła Renate, jego była żona i matka Ericha. Rozmawiała z nim dwadzieścia minut. To rozmawiała, to płakała. Kiedy odłożył słuchawkę, przypomniał sobie, co mówiła mu Ulrike.

To w ogóle nie chodzi o nas.

Postanowił o tym nie zapominać. Ulrike straciła męża w podobnych okolicznościach. To było prawie trzy lata wcześniej, właśnie wtedy się poznali. Van Veeteren i Ulrike Fremdli. Można było przypuszczać, że wie, o czym mówi.

To znaczy na tyle, na ile w takiej sytuacji można wiedzieć. O drugiej wsiadł do samochodu i pojechał na lotnisko, żeby odebrać Jess. Już kiedy podeszła do niego w hali przylotów, widać było po niej desperację. Padli sobie w ramiona i stali tak, jak mu się wydawało, godzinami. Po prostu stali, wśród całego tego zgiełku, który zawsze panował na Sechshafen. Stali i tulili się w milczącym, bezbrzeżnym żalu.

On i jego córka Jess. Jess, która w Rouen zostawiła męża i bliźniaki. Siostra Ericha. Jedyne dziecko, które mu zostało.

– Nie chcę się jeszcze spotykać z mamą – wyznała, kiedy schodzili na parking. – Nie możemy gdzieś pojechać i trochę posiedzieć?

Pojechał aż do Zeeport, do niewielkiego pubu przy Egerstadt. Zadzwoił do Renate i wyjaśnił, że trochę się spóźni. Resztę popołudnia spędzili, siedząc naprzeciwko siebie przy oknie z widokiem na deszcz i wydmy. Oraz na błękitnoszare nadmorskie niebo, które niczym ciężka kopiała zwieszało się nad wietrznym, pustym wybrzeżem. Jess z uporem trzymała palce jednej ręki splecione z jego palcami, nie puściła ich nawet, kiedy jedli. I chyba zupełnie jak Ulrike, Jess rozumiała, że słowa nie są tu potrzebne.

Że to w ogóle nie o nich chodzi. Bo chodziło o Ericha i o to, by go przy sobie zachować.

– Widziałeś go? – zapytała w którymś momencie.

Owszem, widział. W niedzielę odwiedził na chwilę Zakład Medycyny Sądowej. Uważał, że Jess też powinna to zrobić. O ile będzie chciała. Może następnego dnia, zaoferował, że może jej towarzyszyć.

Zapytała go też, kto to zrobił. Wyjaśnił jej, że nie wie.

A dlaczego?

Tego też nie wiedział.

O wpół do szóstej wyszli z pubu i czterdzieści pięć minut później wysadził Jess przed domem Renate na Maalerweg, gdzie miała się zatrzymać. Renate wyszła na schody i z łkaniem uściskała córkę. Van Veeteren, nie wdając się w czułości, wyciągnął tylko walizki z tylnego siedzenia i umówił się na spotkanie następnego dnia. Zaproponował przedpołudnie i wspólne odwiedziny u Ericha, bo Renate jak dotąd też jeszcze nie zdążyła, a może nie dała rady do niego pójść.

Kiedy wrócił do domu, na kuchennym stole znalazł wiadomość od Ulrike. Pisała, że go kocha i że wróci około dziewiątej. Przyrzędził sobie grzane wino i rozsiadł się w ciemnym salonie. Puścił płytę Pendereckiego, ale po chwili ją zatrzymał.

Tu nie trzeba słów, pomyślał. Muzyki też nie. Erich nie żyje. Tu trzeba ciszy.

Po czterdziestu minutach zadzwonił Reinhart.

– Jak tam? – zapytał.

– A jak myślisz? – odparł Van Veeteren.

– Jesteś sam?

– Tak, ale na krótko.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Reinhart zastanawiał się, co powiedzieć.

– Chcesz o tym pogadać? Możemy się jutro spotkać na chwilę.

– Nie wykluczam – odpowiedział Van Veeteren. – Jakby co, zadzwonię. Wiecie już, kto to zrobił?

– Nie mamy pojęcia.

– Chcę, żebyście go znaleźli.

– Znajdziemy. Jeszcze jedno...

– Co?

– Marlene Frey. Jego dziewczyna. Spotkałeś ją?

– Rozmawiałem z nią przez telefon.

– Chcę, żebyś się z nią skontaktował.

– Dobrze – odparł Van Veeteren. – Oczywiście. A mogę cię prosić o przysługę?

– Jasne.

Van Veeteren przez chwilę się wahał.

– Kiedy go złapiecie... to znaczy kiedy schwytacie sprawcę... ja też chcę go spotkać.

– A po co? – zapytał Reinhart.

– Bo tak. Jeśli zmienię zdanie, dam ci znać.

– Dobra. Oczywiście. Będiesz mógł mu spojrzeć prosto w oczy, obiecuję.

– Im wcześniej, tym lepiej.

– Zrobię, co mogę.

– Dzięki. Wiem, że mogę na tobie polegać – powiedział Van Veeteren.

## 10

– Mam gdzieś, czym się teraz zajmujecie – powiedział Reinhart. – Mam gdzieś, czy musicie wyrobić trzysta nadgodzin na tydzień. Mam gdzieś, co myślicie i mówicie. Ta sprawa to nasz priorytet. Zamordowano syna *komisarza* i nawet jeśli ktoś zastrzeli ministra spraw wewnętrznych albo zgwałci papieża, inne sprawy odkładamy na bok, dopóki nie rozwiążemy tej. Jasne? Zrozumieliście? Czy ktoś chce coś dodać? Jeśli nie, to radzę brać dupy w troki. Cholera, to nie miało trafić na taśmę.

– Nie mam nic przeciwko – powiedział Rooth.

Inni też nie mieli. A przynajmniej nikt nie zgłosił sprzeciwu. Przy biurku już i tak zrobiło się duszno. Reinhartowi udało się zdobyć do pokoju cztery dodatkowe krzesła. Rzecz jasna na komendzie były i większe pomieszczenia, ale nigdzie nie mógł sobie tak swobodnie palić, a odkąd urodziła się im córka, zawarł z żoną pakt o wypalaniu całej nikotyny poza domem.

Teraz zatem siedziało u niego siedmiu przedstawicieli wydziału śledczego. Inspektorzy Moreno, Rooth i Jung. Aspirant Krause, jak zwykle młody i obiecujący. Aspirant deBries oraz nowy nabytek, czyli stażysta Bollmert, przeniesiony tu z Aarlach do czasu, kiedy to Münster wróci po zakończeniu śledztwa, które wszczęto z inicjatywy ministerstwa, po tym jak przed dziesięcioma miesiącami oberwał nożem w nerkę. Nie bez znaczenia dla sprawy była też znaczna liczba nadgodzin.

A do tego on sam – Reinhart, obecnie *komisarz* Reinhart. Jeśli jednak ktoś mówił o *komisarzu*, to nigdy nie miał na myśli jego, no chyba że komendant Hiller, który przez to starał się być ironiczny lub zabawny. Dla pozostałych *komisarz* oznaczał komisarza Van Veeterena, przez półtorej dekady szefa, zaś dwukrotnie dłużej postać numer je-

den wydziału kryminalnego w Maardam, który to nieco ponad dwa lata temu zstąpił z Parnasu sprawiedliwości, by dzielące go od emerytury lata przepracować jako współwłaściciel i sprzedawca w antykwaracie Krantzego położonym przy zaułku Kupinsky'ego.

Rzecz jasna w pełni zasłużenie, nikt przecież nie żałował mu spokoju i czasu spędzanego wśród książek, co więcej, wszyscy tęsknili za nim z mieszaniną przestachu, szacunku i podziwu.

I oto teraz tenże *komisarz* znów był zamieszany w sprawę. I to w najgorszy możliwy sposób... wprawdzie nie jako ofiara, ale niemal. Zamordowano mu syna. Niech to, pomyślał komisarz Reinhart. Niech to cholera jasna strzeli! Wielokrotnie w swojej tak zwanej karierze myślał, że już gorzej być nie może, że przyszedł już szczyt wszystkiego. A jednak to było gorsze. Tak piekielnie okrutne, że aż przekraczało jego pojęcie.

Muszę zapanować nad gniewem, pomyślał. Muszę trzymać go na dystans, inaczej będzie mi tylko wadził.

– Mimo wszystko spróbujmy jednak zapomnieć, że chodzi o *komisarza* Van Veeterena – powiedział. – To znaczy spróbujmy zapomnieć o osobistym zaangażowaniu. Trzeba do tego podejść jak do wszystkich innych spraw... choć ta akurat jest dla nas priorytetem. Musimy ją rozwiązać. Inaczej nic z tego. A teraz jak zwykle zaczynamy od kwestii naukowych.

Ze sterty na biurku wyciągnął odpowiednią kartkę, po czym odchrząknął.

– Ericha Van Veeterena zabito, zadając mu dwa ciosy tępym narzędziem w głowę – wyjaśnił. – Każdy z ciosów sam w sobie był śmiertelny. A przynajmniej ten drugi, który trafił w kark, jak twierdzi Meusse, który dopatruje się w nim wręcz znamion profesjonalizmu. Broń zapewne była dość ciężka, możliwe że z metalu, bez ostrych kantów. Mogła to być jakaś rura lub coś w tym stylu. Jak dotąd jej nie znaleźliśmy.

– A to szkoda – zauważył deBries. – To by wiele ułatwiło.

Reinhart na chwilę wbił w niego wzrok, potem kontynuował.

– Czas: wtorek wieczorem. Biorąc pod uwagę, co zauważyli świadkowie w Trattoria Commedia, prawdopodobnie było to chwilę po



18.15. Można się domyślać, że zabójca zaatakował na parkingu, a potem przeciągnął ofiarę w krzaki, gdzie przeleżała do ostatniej soboty, kiedy to dostaliśmy zgłoszenie telefoniczne. Jeśli chodzi o to, kto przywłaszczył sobie zawartość jego kieszeni, to możemy tylko spekulować. Może zrobił to sam zabójca, a może ktoś inny. A ten ktoś inny mógł być zarazem naszym anonimowym panem Informatorem. Ślady? Wskazówki? Motywy? Nie mamy żadnych. Komentujcie!

– Czy w jego ubraniach znaleziono jakieś ślady narkotyków? – zapytał Bollmert. Zapewne stara się zrobić dobre wrażenie, pomyślał Reinhart. Ten rumiany stażysta służył na komendzie zaledwie od kilku tygodni, więc z pewnością chciał się wykazać. To akurat Reinhart był w stanie zrozumieć.

Zresztą to, że nie znał *komisarza*, mogło działać na jego korzyść, jak zauważył Rooth. Przynajmniej w tej sytuacji.

– Nie, jeśli chodzi o ubrania – odparł Reinhart. – We krwi też nie, ani na włosach czy paznokciach. Możemy chyba założyć, że jego dziewczyna mówi prawdę? Szkoda, że nie powiedział jej, co miał zamiar robić na Dikken. Tak przynajmniej nam mówiła.

– Skoro nie powiedział, to znaczy, że coś musiał kombinować – zauważył Rooth. – Nic nie wspomniał ani dziewczynie, ani Ottonowi Meyerowi, któremu tamtego popołudnia pomagał przy jachcie.

– Temu Meyerowi nie powiedział nawet, że jedzie na Dikken? – zapytała Moreno.

– Nie – odparł Jung. – Wspomniał tylko, że musi iść o wpół do piątej, bo ma jakąś robotę.

– Robotę? – wtrącił Reinhart. – Tak się wyraził?

Jung przytaknął.

– W tym punkcie porządnie przycisnęliśmy Meyera. I tak, użył słowa „roboty”. Co do tego nie ma wątpliwości. W każdym razie opuścił hangar przy Greitzengraacht kilka minut po wpół do piątej. Wcześniej zajmowali się wewnątrz kajuty. Mieli skończyć w tym tygodniu, taki był plan. Swoją drogą, niczego sobie ten jacht, nie ma co... Osiemnaście metrów długości, sześć koi, teakowa boazeria, barek i cała reszta. Ten Meyer to cholerny kombinator, ale taki, co to nie wpada, nic dla nas.

– I nic więcej wam nie powiedział? – zapytał Reinhart.

– Nic a nic – odparł Rooth.

Jung wzruszył ramionami i zrobił zasmuconą minę. Reinhart westchnął.

– No to świetnie – powiedział. – Wszystko wygląda mizerniej niż wegetarianin po biegunce. Mamy coś jeszcze?

Znał odpowiedź, mimo wszystko jednak powiódł wzrokiem po zgromadzonych, próbując przy tym wyglądać optymistycznie.

– Notes z adresami – odparł w końcu deBries.

– Otóż to – przytaknął Reinhart. – Jak zwykle masz głowę na karku. I jak idzie z tym notesem?

DeBries rozłożył ręce, omal przy tym nie szturchając Rootha w brodę.

– Uważaj! Wymachujesz jak semafor, do cholery – powiedział Rooth.

Bollmert zaśmiał się nerwowo.

– Sprawdzamy – odpowiedział nieporuszony deBries. – Do notesu wpisanych jest sto czterdzieści sześć osób prywatnych oraz około pięćdziesięciu instytucji i tym podobnych. No i około tuzina niejasnych kontaktów... wykreślone adresy, bazgroły i tym podobne. Wygląda na to, że miał ten notes od sześciu–siedmiu lat. Tak przynajmniej obstawia jego dziewczyna, chociaż ona sama znała go od trzech. Jak dotąd zidentyfikowała trzydzieści pięć osób, jutro je sprawdzimy.

– A mieli jakichś wspólnych znajomych, których nie ma w notesie? – zapytał Jung.

DeBries pokręcił głową.

– Ogólnie rzecz biorąc, nie. Najwidoczniej Erich był dokładny. Zapiisał na przykład dane faceta, którego przed kilkoma tygodniami spotkali na imprezie.

– Hm. Sugerujesz, że jedno z tych nazwisk należy do zabójcy?

– Jeśli to był ktoś znajomy, to szanse są duże.

– No dobra – zgodził się Reinhart. – Dostaniesz do pomocy Moreno, Krausego i Bollmerta. Tylko, na Boga, bądźcie dokładni i niczego nie przegapcie. Przesłuchujcie ich twarzą w twarz i nagrywajcie każdą

rozmowę. Pamiętajcie, że żadne pogaduchy przez telefon nie wystarczą. No i opracujcie baterię pytań, chcę na nią najpierw spojrzeć. Jakie mają alibi na miniony wtorek i tym podobne. Bez owijania w bawełnę. Jasne? Bo jak na razie mamy tylko to.

– Jasne jak słońce – odparł deBries. – Nie jestem głupi.

– Czasami może lepiej być – wymamrotał Reinhart. Zapalił fajkę i wypuścił nad głowy zgromadzonych kilka obłoków dymu.

– A ta dziewczyna? – zapytał Jung. – Trzeba z nią jeszcze raz pogadać o tym, co się ostatnio działo, jakie mieli plany i tak dalej, nie?

– Oczywiście – odparł Reinhart. – Ja się tym zajmę. Rooth i Jung mogą się znów wybrać do restauracji, Rooth się na pewno ucieszy. Jutro w prasie pojawi się komunikat, że szukamy każdego, kto pojawił się w pobliżu parkingu. To zawsze przynosi jakiś skutek... cóż, jeśli nie da się łowić głęboko, to trzeba łowić szeroko.

– Święte słowa – przytaknęła Rooth. – Chociaż te najbardziej oślizgłe typy chowają się w głębinach, nie? Taki węgorz, na przykład.

– Zgadza się – powiedział Bollmert, który o mało co, a byłby się urodził na rybackim kutrze. Teraz jednak nie była pora na takie tematy.

– A co, u licha, mają z tym wspólnego węgorze? – zapytał Reinhart.

Na kilka sekund zapadła cisza. Szef wypuszczał w powietrze kolejne obłoki dymu, a inni patrzyli.

– A co wy o tym myślicie? – odezwał się w końcu deBries. – Przecież musimy mieć jakieś hipotezy, nie? Dlaczego go zabito?

Reinhart odchrząknął.

– Powiem ci, kiedy już będę więcej wiedział o ostatnim tygodniu – obiecał. – Młody Van Veeteren miał kogoś spotkać na Dikken. Prawdopodobnie chciał na tym zarobić trochę kasy i zapewne nie chodziło tu o sprzedaż okolicznościowej gazetki. Na razie tego musimy się trzymać.

– No i oberwał – dodał Rooth.

– Od tego, z kim miał się spotkać, albo od kogoś innego – powiedział Jung.

– Od tego typu, od którego pożyczył auto? – zapytał Bollmert.

– Jego możemy wykluczyć – odparł Reinhart po dwóch sekundach.

– Facet siedzi w zakładzie w Hole i z tego, co wiemy, nie kontaktowali się ze sobą od miesiący. No i od dawna nie miał przepustki.

– A za co siedzi? – zainteresował się Rooth.

– Ma całkiem sporo na koncie – stwierdził Reinhart. – Rozbój i przemyt ludzi między innymi. Nielegalne posiadanie broni. Razem cztery lata. Zostało mu jeszcze dwa i pół, mniej więcej.

– No dobra – odparł deBries. – Wykluczamy go. Coś jeszcze? Jestem głodny, nie jadłem od tygodnia.

– Ja też nie – zawtórował mu Rooth.

Reinhart odłożył fajkę na popielniczkę.

– Jeszcze jedno – dodał poważnym tonem. – Wczoraj wieczorem rozmawiałem z *komisarzem* i obiecałem, że rozwiążemy tę sprawę. Mam nadzieję, że wszyscy rozumieją powagę sytuacji? To, co mówiłem na początku, potraktujcie jak najbardziej serio. Musimy to wyjaśnić. Musimy! Zrozumiano?

Rozejrzał się.

– Nie jesteście głupi – odparł deBries. – Mówiłem już przecież.

– Sprawa będzie rozwiązana – dodał Rooth.

Dobrze mieć załogę, która ufa we własne siły, pomyślał Reinhart, ale się nie odezwał.

Van Veeteren zatrzymał się w południowo-zachodnim rogu podłużnego placu Ockfener Plejn. Wzdrygnął się z zimna i jeszcze głębiej wsunął ręce do kieszeni płaszcza. Rozejrzał się. Do minionej soboty nie wiedział, że Erich tu mieszkał. Chociaż może ta informacja utkwiała mu gdzieś w podświadomości? Jesienią spotkali się tylko dwa razy: raz na początku września, a potem ponad trzy tygodnie temu. Mimo wszystko... – pomyślał, próbując znaleźć maszynkę do papierosów, mimo wszystko mieli jako taki kontakt. Ostatnio. Zaprosił Ericha do domu, rozmawiali ze sobą jak cywilizowani ludzie. Naprawdę. Wszystko było na dobrej drodze. Nie wiadomo co dokładnie, bo wszystko było jakieś pogmatwane i niejasne, ale jednak... Erich opowiadał mu o Marlene Frey, chociaż, o ile Van Veeteren pamiętał, nie wymienił jej imienia. Wtedy musiał też powiedzieć, gdzie mieszkają, bo i czemu miałyby o tym nie mówić? Po prostu potem o tym zapo-

mniał.

Zatem mieszkali tutaj. Prawie w samym centrum starówki. W tej zniszczonej, dziewiętnastowiecznej kamienicy. Wpatrywał się właśnie w jej brudną od sadzy fasadę. Trzecie piętro, przedostatnie. Za oknem częściowo przesłoniętym balkonikiem z przerdzewiałą balustradą paliło się światło. Wiedział, że Marlene jest w domu i na niego czeka. Ona, narzeczona jego zmarłego syna, której nigdy nie widział. Nagle z całą mocą uświadomił sobie, że nie podoła. Dziś nie da rady zadzwonić do tych oblażących z farby drzwi.

Popatrzył na zegarek. Zbliżała się szósta. Mrok, który zaczął już spowijać miasto, wydawał się mroźny i wrogi. W powietrzu unosił się dziwny zapach siarki lub fosforu. Nie rozpoznawał go, w pewnym sensie ten zapach był tu obcy. Deszcz na chwilę odpuścił, ale wiadomo, że o tej porze roku nigdy nie odchodzi daleko. Zapalił papierosa. Spuścił wzrok, może ze wstydu, a może z innego powodu, sam nie wiedział. Zauważył przy tym kawiarnię w przeciwległym krańcu rynku i kiedy już skończył palić, właśnie tam skierował swoje kroki. Zasiadł z ciemnym piwem przy jednym z okien, przez które nie dało się ani wyjrzeć, ani zajrzeć. Oparł głowę na rękach i zaczął rozmyślać nad dniem.

Tym dniem. Trzecim, w którym obudził się ze świadomością, że jego syn nie żyje.

Najpierw spędził godzinę w antykwariacie, gdzie wyjaśniał sprawy Krantzemu. Podzielili na nowo grafik na najbliższy tydzień. Nie miał nic przeciwko staremu Krantzemu, ale wiedział, że nigdy nie zostaną kimś więcej niż współnikami. Co do tego nie miał wątpliwości.

Potem zaliczył kolejną wizytę w Zakładzie Medycyny Sądowej, tym razem w towarzystwie Renate i Jess. Czekał przed drzwiami, kiedy one weszły do kostnicy. Oglądać martwe ciało syna raz to i tak aż nadto, pomyślał. I w zasadzie ta myśl towarzyszyła mu też teraz, kiedy popijał piwo. Raz wystarczy, przecież niektórych obrazów czas i zapomnienie i tak nie wyretuszują. Takich obrazów nie trzeba sobie odświeżać, bo one nigdy nie tracą na aktualności. Po wyjściu z kostnicy Jess była opanowana. Wprawdzie w każdej ręce trzymała wymiętą chusteczkę, ale mimo to była opanowana.

Renate była równie otepiała, jak przed wejściem. Zastanawiał się nawet, na jakich jest tabletkach i ile ich bierze.

Później była rozmowa z Meussem. Średnio im to poszło. Meusse wyglądał, jakby miał wybuchnąć płaczem, a to rzadki widok.

Następnie poznał Jess z Ulrike. To było światełko w tunelu – spotkanie przebiegło nad wyraz dobrze. Wystarczyło pół godziny spędzone nad winem i sałatką w salonie na Klagenburgu. I nie chodziło o słowa, nawet nie o niego samego i Ulrike, tylko o coś między kobietami, czego on nigdy nie zrozumie. Między niektórymi kobietami. Kiedy potem żegnali się w holu, poczuł się niemal obcy, aż się uśmiechnął mimo żałoby.

Później zadzwonił do Marlene Frey i umówił spotkanie. Była dość rzeczowa, powiedziała, że może do niej wpaść każdego dnia po siemdemnastej. Wtedy będzie w domu. I będzie czekać na rozmowę z nim. Muszę panu coś powiedzieć, dodała.

Będzie czekać na rozmowę? Coś powiedzieć?

A teraz on siedzi tu i oblewa się zimnym potem, zimniejszym od piwa. Dlaczego?

Sam nie wiedział. Wiedział za to, że dziś na pewno temu nie podoła. Kiedy skończył pić, zapytał, czy może skorzystać z telefonu. Stał w nieco śmierdzącym moczem korytarzu między toaletą damską i męską i zadzwonił do narzeczonej zmarłego syna wyjaśnić, że coś mu wypadło.

Czy będzie jej pasować jutro? Albo pojutrze?

Powiedziała, że będzie. Choć trudno jej było ukryć rozczarowanie.

Jemu zresztą też, gdy w deszczu wyruszył z Ockfener Plejn w stronę domu. Rozczarowanie i wstyd.

Sam siebie już nie rozumiem, pomyślał. Przecież tu nie chodzi o mnie. Czego się boję, co ja, do cholery, wyrabiam?

Mimo wszystko poszedł prosto do domu.

Reinhart obudził się, kiedy Winnifred wyszeptała jego imię. I kiedy położyła mu na brzuchu chłodną dłoń.

– Miałeś uśpić małą – powiedziała. – A nie sam siebie.

Ziewnął i przez chwilę się przeciągał. Ostrożnie wstał z wąskiego

łóżeczka Joanny i cicho wyszedł z jej sypialni. Rozsiadł się za to w salonie na sofie, na której jego żona już póležała pod kocem.

– Opowiadaj – powiedziała.

Chwilę się zastanawiał.

– Ta sprawa przypomina szatański trójząb, ot co – odparł w końcu.

– Napijesz się wina?

– Tak, proszę. A co do szatana, to wszystko wydaje się być jak powinno, w końcu był trójgłowy już u Dantego.

– Za czasów Dantego kobiety, które wiedziały za dużo, palili na stosach. Białe czy czerwone?

– Czerwone. I to nie było tak, palili je później. Zatem?

Reinhart wstał i poszedł do kuchni. Nalał dwa kieliszki wina i wrócił. Zajął swoje miejsce na kanapie i zaczął opowiadać.

Trochę to trwało, ale ani razu mu nie przerwała.

– A co z tą triadą? – zapytała, kiedy skończył.

Reinhart wypił łyk wina i odpowiedział.

– Po pierwsze, nie mamy najbledszego pojęcia, kto to zrobił. A to już samo w sobie z reguły jest straszne.

– Wiem – odparła Winnifred.

– Po drugie, ofiara to syn samego *komisarza*.

– Okropność. A po trzecie?

Reinhart znów zrobił pauzę na zastanowienie.

– A po trzecie, wygląda na to, że był w coś zamieszany. Jeśli znajdziemy sprawcę, to zapewne jednocześnie okaże się, że Erich Van Veteren dopuścił się czynu kryminalnego. Kolejny raz. Pomimo tego, co twierdzi jego dziewczyna. A to na pewno nie jest coś, od czego rośnie ojcowskie serce, nieprawdaż?

– Rozumiem – Winnifred pokiwała głową i zakręciła kieliszkiem. – Rzeczywiście trójząb. Ale na ile pewne jest to z czynem kryminalnym? Może niekoniecznie chodziło o...?

– O tyle, o ile – przerwał jej Reinhart i postukał się palcem wskazującym w czoło. – Tego, co podpowiada mi intuicja, nie da się zlekceważyć. A poza tym... poza tym on zażyczył sobie rozmowy twarzą w twarz z mordercą, jeśli uda się go złapać. Mówię o *komisarzu*. Niech to... chociaż w sumie go rozumiem.

Winnifred zastanawiała się przez chwilę.

– Niemiła historia – powiedziała. – Ale czy może być gorzej?  
Właściwie to wszystko wygląda na wyreżyserowane.

– On też tak zwykle mówi – odparł Reinhart.



## 11

We wtorek, równo tydzień po zabójstwie, wszystkie większe gazety w Maardam opublikowały apel policji o pomoc w sprawie zabójstwa na Dikken. Do piątej po południu zadzwoniło dziesięć osób, zgłaszając, że tamtego dnia byli w Trattoria Commedia. Jung i Rooth zostali przydzieleni do zajęcia się zgłoszeniami. Sześć z nich zaklasyfikowali jako „drugorzędnej wagi” (termin ukuty przez Rootha), jako że nie zgadzały się godziny. Jednak z pozostałych zgłoszeń wynikało, że cztery osoby odwiedziły restaurację pomiędzy 17.30 i 18.30. Cały ten kwartet był na tyle uprzejmy, że wieczorem stawił się na przesłuchanie na komendzie.

Pierwszy delikwent, niejaki Rupert Pilzen, pięćdziesięcioośmioletni dyrektor banku zamieszkały przy Weimaar Alleé na Dikken, zaszedł we wtorek do Trattoria Commedia i przez chwilę siedział przy barze. Wypił tylko szklaneczkę whisky i piwo. Był tam mniej więcej pomiędzy 17.15 a 17.45. Czekał, aż żona skończy przygotowywać jedzenie. Zazwyczaj pozwalał sobie na tę chwilę relaksu po ciężkim dniu pracy, jak im wyjaśnił. O ile miał na to czas.

Podniósł okulary na czoło i dokładnie przyjrzał się zdjęciom Ericha Van Veeterena. Stwierdził, że nigdy go nie widział, ani w Commedii, ani nigdzie indziej, po czym rzucił wymowne spojrzenie na swój połyskujący zegarek. Zapewne ma w planach kolejną zasłużoną wizytę w barze, która właśnie staje pod znakiem zapytania, pomyślał Jung.

Czy zwrócił może uwagę na coś, co mogłoby im pomóc?

Nie.

Czy przypominał sobie jakieś twarze?

Nie.

Czy w barze był ktoś jeszcze?

Pilzen zmarszczył czoło, a na podwójnym podbródku zrobiły mu się głębokie fałdy. Nie, odparł, przecież cały czas siedział sam. Chociaż pod koniec przyszła jakaś kobieta. Krótka obcięta, około czterdziestki, trąciła feministką. Usiadła przy barze i zamówiła drinka. Dość daleko od niego. Wydawało mu się, że miała gazetę. I tyle.

– Gdyby w lokalu mieli inny bar, pewnie usiadłaby tam – zauważył Rooth, kiedy dyrektor Pilzen już wyszedł z pokoju na swoich krzywych nogach. – Ty tłusty bucu.

– Hm – odparł Jung. – Tak człowiek kończy, jeśli ma mnóstwo kasy, a żadnych przyzwoitych zainteresowań. Też byś taki był. To znaczy gdybyś miał pieniądze.

– Przyrowadź następnego.

Następna była para. Pan i pani Schwarz. Nie mieszkali na Dikken, ale odwiedzili tam znajomego, żeby omówić jakieś interesy. Nie wyjaśnili jakie. W drodze powrotnej zatrzymali się w Commedii, żeby zjeść, gdyż od czasu do czasu pozwalali sobie na taki luksus. W sensie na wizyty w restauracjach. Restauracjach w ogóle, nie tylko w Trattoria Commedia. Zaczęli w nich bywać zwłaszcza teraz, kiedy już wycofali się z życia zawodowego. To znaczy bywać, jak bywać. Zazwyczaj może raz w tygodniu.

Oboje byli po sześćdziesiątce i oboje od razu rozpoznali Ericha Van Veeterena, kiedy Jung pokazał im zdjęcie. Tak, był tam i jadł, zdaje się zwykle spaghetti, i o ile pani Schwarz dobrze pamiętała, siedział przy stoliku kilka metrów dalej. Oni jedli rybę. Turbota, gwoli ścisłości. I tak, owszem, ten młody mężczyzna był sam. Zapłacił i wyszedł z lokalu mniej więcej wtedy, kiedy oni dostali deser. Tuż po szóstej.

Czy byli tam inni goście?

Tak, w głębi lokalu siedziała jakaś młoda para. Przyszli tuż przed szóstą i chyba też zamówili tanie spaghetti. Oboje. Kiedy państwo Schwarz już skończyli, czyli około wpół do siódmej, młodzi jeszcze zostali.

Czy coś jeszcze rzuciło im się w oczy?

Nie, niby co?

A zwrócili uwagę, czy ktoś siedział przy barze?

Nie, stamtąd, gdzie siedzieli, nie było widać baru.

A czy zauważyli kogoś, przechodząc obok baru?

Trudno powiedzieć... chociaż zaraz, tak, siedział tam drobny mężczyzna w garniturze. Byli pewni. O ciemniejszej karnacji. Może Arab, a może Indianin albo coś w ten deseń.

Rooth zazgrzytał zębami. Jung podziękował i obiecał – na wyraźne żądanie pani Schwarz – że jak najszybciej wsadzą mordercę za kratki.

Bo przecież to straszne. To, że doszło do tego na Dikken i w ogóle. Bo może kojarzyli zabójstwo tej prostytutki, którą przybito gwoździami?

Owszem, kojarzyli, ale zmuszeni byli podziękować już państwu Schwarz, bo oto oczekiwał ich kolejny Obywatel Detektyw.

A raczej obywatelka. Nazywała się Liesen Berke. Miała około czterdziestki i siedziała przy barze w Trattoria Commedia od za piętnaście szósta do wpół do siódmej mniej więcej. Nie wyjaśniła, dlaczego się tam znalazła, bo przecież, do cholery, ma prawo napić się drinka gdziekolwiek, jeśli właśnie przyjdzie jej na to ochota.

– Istotnie – przytaknął Jung.

– Nawet dwa – dodał Rooth.

– Czy poznaje pani tę osobę? – zapytał Jung, pokazując jej zdjęcie.

Przez trzy sekundy się przyglądała, przez kolejne cztery kręciła głową.

– Siedział przy jednym ze stolików w części restauracyjnej pomiędzy...

– To jego zabili? – przerwała mu.

– Właśnie jego – odpowiedział Rooth. – Widziała go pani?

– Nie. Czytałam gazetę.

– Ach tak – odparł Rooth.

– Ach tak? – zdziwiła się Liesen Berke i rzuciła mu spojrzenie znad ośmiokątnych okularów.

– Ekhm – wtrącił Jung. – Czy w barze byli jacyś inni goście?

Spuściła wzrok z Rootha i zaczęła się zastanawiać.

– Wydaje mi się, że było dwóch... Tak, najpierw siedział tam taki

tlusty dyrektorek, ale potem sobie poszedł. A potem przyszedł taki zupełnie inny typ. Długie włosy, broda. Ciemne okulary, tak mi się wydaje. Wyglądał na jakiegoś rockowego artystę. Typ macho, mówiąc krótko. Zdemoralizowany.

– Rozmawiała pani z nim? – zapytał Jung.

Liesen Berke prychnęła z pogardą.

– Nie – odparła. – Oczywiście, że nie.

– A on nie próbował zagadać? – zapytał Rooth.

– Czytałam gazetę.

– I słusznie – stwierdził Rooth. – Nie ma co się wdawać w rozmowy z obcymi facetami w barze.

Jung posłał mu wymowne spojrzenie, więc Rooth się uciszył. Niech to, pomyślał Jung. Dlaczego nie wyślą go na kurs dyplomacji?

Liesen Berke zacisnęła wargi w cienką kreskę i też spojrzała na Rootha, jakby był kłopotliwym psim gównem, w które wdepnęła i które trudno zdrapać z podeszwy. Oczywiście po psie, nie po suce. Rooth wbił wzrok w sufit.

– Jak długo tam siedział? – zapytał Jung. – Ten zdemoralizowany rockman.

– Nie pamiętam. Ale wydaje mi się, że niedługo.

– Co pił?

– Nie mam pojęcia.

– Wyszedł z baru wcześniej niż pani, tak?

– Tak.

Jung przez chwilę nad czymś myślał.

– Rozpoznałaby go pani?

– Nie. W ogóle nie było widać jego twarzy. Tylko szopa włosów i okulary.

– Rozumiem – odparł Jung. – Dziękujemy pani, pani Berke. Pozwolę sobie uprzedzić, że jeszcze się do pani odezwiemy. Była pani nad wyraz pomocna.

– I co niby miało znaczyć to ostatnie zdanie? – zapytał Rooth, kiedy za Liesen Berke zamknęły się drzwi. – Nad wyraz pomocna? Co to za głodne kawałki?

Jung westchnął.

– Po prostu starałem się trochę ją udobruchać po tym, jak padła ofiarą twojego uroku – wyjaśnił. – Zresztą ten gość z baru wydaje się interesujący. Trzeba się wypytać, czy barman też go pamięta.

– Obstawiam jeden do dziesięciu – odparł Rooth. – Chociaż w tej grze chyba i tak trudno o większe szanse.

– A masz jakieś inne propozycje?

Rooth chwilę myślał.

– Możemy tam wpaść i przy okazji zjeść obiad – stwierdził. – Tak żeby spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, no wiesz.

– Zdemoralizowany? – zapytał Jung. – Czy powiedziała zdemoralizowany?

W pokoju Reinharta Moreno przysiadła na krześle dla gości.

– Jeszcze pracujesz?

Reinhart zerknął na zegarek. Wpół do siódmej. Wolałby, żeby było trochę wcześniej.

– Mam sporo spraw do podsumowania. A dość późno udało mi się złapać Marlene Frey. Jak wam idzie?

– Nie najlepiej – westchnęła Ewa Moreno. – Mówiąc szczerze, to nie jest najlepsza strategia.

– Wiem – odparł Reinhart. – Tylko gdybyś miała lepszą, to pewnie podzieliłabyś się nią z nami już na początku, czyż nie?

– Racja. Zapewne bym się podzieliła. Tak czy inaczej, idzie opornie. Rozmawialiśmy już z szesnastoma znajomymi Ericha Van Veeterena. Kierowaliśmy się przy tym listą od jego narzeczonej. Wszyscy są stąd. Do tych spoza miasta wysłaliśmy Bollmerta. Wraca w piątek. Jak na razie nikt nie powiedział nic ciekawego, ale też chyba nikt niczego nie ukrywa. Przynajmniej jeśli chodzi o tę sprawę.

– A alibi?

– Dzięki, że zapytałeś. Przez to, że pytamy o alibi, ludzie wcale nie obdarzają nas większą sympatią, no ale może bycie lubianym nie jest naszym obowiązkiem, jak zwykł mawiać *komisarz*. W każdym razie wszystko wydaje się w porządku. Niektórych jeszcze nie sprawdziliśmy, ale chyba nie do końca o to chodzi, prawda?

– Nie, dopóki nie zorientujemy się, że gdzieś coś śmierdzi. I to porządnie... bo jak rozumiem, wśród tych osób jest trochę podejrzanych typków?

– Owszem, wszelkiej maści. Niektórzy na pewno nie są zadowoleni z tego, że Marlene Frey tak lekkomyślnie powierzyła wrogowi notes z adresami. My jednak ignorujemy wszystko, co nie wiąże się ze sprawą. Zgodnie z rozkazem.

– Zgodnie z rozkazem – potwierdził Reinhart. Rozparł się na krześle, splótł ręce na karku i przez chwilę myślał.

– Jeśli masz ochotę na pogawędkę z panną Frey, to ja nie mam nic przeciwko temu – powiedział w końcu. – Są dwie rzeczy, na których się w życiu nieco sparzyła... policja i mężczyźni. A ty przynajmniej zaliczasz się tylko do jednej z tych kategorii.

Moreno pokiwała głową i przez chwilę milczała.

– A ty co o tym myślisz? – zapytała. – Co takiego przytrafiło się Erichowi?

Reinhart zacisnął zęby na cybuchu i potarł skronie.

– Sam nie wiem – odparł. – Nie mam pojęcia i to właśnie jest najgorsze. Zazwyczaj ma się przynajmniej jakieś przeczucie, o co chodzi w danej sprawie. Udaje się obrać jakiś kierunek, że tak powiem.

– A teraz nic?

– Nic. A ty masz jakieś pomysły?

Moreno pokręciła głową.

– Czy Marlene Frey wie o czymś, o czym nie chce nam powiedzieć? – zapytała.

Reinhart znów zamyślił się na chwilę. Próbował odtworzyć w głowie popołudniową rozmowę.

– Nie – odparł. – Nie sądzę. Chociaż może ty odniesiesz inne wrażenie, w końcu natura kobieca jest niezbadana.

– Ja znam ją na wylot. A rozmawiałeś jeszcze z *komisarzem*?

– Od wczoraj już nie. Może zadzwonię do niego dziś wieczorem. To grzebanie w sprawach jego syna też jest dla mnie nieprzyjemne. Bo wiadomo, że Erich nie był świętoszkiem. Całkiem sporo brudów, a dla niego to też trudne tak siedzieć w domu i rozpaczać, a przy tym mieć świadomość, czym się zajmujemy. Cholera, co za kanał!

– A te najnowsze brudy naprawdę są takie brudne? – zapytała Moreno.

– Może nie. – Reinhart wstał. – W każdym razie kilka lat temu były zdecydowanie brudniejsze. Niewykluczone, że jest tak, jak mówi Marlene Frey, to znaczy, że wstąpili na dobrą drogę. Szkoda tylko, że nie było mu dane zejść nią dalej. No ale, jak to ktoś powiedział, szkoda ludzi.

Podszedł do okna. Rozchylił żaluzje i wyjrzał na miasto i ciemne niebo.

– Z iloma spośród tych, z którymi się widział w ostatnim tygodniu... to znaczy o których wiemy, że się z nimi widział... udało się wam skontaktować?

– Z siedmioma – odparła Moreno pewnym głosem. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro porozmawiamy z kolejną siódmką...

– Okej. – Reinhart puścił żaluzje. – Potrzeba nam czegoś, co może się okazać końcówką cieniutkiej nitki. Prędzej czy później ją znajdziemy i trafimy po niej do kłębka, tylko musimy być cierpliwi. Zresztą to chyba żadna nowość, prawda?

– Owszem, żadna – zgodziła się Moreno. – Chociaż coś mogłoby wreszcie ruszyć, tak żebyśmy mogli obrać kierunek.

– Pobożne życzenia. No dobrze, na dziś kończymy. Przypominam ci, że mam rodzinę. Przynajmniej miałem dziś rano. A u ciebie co słychać?

– Wyszłam za mąż za pracę.

Reinhart uniósł brwi.

– To musisz zażądać rozwodu – powiedział poważnie. – Nie widzisz, że jesteś wykorzystywana?

W czwartek wieczorem podjęto pierwszą nieco bardziej formalną próbę podsumowania postępów śledztwa. Pięć i pół doby minęło od momentu znalezienia ciała Ericha Van Veeterena w krzakach przy parkingu na Dikken. Dziewięć, o ile ich wyliczenia były prawidłowe, odkąd ktoś je tam ułożył. Najwyższa pora na podsumowania, nawet jeśli daleko nie zaszli.

Zaczęli od narzeczonej ofiary.

Marlene Frey była kilkakrotnie przesłuchiwana zarówno przez Reinharta, jak i przez Moreno – którzy rzecz jasna wykazali przy tym maksimum taktu i zrozumienia – i, o ile oboje mogli stwierdzić, robiła, co mogła, by przekazać im wszystkie informacje i pomóc, jak tylko potrafi. Nie mogli na pewno narzekać na jej niechęć do współpracy, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, a oni przecież brali.

Liczba rozmów z przyjaciółmi i znajomymi zmarłego wzrosła do siedemdziesięciu dwóch. Po prawdzie ich treść dotyczyła wszystkiego po trosze, jednak każda zawierała dwa punkty: nikt nie miał pojęcia, kto chciałby pozbawić życia Ericha Van Veeterena, nikt też nie wiedział, co takiego chciał on załatwić na Dikken tamtego feralnego dnia.

Jeśli natomiast chodzi o zeznania świadków z Trattoria Commedia, zrelacjonowane przez inspektorów Rootha i Junga, to ich też przybyło, choć niewiele. Powoli jednak wyłonił się z nich jeden, dosłownie jeden, wąty trop, pierwszy i jak dotąd jedyny w całym śledztwie. Otóż obecność mężczyzny z długimi, ciemnymi włosami i z brodą, którego Liesen Berke zauważyła w barze we wtorek przed osiemnastą, potwierdziło kolejnych dwóch świadków: barman Alois Kummer oraz kucharz Lars Nielsen. Obaj byli na sto procent pewni (a więc razem na dwieście, jak optymistycznie zauważył Rooth), że o tej porze taki osobnik przez chwilę siedział z piwem przy barze.

Pewne jak w amen w pacierzu i jak dziwki na Zwille, jak mówiło się na mieście.

Rysopis okazał się trafny, przynajmniej jeśli chodzi o zgodność.

Ciemne włosy, ciemna broda, ciemne ubranie i okulary. Kucharz Nielsen przypomniał sobie nawet, że ów mężczyzna przy nodze barowego stołka postawił foliową torbę, ale w tej kwestii jedyną reakcją ze strony Kummera i Berke było wzruszenie ramionami. Czyli ani się z tym nie zgodzili, ani temu nie zaprzeczyli.

Kiedy już Rooth i Jung zrelacjonowali te kluczowe fakty, to jedyne światółko w tunelu, które pojawiło się po pięciu dniach żmudnej roboty śledczej, Rooth zebrał się na odwagę i oznajmił:

– Daję głowę, że to morderca tam siedział. Zapamiętajcie moje słowa.



Jakoś nikt nie zechciał wyrazić poparcia dla tego optymistycznego założenia, ale postanowiono jak najszybciej opublikować portret pamięciowy i komunikat.

Tak na wszelki wypadek.

I po to, żeby zebranie nie zakończyło się bez żadnych postanowień.

## 12

Obudził się przed świtem.

Ostatnio mu się to zdarzało.

Nigdy, kiedy akurat była u niego Vera Miller albo kiedy miała przyjść. Wtedy nie. Sprawy potoczyły się tak, że teraz spotykali się raz w tygodniu, z soboty na niedzielę, i zazwyczaj przytrafiało mu się to, właśnie gdy rozdzierała go tęsknota za nią. Budził się zlany zimnym potem. W środku nocy.

I kiedy tak leżał rozbudzony, pomiędzy trzecią a czwartą, podczas gdy cały świat spał, właśnie wtedy, w tych strasznych, ciągnących się w nieskończoność chwilach docierała do niego prawda. Widział w chłodnym, retrospekcyjnym świetle, czego się dopuścił. Uświadamiał sobie, że ta cienka powłoka trzymająca wszystko w kupie może w każdej chwili pęknąć. Nie wiedział, czy coś mu się wcześniej śniło, w każdym razie nie potrafił sobie przypomnieć żadnych obrazów. Zresztą, co oczywiste, nawet nie próbował. Ani tej nocy, ani w inne. Po ciemku wstał z łóżka, po omacku doszedł do biurka i zapalił lampę. Ciężko opadł na krzesło i sięgnął do kalendarza. Cholera, już dwadzieścia jeden dni minęło, odkąd przejechał chłopaka. Dziesięć, odkąd zabił szantażystę. Wkrótce miał się zacząć kolejny miesiąc. Wkrótce wszystko pójdzie w zapomnienie.

Nikt nie będzie pamiętał. Gazety przestały się już tym zajmować. Pisały o zabójstwie jeszcze na początku tygodnia. Policja znalazła ciało mężczyzny w sobotę, ale teraz media przestały się już interesować sprawą. Ani w czwartek, ani w piątek nie wspomniały o tym ani słowem.

Tak to jest. W dwudziestym pierwszym wieku ludzie będą żyli z dnia na dzień, pomyślał. Odkreślić grubą kreską, podsumować, jeśli jest co, zapomnieć i iść dalej. Oto motto naszych czasów. On sam taki

był. Człowiek przyszłości. Właściwie tylko te bezsenne chwile wiązały go z przeszłością i narzucały ciągłość.

Jednak nic nie było takie jak kiedyś. Paradoksalne, jak tamten wieczór, tamten głuchy odgłos i chłopak w błotnistym rowie wszystko zrewolucjonizowały. Jak bardzo zmieniły jego punkt widzenia. Otworzyły mu drzwi. Zerwały cumy. Wpuściły do jego życia Verę Miller. Tak, paradoks to właściwe słowo, a Chaos to sąsiad Boga.

Zabójstwo na Dikken nie miało już tej samej wagi. Absolutnie nie, było tylko następstwem. Czymś, co zmuszony był zrobić, nieubłaganą konsekwencją tego, że ktoś go widział tamtego wieczoru. To jak z bilami, które wprawione w ruch muszą toczyć się w danym kierunku. Czytał o takich teoriach w pismach specjalistycznych, i to całkiem niedawno. O ile dobrze zrozumiał, chodziło o nowomechanistyczne postrzeganie świata... a może o psychologię. No i o powinność wobec własnego życia. Po kilku dniach zdarzenia na Dikken przestały go poruszać. Mężczyzna, którego tam zabił, próbował się wzbogacić na cudzym nieszczęściu, w tym przypadku jego i chłopaka. Można by wręcz stwierdzić, że facet zasłużył sobie na śmierć. Wet za wet, jak mówią. Prostacki szantażysta, który przez tydzień stanowił ogromne zagrożenie, a któremu stawiał czoło na jego własnym gruncie i którego zlikwidował. Prosto i bezboleśnie. Przyszłość znów się przed nim otworzyła.

Przyszłość u boku Very Miller. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości, że tak będzie. Nie wahał się nawet przez ułamek sekundy, nawet podczas bezsennych chwil. Jeszcze nie powiedziała mężowi, że ma innego i że muszą się rozwieść, ale to była tylko kwestia czasu. Chodziło o kilka tygodni i o delikatne załatwienie sprawy. Andreas Miller nie był zbyt silnym człowiekiem, nie chciała go zniszczyć. Jeszcze nie. Ale już niedługo.

W oczekiwaniu na ten moment postanowili niczego nie planować. Pewne plany już się jednak narodziły. Wisiały w powietrzu, kiedy byli ze sobą. Kiedy się kochali, kiedy był w niej, kiedy ssał jej twarde i czułe brodawki. Kiedy siedzieli naprzeciwko siebie i jedli bądź pili wino albo po prostu leżeli w jego dużym łóżku, oddychali razem i w ciemnościach słuchali muzyki. Cały czas. Plany – jak dotąd jeszcze

nienazwane nadzieje na przyszłość i na nowe życie. Życie gdzieś indziej. On i Vera Miller. Kochał ją. Ona kochała jego. Oboje byli dorośli i nic nie wydawało się prostsze. Będą razem. Za pół roku. Za miesiąc. Wkrótce.

W tajemnicy próbował sobie to wszystko wyobrazić. Widział wyraźne, nasycone ciepłymi barwami obrazy. Obrazy z przyszłości, w której już nigdy nie będzie się musiał budzić w środku nocy.

Nigdy nie będzie musiał spoglądać przez tę kruchą powłokę.

Nigdy nie będzie musiał ocierać zimnego, śmierdzącego potu z ciała.

Vera, pomyślał. Dla ciebie mógłbym zabić jeszcze raz.

W sobotnim „Neuwe Blatt” pojawił się jego portret pamięciowy. Czytał gazetę przy śniadaniu i po kilku sekundach strachu wybuchnął śmiechem. Nic mu nie groziło. Wręcz przeciwnie. Spodziewał się tego. Przecież to by było niedorzeczne, gdyby nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy spędził tych kilka minut przy barze. Po chwili zrozumiał, że ten komunikat prasowy nie stanowił zagrożenia, a wręcz był swoistą gwarancją tego, że policja utknęła w martwym punkcie i że z ich strony nie musi się niczego obawiać. Naprawdę niczego.

W przeciwnym razie po co wyskakiwaliby z takim śmiechu wartym portretem pamięciowym?

Mężczyzna. Wiek nieokreślony. Ciemne, prawdopodobnie czarne ubranie. Długie, ciemne, prawdopodobnie czarne włosy. Broda i okulary. Zapewne w przebraniu.

Zapewne! Uśmiechnął się. Czy naprawdę spodziewali się, że znów włoży na siebie ten strój i ruszy w nim do miasta? Że wróci na miejsce zbrodni i kolejny raz odwiedzi Trattoria Commedia, czy co? Nigdy nie miał zbyt dobrego zdania na temat kompetencji policji, a tego ranka na pewno nie zmieniło się ono in plus.

I to mają być śledczy? – pomyślał. Raczej biedni krewni ze wsi.

Po południu przyszła Vera. Wcześniej kupił wino i jedzenie w hali targowej przy Keymer Plejn, ponieważ jednak nie widzieli się od sześciu dni, nie mieli wyjścia – zaczęli się kochać już w przedpokoju. Że też w człowieku może być tyle pasji. Że też po świecie chodzi taka

kobieta.

Po pewnym czasie zabrali się za wino i jedzenie. Została u niego na noc, kochali się jeszcze kilka razy, to tu, to tam i zamiast budzić się w środku nocy, tym razem o tej porze dopiero zasnął.

Głębokim i spokojnym snem. Przepelniony miłością oraz winem, z Verą Miller bardzo, ale to bardzo blisko.

Została do popołudnia. Odbyli poważną, godzinną rozmowę o miłości. O tym, co powinni zrobić z nią i ze swoją przyszłością.

Zdarzyło im się to po raz pierwszy.

– Nikt o tobie nie wie – powiedziała. – Ani Andreas, ani moja siostra, ani moi znajomi z pracy czy przyjaciele. Jesteś moją tajemnicą, ale nie chcę już tego tak ciągnąć.

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

– Chcę cię mieć cały czas.

– A twój mąż? – zapytał. – Co zamierzasz?

Zanim odpowiedziała, długo mu się przyglądała.

– Załatwię to – powiedziała. – W tym tygodniu. Przemyślałam sprawę do końca i wiem, że to jedyne wyjście. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

W poniedziałek pracował po godzinach. W drodze powrotnej, kiedy akurat mijał to miejsce, to poboczne, zauważył, że śpiewa razem z radiem. Uświadomił sobie przy tym, że od tamtego wieczoru nie minął jeszcze miesiąc. Listopad jeszcze się nie skończył, a wszystko zmieniło się w takim stopniu, że wydawało mu się to wręcz niemożliwe.

Nieprawdopodobne. Absolutnie nieprawdopodobne. Ale takie jest życie.

Kiedy wyciągał listy ze skrzynki, wciąż się uśmiechał i nucił, jednak przestał chwilę później, kiedy przy kuchennym stole czytał list. O ile sobie przypominał, bo przecież starych listów już się pozbył, ten wysłano na identycznym papierze i wetknięto do identycznej koperty jak dwa poprzednie. Napisany odręcznie, miał nie więcej niż pół strony.

Dwa życia.

Teraz masz na sumieniu dwa życia. Dałem ci wystarczająco dużo czasu na ujawnienie się, ale schowałeś się jak tchórzliwy kundel. Teraz cena za moje milczenie jest inna. Masz tydzień (dokładnie siedem dni), żeby zdobyć 200 000 guldenów. W banknotach. Niskie nominały.

Odezwę się jeszcze co do instrukcji. Nie popełnij drugi raz tego błędu. Już więcej nie dostaniesz szansy, żeby wykupić swoją wolność. Wiem, kim jesteś, i mam niezbite dowody przeciwko tobie, a moja cierpliwość ma swoje granice.

Przyjaciel

Przeczytał wiadomość trzy razy. Potem wyglądał przez okno. Padało. Nagle w nozdrzach poczuł zapach zimnego potu.

**III**

Ericha Van Veeterena pochowano podczas skromnej ceremonii w poniedziałek 30 listopada. Nabożeństwo odbyło się w jednej z bocznych kaplic kościoła Keymer i zgodnie z życzeniem najbliższych, zwłaszcza matki, wzięło w nim udział jedynie wąskie grono żałobników.

To również Renate wybrała celebransa i psalmy. Kierowała się przy tym wytycznymi, które, jak twierdziła, były ważne dla Ericha, ale co do słuszności których Van Veeteren miał poważne wątpliwości. Zresztą było mu wszystko jedno. Jeśli Erich miał jakieś potrzeby duchowe, to raczej nie takie, które dałoby się zaspokoić w kościelnych murach, pod sklepieniami i groźnie pnącymi się ku niebu wieżycami, tego akurat był pewien.

Pastor wygłądał stosunkowo młodo i żwawo. Kiedy odprawiał kolejne części obrządku w swoim wyspiarskim dialekcie, Van Veeteren siedział z zamkniętymi oczami i rękoma splecionymi na kolanach. Na prawo siedziała jego była żona, której obecność ledwo mógł ścierpieć nawet w takich okolicznościach. Na lewo – córka, którą kochał bardziej niż wszystko inne na świecie.

Z przodu stała trumna ze szczątkami jego syna.

Trudno było mu na nią patrzeć, może właśnie dlatego zamykał oczy.

Zamykał i wyobrażał sobie Ericha za życia. Albo też pozwalał myślom płynąć swobodnie. Pamięć sama dokonywała wyboru, wywołując kolejne obrazy i wspomnienia. To te z dzieciństwa: czytanie bajek na wietrznej plaży, nie wiadomo jakiej; wizytę u dentysty i na lodowisku, i w zoo Wegelen.

To znów te niedawne, z trudnego okresu. Z lat nałogu i więzienia. Próba samobójcza i długie, nieprzespane noce w szpitalu.

To znów z ich ostatniego spotkania. Może przede wszystkim te. Kie-



dy pojawiły się te najnowsze obrazy, nagle z przerażeniem uświadomił sobie, jak egoistycznym motywem się kieruje. Otóż chciał wyssać światło z tego spotkania. Chociaż jeśli każdy dzień niesie ze sobą sumę wszystkich poprzednich, to może zostanie mu to odpuszczone.

Przynajmniej dziś. Przynajmniej tu, przed trumną. Wtedy przez pół godziny siedział z Erichem przy kuchennym stole w domu na Klagenburgu. Erich przyszedł oddać wiertarkę, przysiedli więc na chwilę, żeby napić się kawy i pogadać o tym i owym. Teraz nie pamiętał już o czym. Nie chodziło jednak o uzależnienie, ani jedno, ani drugie, czy o zdolność wzięcia na siebie odpowiedzialności za własne życie ani o konflikt między interesem społecznym a prywatnym. Nie, to nie był żaden z tych ciężkich, wałkowanych od dawna i wyświechtanych tematów.

Ot, zwykła pogawędka, pomyślał. Żadnych wyrzutów. Rozmowa między dwojgiem ludzi, nieważne jakich, i to właśnie cała ta prostota i naturalność stanowiły światło.

Światło w ciemności. Chybotliwy płomyczek w przygnębiających ciemnościach. Kolejny raz przypomniała mu się scena z *Nostalgii* – wędrówka Gorczakowa przez wodę. Z *Nostalgii* Tarkowskiego. Często ją wspominał. A teraz, kiedy siedział w tej wiekowej katedrze i zamykał oczy przy trumnie syna, słuchając przy tym powolnej litanii pastora wznoszącej się ku gotyckim sklepieniom, to tak jakby... tak jakby przepełniało go poczucie wspólnoty. Choć to może za dużo powiedziane, ale była to wspólnota z różnymi bytami. Z Erichem, z jego własnym ojcem o niepojętym charakterze, który zmarł, zanim Van Veteren zdążył go zrozumieć i się z nim pojednać, z cierpieniem, ze sztuką i z procesem twórczym – jego wszelkimi możliwymi rodzajami – ale też z wiarą w życie po życiu oraz w wizje i ambicje budowniczego katedry... Z życiem i śmiercią oraz ciągle przemijającym czasem. Ze swoją córką Jess, która ciężko wspierała się na nim, raz na jakiś czas targana spazmami. Wspólnota.

A jednak działa, pomyślał. Cały ten obrządek działa. Utarte formuły zwyciężają wątpliwości. Przez setki lat uczyli nas, że do pustki i bólu trzeba dorobić sobie jakiś sens. I wzór. Ćwiczymy to już od dawna.

Ten urok przysł dopiero, kiedy z Jess u boku przeszedł obok trumny.

Kiedy odwrócił się do niej plecami i wyszedł z kaplicy. Wtedy opadła go dojmująca rozpacz. Omal nie stracił równowagi, musiał się przytrzymać ramienia córki. On jej, a ona jego. Renate szła po drugiej stronie, w dużej odległości od Jess. Zastanawiał się, dlaczego musi trzymać się tak daleko od niej. Dlaczego?

Potem, stojąc w mżącym deszczu przed ciężkimi drzwiami kościoła, myślał tylko: Kto go zabił? Chcę wiedzieć, kto zabił mojego syna.

Kto zdmuchnął ten płomyk.

– Jeszcze nie zrobiłam selekcji – powiedziała Marlene Frey. – To znaczy nie oddzieliłam jego rzeczy od swoich. Nie bardzo wiem, jak to załatwić, bo pan może chce coś zabrać?

Van Veeteren pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Przecież mieszkaliście ze sobą. Rzeczy Ericha są naturalnie twoje.

Siedzieli przy stoliku w Adenaar's. Marlene Frey piła herbatę, on zamówił kieliszek wina. Nie paliła. Sam nie wiedział, czemu go to zdziwiło, ale jednak zdziwiło. Erich zaczął palić, kiedy miał piętnaście lat. Może nawet wcześniej, ale dopiero wtedy go przyłapał.

– W każdym razie któregoś dnia może pan wpaść i się rozejrzeć – zaproponowała. – Może będzie pan chciał coś na pamiątkę.

– Może zdjęcia? – przyszło mu do głowy. – O ile masz jakieś. Ja chyba nie mam ani jednego zdjęcia Ericha z ostatnich dziesięciu lat.

Posłała mu krótki uśmiech.

– Jasne. Mam ich trochę. Przynajmniej kilka.

Pokiwał głową i spojrzał na nią z miną winowajcy.

– Przepraszam, że jeszcze dotąd nie byłem u ciebie z wizytą. Ja... tyle się działo.

– Nigdy nie jest za późno – odparła. – Niech pan wpadnie, kiedy będzie pan miał chwilę, dostanie pan wtedy kilka zdjęć. Jestem w domu wieczorami. Prawie zawsze, ale będzie lepiej, jeśli pan najpierw zadzwoni. To nie musi być jakieś zobowiązujące spotkanie.

– Nie, nie musi.

Wypiła łyk herbaty, a on, jakby dla towarzystwa, łyknął wina. Przyjrzał się jej ukradkiem i stwierdził, że jest ładna. Oczywiście była

blada i zmęczona, ale miała regularne rysy, no i patrzyła mu prosto w oczy. Był ciekawy, co przeszła w życiu. Czy miała za sobą taką samą przeszłość jak Erich? Nie wyglądało na to. Przecież uzależnienie zawsze zostawia trwalsze ślady u kobiet. Na pewno przeszła niejedno, ale w jej postawie nic nie zdradzało braku siły.

Siły na to, by iść przez życie. Zauważył, że ona taką siłę miała.

Wstyd. To prawdziwy wstyd, że dopiero teraz spotykam ją po raz pierwszy. I to w takich okolicznościach. Oczywiście powinienem był...

Ale w tej chwili mantra *Erich nie żyje* wróciła z taką siłą, że niemal całkiem pociemniało mu przed oczami. Wlał w siebie resztkę wina i sięgnął po maszynkę do papierosów.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jak zapalę?

Znów posłała mu krótki uśmiech.

– Erich palił.

Kiedy zwijał i zapalał papierosa, siedzieli cicho.

– Powinienem rzucić – powiedział. – Chociaż przez to ustrojstwo palę mniej.

Cholera, po co gadam teraz o paleniu? Co za różnica, czy ojciec zabitego syna pali za dużo, czy nie?

Nagle położyła mu dłoń na ramieniu. Poczuł, jak serce mu na chwilę staje, omal nie zakrztusił się dymem. Zauważyła jego reakcję i nie starała się tego ukryć. Nie udawała.

Nadal go trzymała i przyglądała mu się badawczym, nieco rozbieganym wzrokiem.

– Na pewno bym pana polubiła. Szkoda, że tak wyszło.

Tak wyszło? – pomyślał. Szkoda? Łagodnie powiedziane.

– Owszem – odparł. – Żałuję, że nie miałem bliższego kontaktu z Erichem. Oczywiście byłoby...

– To nie pana wina – przerwała mu. – On był trochę... jak by to powiedzieć? – Wzruszyła ramionami. – Ale kochałam go. Było nam ze sobą dobrze. W pewnym sensie ten związek sprawiał, że rośliśmy. Aha, no i jest jeszcze coś, co chciałam panu powiedzieć.

Zupełnie wypadło mu to z głowy.

– Ach tak – odparł. – Co takiego?

Puściła jego ramię i przez chwilę wpatrywała się w filiżankę z herbatą. Powoli mieszała ją łyżeczką.

– Nie wiem, jak pan to przyjmie, ale tak się składa, że spodziewam się dziecka. Jestem w trzecim miesiącu. No i tak...

– Mój Boże – wyrwało mu się. Potem zakrztusił się dymem.

Wczesnie rano we wtorek odwiózł Jess na Sechshafen. I jej, i Renate opowiedział o rozmowie z Marlene Frey. W poniedziałek wieczorem Jess do niej zadzwoniła i umówiły się, że kiedy tylko Jess znów będzie w Maardam, spotkają się. Jeśli dobrze pójdzie, to już w okolicach Nowego Roku.

Oczywiście plan był taki, że Renate też pojedzie na lotnisko, ale tego dnia obudziła się z gorączką i bólem gardła. Tak przynajmniej twierdziła. Van Veeteren błogosławił za to bakterie, domyślał się też, że i Jess była im wdzięczna.

Tego ranka również trzymała go za rękę, kiedy wolno przejeżdżali przez mgły rozciągające się nad Landsmoor i Weill. Jej dłoń była ciepła i od czasu do czasu ścisnęła go nieco mocniej. Rozumiał, że były to sygnały zarówno jej miłości do ojca, jak i poczucia rozłąki i tęsknoty. Rzecz jasna, teraz silniejszego niż kiedykolwiek wcześniej. Rozłąki z tym rodzimym, płaskim, północnoeuropejskim krajobrazem. Z Erichem. Może także z nim.

– Trudno się rozstawać – powiedział.

– Tak. Trudno.

– Człowiek nigdy się tego nie nauczy, ale może to też ma swój sens.

Wtedy jakby się trochę umiera, chciał dodać, ale na szczęście w porę się powstrzymał.

– Nie lubię lotnisk – powiedziała. – Zawsze, jak mam gdzieś jechać, trochę się niepokoję. Erich też tak miał.

Pokiwał głową. Nie wiedział o tym. Zastanawiał się, czego jeszcze nie wie o swoich dzieciach. Co przeoczył dotychczas, a co uda się jeszcze naprawić? Czego uda mu się dowiedzieć?

– Chociaż tak naprawdę prawie nic o nim nie wiedziałam – dodała.

– Mam nadzieję, że polubię Marlene. W każdym razie wygląda na to, że Erich zostawił po sobie jakiś ślad. Mam nadzieję, że wszystko

pójdzie dobrze. To byłoby straszne, gdyby...

Nie dokończyła zdania. Po chwili zorientował się, że zaczęła płakać. Uścisnął jej dłoń i długo nie puszczał.

– Tak czy inaczej, teraz to wszystko wydaje się mniej straszne – ciągnęła, kiedy już opanowała płacz. – Nie tak straszne jak wtedy, gdy przyjechałam. Nigdy się z tym nie pogodzę, ale chwilami czuję się niemal spokojna. A może jest też tak, że ten ciągły płacz trochę znieczula, jak myślisz?

Wymamrotał coś w odpowiedzi, ale w myślach zaprzeczył. Nie, nic nie przechodzi, wszystko się ciągle sumuje. Dzień po dniu, w miarę jak człowiek się starzeje.

Kiedy już zbliżali się do lotniska, puściła jego rękę. Wyciągnęła z torebki chusteczkę i osuszyła oczy.

– Właściwie dlaczego odszedłeś z policji?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Przez chwilę czuł się wręcz przyparty do muru.

– Sam nie wiem – odparł. – Po prostu miałem już dość. To najprostsze wyjaśnienie. Po prostu to czułem, nie musiałem tego specjalnie analizować.

– Rozumiem. W sumie wiele spraw mogłoby się obyć bez analiz.

Zamilkła, ale wyczuwał, że coś jeszcze leży jej na sercu. Domyślał się też co. Po pół minuty znów podjęła wątek.

– Ciekawe, ale zaczęłam się zastanawiać nad czymś, co z początku w ogóle mnie nie interesowało. To znaczy wtedy, kiedy dowiedziałam się, że Erich nie żyje.

– Nad czym? – zapytał.

Zawahała się.

– Zabójca – powiedziała w końcu. – Ten, kto to zrobił. Chcę się dowiedzieć, kto to był i dlaczego do tego doszło. Coraz bardziej chcę się dowiedzieć. Myślisz, że to dziwne? Bo przecież Erich i tak nie żyje i nic tego nie zmieni...

Obrócił głowę i popatrzył na nią.

– Nie, nie ma w tym nic dziwnego. To chyba najbardziej naturalna reakcja, jaką można sobie wyobrazić. Miałem swoje powody, żeby odejść z policji, ale miałem też takie, dla których zacząłem tę robotę.

Spojrzała na niego z boku i wolno pokiwała głową.

– Chyba rozumiem. I teraz myślisz podobnie?

– Tak, teraz myślę podobnie.

Odczekała chwilę, zanim zadała następne pytanie.

– A jak im idzie? Mam na myśli policję. Wiesz coś? Kontaktują się z tobą?

Wzruszył ramionami.

– Niewiele. Prosiłem ich o to, ale nie chcę się za bardzo wtrącać. Jeśli do czegoś dojdą, to oczywiście dadzą mi znać. Może zadzwonię do Reinharta i trochę go wypytam.

Dojechali na miejsce. Skręcił na parking, wjechał wąskim podjazdem i zatrzymał samochód przed szarą betonową ścianą.

– Tak zrób – powiedziała. – Wypytaj. Chcę wiedzieć, dlaczego mój brat zginął.

Skinął głową. Wysiedli. Dwadzieścia minut później patrzył, jak Jess przechodzi przez bramkę obstawioną przez dwóch strażników i znika w kolejce do kontroli bezpieczeństwa.

No tak, pomyślał. Teraz, kiedy już jest po wszystkim, zostaje właśnie to pytanie.

Kto?

Z początku nie rozumiał.

Pierwsza myśl, pierwsza próba wyjaśnienia sobie tego była taka, że tamten przeżył. Że ten mężczyzna z parkingu jakimś cudem ożył mimo wszystkich ciosów. Wydostał się z krzaków, doczołgał do restauracji i trafił pod opiekę lekarzy. Jakoś się wykaraskał.

Z roztrzaskaną potylicą i połamanymi kręgam?

Potem przypomniał sobie fakty. Przecież pisali o tym we wszystkich gazetach. Radio i telewizja też donosiły o tym zdarzeniu. Zatem nie było żadnych wątpliwości. Ten młody chudzielec, którego zakatrupił przy polu golfowym, nie żyje. Nieodwołalnie.

*Ergo?* – pomyślał. Zabiłem nie tego, kogo trzeba. Tak musiało być. Czy jest inna opcja?

Żadna nie przychodziła mu do głowy. Wszystko wskazywało na to, że... że po raz kolejny zdarzyło mu się pozbawić życia przypadkowego człowieka.

Tym bardziej niepojęte.

Nie było co marzyć o tym, że uda mu się zasnąć w ten poniedziałkowy wieczór. Poddał się po kilku godzinach bezowocnych prób. Była druga w nocy. Poszedł do kuchni i napił się herbaty z kapką rumu, potem wyprowadził samochód i pojechał nad morze. Pół godziny przesiedział w samochodzie zaparkowanym na parkingu przy drodze między Behrensee i Lejnice. Przez na w pół otwarte okno wsłuchiwał się w donośne akordy morza i próbował się zmusić do myślenia. Wiał silny południowo-zachodni wiatr i słychać było, że fale są wysokie na kilka metrów.

Przypadkowy człowiek? Zabił nie tego, kogo trzeba. Tamtego wieczoru to nie szantażysta wyszedł z Trattoria Commedia, beztróska wy-

machując torbą.

Ktoś wszedł do toalety i znalazł torbę w koszu? Czy to mogło być aż tak proste?

Czy to zrządzenie losu? Zwykły traf czy też może – biorąc pod uwagę skutki – niefart sprawił, że ktoś zjawił się tam przed szantażystą?

Dość szybko wykluczył taką możliwość. To zbyt mało prawdopodobne. Zbyt wydumane. Sprawy miały inny przebieg. Zupełnie inny. Dojście do tego nie zajęło mu dużo czasu.

Otóż szantażysta miał pomocnika. To jego zabił. Anonimowy nadawca listu, zamiast sam odebrać okup, kogoś po niego wysłał. Chciał uniknąć niepotrzebnego ryzyka. Nieźle to sobie obmyślił, trzeba mu to przyznać, ale biorąc pod uwagę okoliczności, to całkiem zrozumiałe. Powinien był o tym pomyśleć. Uwzględnić to w planach.

Co za niewybaczalny błąd! Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej to sobie uświadamiał. Beznadziejny błąd. Naśmiewał się z amatorszczyzny, jaką jego przeciwnik zaprezentował na Dikken, a tymczasem okazało się, że ma do czynienia z kimś o nieprzeciętnej przenikliwości. Kimś, kto zadał sobie o wiele więcej trudu i wykazał się większą precyzją niż on sam.

I kto teraz zrobił kolejny krok. Dwieście tysięcy guldenów. Dwieście tysięcy!

Kurwa! Zaklął głośno i uderzył dłońmi w kierownicę. Niech to, kurwa, szlag!

Ten przypływ złości przyniósł też ze sobą strach. Przed tym, co zrobił i przed przyszłością. Przyszłością? – pomyślał. Jaką przyszłością? Jeśli jeszcze nie została ona przesądzona ostatniego miesiąca, to zostanie wkrótce. W najbliższym tygodniu. To było jasne jak słońce. Kwestia dni, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Przesądzona po raz kolejny.

Otworzył drzwi i wysiadł. W porywach wiatru ruszył wzdłuż drogi. Morze dudniło.

Czy ja to wciąż ja? Nagle opadły go wątpliwości. Czy jestem wciąż tym samym człowiekiem? Czy ja w ogóle jeszcze jestem człowiekiem?

Czy może bilą powoli toczącą się ku temu, co nieuniknione? Dwa



zderzenia, dwie zmiany kierunku... A potem?

Przed oczami coraz częściej stawały mu wizje chłopaka w rowie i wyraz twarzy tego młodego mężczyzny, kiedy to zdziwiony uniósł brwi na sekundę przed pierwszym ciosem. Próbował skierować myśli w stronę Very Miller, tej roześmianej, zadowolonej z życia, rudowłosej Very, ale mu się to nie udało.

Kiedy tak szedł mocno pochylony w przód, w ciemnościach i, co zauważył zrezygnowany, w środku nocy, kuląc się przed zimnem i słonym wiatrem, chwilami nachodziła go chęć, by po prostu się poddać. Pokusa, by zwyczajnie rzucić się w odmęty fal albo oddać się w ręce policji i skończyć to wszystko.

Posłuchać szeptu, który najpewniej był głosem sumienia, a który jakimś niepojętym sposobem zdawał się współgrać z hukiem fal, a nawet go tłumić. Niesamowite, pomyślał. Wszystko pasuje do siebie jak na filmie. Cholernie dziwne. Huk i szept.

Jednak w końcu postać Very Miller przesłoniła inne sprawy. W końcu jej roześmiana twarz i połyskujące zielone oczy, jej ciepłe wilgotne wnętrze, zaciskające się wokół jego członka, stłumiły strach i poczucie beznadziei oraz zdławiły szept. Jej nieugięta siła miłości. *Ich* siła miłości.

I przyszłość.

Nie mogę się poddać, pomyślał. Nie teraz. Muszę mieć wzgląd także na Verę.

Do domu wrócił pięć po piątej. W drodze powrotnej ogarnął go swoisty spokój, możliwe, że na skutek zmęczenia. Co się stało, to się nie odstanie, pomyślał. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Teraz liczy się tylko przyszłość. Najpierw ta najbliższa, a potem dalsza, czyli życie z Verą.

Chociaż oczywiście, jeśli nie rozprawi się z „Przyjacielem”, to nie może być mowy o dalszej przyszłości. Wówczas będzie go czekał tylko tydzień i na tym koniec, co do tego nie miał wątpliwości. Musi opracować jakąś strategię. Plan obrony, kontry. Co powinien zrobić?

No właśnie, co? Gdyby po prostu zgodził się zapłacić te żądane dwieście tysięcy, zostałyby bez niczego. Bez oszczędności i bez domu,

a nawet i to by nie wystarczyło. I tak musiałby pożyczyć jeszcze pięćdziesiąt. A co potem?

Potem? Nawet gdyby dał się tak ogołocić, jaką miał gwarancję? Szantażysta wiedział, co wiedział. Mała szansa, żeby zapomniał. A czy cokolwiek wskazywało na to, że zadowolony się tym, co dostanie?

Odpowiedź na to retoryczne pytanie brzmiała „nie”.

Zresztą jak by się wytłumaczył przed Verą, gdyby nagle został bez złamanego grosza?

*Ergo?*

W grę wchodziło tylko jedno rozwiązanie.

Zabić go.

Tym razem zabić właściwą osobę. Chociaż przez chwilę, kiedy przemierzał ostatnie ciasne uliczki przedmieść na Boorkhejm, przyszło mu do głowy, że może jednak zabił właściwą osobę.

W pewnym sensie właściwą. Bo przecież mogło ich być dwóch. Nie miał wątpliwości co do tego, że listy, które dotychczas dostał, napisała jedna osoba, ale przecież mogło być inne wyjaśnienie... może na przykład napisała je żona. Niewykluczone. Żona zabitego szantażysty, która teraz przejęła sprawę w swoje ręce.

I podwyższyła stawkę.

Oczywiście taką możliwość też należało brać pod uwagę. Postanowił dowiedzieć się, jak nazywał się mężczyzna z Trattoria Commedia, i od tego zacząć swoje śledztwo. Przecież musi być jakieś ogniwo łączące go z tym drugim.

Ten drugi? – pomyślał.

Przeciwnik.

Dałbym sobie odciąć rękę, żeby się dowiedzieć, kim jest.

Czas był jego sprzymierzeńcem, ale też wrogiem.

Oczywiście potrzebował czasu, żeby się przygotować i wszystko zaplanować. Choć nie miał zamiaru zdobywać pieniędzy, tak jak chciał „Przyjaciela”. Nie. Potrzebował czasu na coś innego. Na zakupy. Na sprawdzenie tego i owego, na ogarnięcie spraw.

Jednak szybko okres odroczenia („Dokładnie siedem dni” – ta fraza pojawiła się w obu listach, swoją drogą ciekawe czemu) zaczął mu się

dłużyć. Co właściwie miał zrobić? Co? Jakie plany powinien ułożyć?

Jedyną rzeczą, jaką udało mu się ustalić, była tożsamość drugiej ofiary. Erich Van Veeteren. Zapamiętał sobie to nazwisko. Trafiło do tej samej przegródki co Wim Felders. Do przegródki zabitych. Jednak pójście za ciosem, czyli zabranie się do grzebania w prywatnym życiu obcego człowieka, okazało się za trudne. Nie dał rady. Zdobyl adres z książki telefonicznej i w środę wieczorem stał przez jakiś czas na Ockfener Plejn, wpatrując się w przybrudzoną fasadę i zastanawiając się, które to piętro. Trząsał się na zimnym wietrze, ale nawet nie spróbował przejść przez tory tramwajowe, wejść po schodkach i przeczytać nazwiska na liście zawieszanej przy domofonie.

Wystarczy, że go zabiłem, pomyślał. Już dość złego zrobiłem, nie muszę nachodzić jego domu.

Tego samego wieczoru postanowił dać sobie spokój z bawieniem się w detektywa. Zrozumiał, że to może być niebezpieczne. Policja może zwrócić na niego uwagę. Na pewno robią, co mogą, żeby wyjaśnić sprawę zabójstwa tego młodego mężczyzny. Lepiej nastawić się na czekanie, zdecydował. Zaczekać na kolejne instrukcje, które na sto procent przyjdą z poniedziałkową pocztą.

Zaczekać na tę bladoniebieską kopertę, a potem, w zależności od tego, jak będzie miał przekazać pieniądze, rozwiązać problem.

Bo przecież musi się to jakoś odbyć, pomyślał. O którejś godzinie w którymś miejscu będzie musiało dojść do kontaktu między nim i szantażystą.

Czy też, mówiąc dokładniej, między nim, pieniędzmi i szantażystą. W tym łańcuchu były trzy ogniwa, a zapewne jego przeciwnik tym razem zastosuje jeszcze większe środki ostrożności. Najprawdopodobniej tak będzie. Było do bólu jasne, że to nie jest żaden amator. Mimo wszystko jakoś będzie musiał zgarnąć pieniądze, więc da się go w jakiś sposób przechytrzyć.

Czas pokaże jak. Czas i kolejny list.

Po wizycie na Ockfener Plejn spędził cały wieczór przed telewizorem w towarzystwie kolejnej butelki whisky. Kiedy około północy kładł się spać, łóżko i sypialnia wirowały.

I tak miało być. Tę noc musiał przespać co najmniej do świtu.

Czwartek był dniem wolnym.

I to w czwartek miała zadzwonić Vera Miller.

Trzy dni bez kontaktowania się ze sobą, tak ustalili. Ona miała wykorzystać ten krótki czas na rozmowę z mężem. Miała mu powiedzieć o ich romansie. Uwolnić się.

Kiedy zadzwoniła o siódmej wieczorem, wciąż wyraźnie czuł skutki wczorajszego pijaństwa.

Miała smutny głos. Jak nigdy.

– To takie trudne – oznajmiła.

Jak nigdy. Nic nie odpowiedział.

– On to bardzo źle zniesie. Widzę to po nim.

– Jeszcze mu nie powiedziałaś?

Zamilkła na kilka sekund.

– Zaczęłam. Robiłam sugestie... on wie, co będzie. Na razie mnie unika. Dziś wieczorem wyjechał, czuję, że tylko z tego powodu. Ucieka przed tym.

– Przyjedź do mnie.

– Wykluczone. Andreas wróci za kilka godzin. Teraz muszę się zachowywać jak należy. Widzimy się w sobotę, tak jak ustaliliśmy.

– Kocham cię – powiedział.

– A ja ciebie.

– Chyba nie zmienisz zdania? – zapytał.

– Musisz dać mi trochę czasu – odparła. – Nie, nie zmienię zdania, ale nic na siłę.

Czasu? – pomyślał. Do poniedziałku zostały trzy dni. Gdyby tylko wiedziała.

– Rozumiem – powiedział. – Najważniejsze, żeby wszystko poszło, jak się umawialiśmy. I żebym cię spotkał w sobotę.

– W sobotę jadę na kurs.

– Co?

Zaśmiała się.

– Mam kurs. Przecież wiesz. To już czwarty weekend z rzędu. Uwielbiam ten kurs.

Przypomniał sobie, co mówiła przed chwilą o właściwym zachowa-

niu, ale nie podjął tematu.

– Ja też – wymamrotał tylko. – Potrzebuję cię.

– Jestem twoja.

Kiedy skończyli rozmawiać, rozplakał się. Jeszcze jakiś czas siedział w fotelu, czekając, aż mu przejdzie i zastanawiając się przy tym, kiedy płakał po raz ostatni.

Nie przypomniał sobie.

Łyknął więc trzy pigułki na sen.

– Nie można powiedzieć, żeby śledztwo szło do przodu – powiedział Reinhart, licząc przy tym członków grupy dochodzeniowej. Zostało ich pięć sztuk. Krause przeszedł do Hillera, a Bollmert wciąż wyszukiwał na prowincji nie do końca zidentyfikowane osoby do przesłuchania.

– Z drugiej jednak strony też się nie cofa – zauważył Rooth. – To, co wiedzieliśmy w zeszłym tygodniu, wiemy i teraz.

Reinhart zignorował jego wtęt.

– Moreno – powiedział. – Czy inspektor Moreno będzie tak miła i podsumuje naszą sytuację, a cała reszta w tym czasie może się rozprzeć na krzesłach i przynajmniej delektować się przyjemną barwą jej głosu.

– Dziękuję – odparła Moreno. – Talent mężczyzn do wymyślania coraz to nowych komplementów nigdy nie przestanie zadziwiać nas, samiec. Ale do rzeczy.

Reinhart się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Moreno przekartkowała kilka stron w notesie i znalazła podsumowanie. Zauważyła, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu Jung założył dziś krawat, natomiast deBries ma plaster na nosie. Z innego niezrozumiałego powodu. Wzięła głęboki oddech i zaczęła.

– Z całą pewnością wiemy, co następuje: Erich Van Veeteren zginął tuż po godzinie osiemnastej dziesiątego listopada od dwóch silnych uderzeń zadanych tępym narzędziem w głowę i w kark. Co do broni, trudno mi powiedzieć coś więcej, to mogła być jakaś rura, ale ponieważ jej nie znaleźliśmy, na razie nie ma to większego znaczenia. Świadców zdarzenia brak. Na parkingu było pusto, zapadał już zmrok, tak więc zabójca miał czas, żeby przeciągnąć ofiarę w pobliskie krzaki. Przesłuchaliśmy wszystkich, którzy byli w Trattoria Com-

media w czasie zabójstwa oraz przed nim. To znaczy wszystkich poza dwiema osobami... ofiarą i sprawcą, o ile założymy, że i on był w lokalu. Dziesięcioro gości i cztery osoby z personelu, zresztą nieistotne... Ze wszystkimi rozmawialiśmy. Nikt nie miał żadnych kluczowych informacji, z wyjątkiem tego, że trzy osoby opowiedziały o tym typie, który ponoć przez chwilę siedział przy barze. Mniej więcej między szóstą a kwadrans po. Mamy dość dokładny rysopis i wszystko wskazuje na to, że miał na sobie perukę, sztuczną brodę i ciemne okulary. Wiele wskazuje również na to, że to on był zabójcą.

– Pragnę tylko przypomnieć, że niektórzy zorientowali się już w zeszłym tygodniu – dodał Rooth.

– Owszem – przytaknęła Moreno. – Przez kilka dni w mediach krążył komunikat, że go poszukujemy, ale nikt się nie zgłosił, zatem punkt dla Rootha. Idźmy dalej: nikt z trojga świadków nie zauważył, żeby nasz Pan X miał jakiś kontakt z Erichem Van Veeterenem, który też siedział w lokalu i który opuścił go tuż po Panu X. Chociaż mogli mieć ze sobą kontakt wzrokowy, Erich siedział przy stoliku, od którego dość dobrze widać bar.

– Hm – wtrącił Reinhart. – Erich siedział tam godzinę i czekał. Kiedy facet się pojawił, nic nie zrobił, ale wyszedł za nim na parking, gdzie oberwał od niego na śmierć. To tak w dużym skrócie. Czy ktoś może mi, do cholery, wyjaśnić, o co tu biega?

– Narkotyki – powiedział po chwili deBries.

– Jakież inne propozycje? – zapytał Reinhart.

– Nie wiem, czy deBries ma rację – wtrącił Jung, – ale jeśli założymy, że faktycznie chodziło o jakąś dostawę, to zastanawiają mnie dwie rzeczy. Po pierwsze: czy ci dwaj się znali? Czy obaj wiedzieli, kto jest osobą kontaktową w restauracji? Czy może tylko jeden z nich znał tożsamość drugiego?

– To była jedna wątpliwość czy dwie? – zapytał Rooth.

– Jedna – odparł Jung. – Druga dotyczy tego, który z nich miałby być dostawcą, a który odbiorcą.

W pokoju na kilka sekund zapadła cisza.

– No to jeszcze jedno pytanie – wtrącił deBries. – Jeśli to faktycznie była dostawa, to gdzie miała miejsce?

– Nie doszło do żadnej dostawy – zauważył Rooth. – Tamten zabił go przed nią.

– No to gdzie *miała* mieć miejsce? – poprawił się deBries i z irytacją podrapał się po plastrze na nosie.

– Tak czy inaczej, musiało chodzić o parking – powiedziała Moreno. – No i to oczywiste, że Erich musiał zidentyfikować Pana X. Rozpoznał go, kiedy ten się pojawił i usiadł przy barze. Potem wyszedł za nim zgodnie z ustaleniami.

– Możliwe – odparł Reinhart i zapalił fajkę. – Bardzo możliwe. Choć przypomina to raczej spotkanie między tajnymi agentami, a nie wymianę prochów. Mimo wszystko z grubsza zgadzam się z deBriesem. Wychodzę z założenia, że to X miał coś dostarczyć...

– ... ale nie miał nic do dostarczenia – wtrąciła Moreno. – Zamiast tego zabił odbiorcę.

I znów kilka sekund upłynęło w ciszy. Reinhart zamknął oczy i co rusz wypuszczał dym.

– To dokąd nas to właściwie zaprowadziło? – zapytał Rooth. – I o co, do cholery, mogło chodzić, jeśli nie o narkotyki? Czy ktoś poza mną obstawia znaczek pocztowy? Jeden z tych ze skazą, co to kosztują osiemnaście milionów...

– Znaczek? – zdziwił się deBries. – Oszalałeś.

Reinhart wzruszył ramionami.

– Nieważne – powiedział. – Mogło też chodzić o kradziony towar... coś groźnego, co może się przydać, jeśli trafi w dobre ręce... Albo pieniądze, to przecież najprostsze rozwiązanie. Jeden z nich miał drugiemu za coś zapłacić, ale że tak powiem, dyskretnie. Choć i tak nie sądzę, żeby to nas zaprowadziło daleko. Może to pora, żeby nieco zmienić perspektywę. Dopóki nie dowiemy się, co on miał tam do roboty, tkwimy w cholernym martwym punkcie, tu się zgodzę z Roothem.

– Ja również – przytaknął Rooth.

– Pozwólcie więc, że podsumuję naszą burzę mózgów – powiedziała Moreno. – Kiedy wszedł do lokalu i usiadł przy barze, Erich wiedział, że to jego kontakt. Wyszedł potem za nim, żeby coś od niego odebrać, ale dostał tylko dwa uderzenia. Jedno w głowę, drugie w kark. Śmier-



telne. Dobrze zrozumiałam?

– Tak sądzę – odparł Reinhart. – Sprzeciw? Nie widzę? Tylko, na Boga, pamiętajcie, że to jedynie spekulacje. Dobra, to przechodzimy do frontu zachodniego. Tu czeka nas doniesień w cholere. Marlene Frey i jej notes. Kto chce zacząć? DeBries na ochotnika.

Przerobienie doniesień frontu zachodniego zajęło im godzinę i dwieście minut. Przeprowadzono sto dwie rozmowy z osobami, które w ten czy w inny sposób znały Ericha Van Veeterena. Za klucz posłużył notes z adresami.

Cały materiał nagrano na taśmie. DeBries i Krause spędzili środowe popołudnie oraz część nocy, przesłuchując to wszystko. Spisano także dane osób, które kontaktowały się z ofiarą w ostatnich tygodniach przed śmiercią. Jak dotąd na liście figurowało dwadzieścia sześć osób. Zostało im jednak jeszcze trochę przesłuchań, należało się więc spodziewać, że kilka ich przybędzie.

Ujmując rzecz ilościowo, wyniki były całkiem niezłe. Ponieważ jednak nie chodziło o badanie makrosocjologiczne, jak zauważył deBries, to rezultat był cholernie marny.

Mówiąc dokładnie, jak dotąd – szesnaście dni po zabójstwie i dwanaście po znalezieniu ciała – nie natrafili na nic, co można by uznać za trop czy podejrzenie. Nawet przy najlepszych chęciach... po prostu nic im nie szło. Chociaż dzięki przesłuchanym osobom, a zwłaszcza dzięki Marlene Frey, przynajmniej zaczęli ustalać, czym ofiara zajmowała się w ostatnich dniach życia. To żmudne zadanie przypominające układanie puzzli na razie nie przyniosło owoców. Ani jagódki, jak się wyraził Rooth.

Wyglądało na to, że nikt nie miał pojęcia, dlaczego Erich Van Veeteren udał się na Dikken owego fatalnego wtorku.

Nie wiedziała tego ani jego narzeczona, ani policja, ani nikt inny.

– Jak oceniamy wiarygodność Marlene Frey? – zapytał Jung. – To znaczy biorąc pod uwagę narkotyki i takie tam.

– Ja jej wierzę – odparł Reinhart po chwili namysłu. – Oczywiście mogą się mylić, ale mam wrażenie, że ona jest po naszej stronie.

– No i nie ma w tym nic dziwnego, że wciąż niczego nie zna-

leźliśmy – stwierdziła Moreno. – Nawet jeśli przeprowadzając wywiady, natrafiliśmy na sprawcę, to nie można się było spodziewać, że się załamię i przyzna tylko dlatego, że włączyliśmy dyktafon. Nieprawdaż?

– To po co właściwie to robimy? – zapytał Rooth. – Przecież prawo nakazuje, żeby policji mówić prawdę, nie?

– Ekhm – odchrząknął Reinhart. – Chyba nie załapałeś, o co chodzi w całonocnym przesłuchiowaniu taśm i wyłapywaniu lapsusów, które mogą zdemaskować mordercę. No ale może mam zbyt wysokie wymagania. Dobra, idziemy dalej! Co wy na to? Choć jedno z nas musi mieć jakiś pomysł... pomijam tę teorię Rootha o znaczku pocztowym... Przecież za to nam płacą, do cholery. Czy też w waszych ptasich mózdkach panuje taka pustka jak w moim?

Rozejrzał się wokół stołu.

– Szczera pustka – odparł deBries. – Oczywiście nagrania są do waszej dyspozycji. Potrzeba tylko osiemnastu godzin, żeby je przesłuchać. Pewnie kryją się w nich dziesiątki tropów, ale ja i Krause już się poddaliśmy.

– Ja pasuję – powiedział Rooth.

– Można by porozmawiać jeszcze z kimś z jego najbliższych – zaproponował deBries. – To znaczy z najlepszymi przyjaciółmi Ericha. Trzy czy cztery osoby znały go naprawdę dobrze. Może ich poprosić, żeby podzieliły się swoimi spekulacjami?

– Może. – Reinhart pokiwał głową. – Czemu nie? Czy ktoś ma coś do dodania?

Nikt nie miał. Rooth westchnął, a Jung próbował ukryć, że ziewa.

– Dlaczego założyłeś krawat? – zapytał Rooth. – Brak ci guzików u koszuli?

– Idę do opery – odparł Jung. – Maureen wygrała dwa bilety u siebie w pracy. A nie zdążę wrócić do domu się przebrać. Muszę pojechać prosto stąd.

– No to uważaj, żeby się nie pobrudzić – dodał Rooth.

Jung tego nie skomentował. Reinhart kolejny raz zapalił fajkę.

– Nie – powiedział. – Śledztwo nie idzie do przodu, ale ponieważ akurat my wykazujemy się anielską cierpliwością, możemy chyba pa-

trzeć w przyszłość z pewną nadzieją.

- Ano, pożyjemy, zobaczymy – stwierdził Rooth.
- Rozmawiałeś ostatnio z *komisarzem*? – zapytała Moreno.
- Od paru dni nie – odpowiedział Reinhart.

Van Veeteren pojechał na Dikken tramwajem. Coś powstrzymywało go przed tym, żeby wybrać się tam samochodem.

Może po prostu bał się, że zaparkuje na tym samym miejscu, gdzie zabito jego syna.

Na placu było pusto, widać o tej porze roku to norma. Zaledwie cztery samochody oraz zdezelowana, podparta przyczepa ciężarówki. Nie wiedział, gdzie dokładnie znaleziono ciało. Do wyboru miał kilkaset metrów kwadratowych zarośli. Zresztą nie chciał wiedzieć. Co by mu to dało?

Szybkim krokiem przeciął plac i wszedł do Trattoria Commedia. Bar znajdował się na wprost wejścia, akurat siedziało przy nim dwóch starszych facetów w pomiętych marynarkach i piło piwo. Barman, młody mężczyzna w żółtej koszuli i z kucykiem, z roztargnieniem skinął mu na powitanie.

Van Veeteren też skinął i przeszedł do części restauracyjnej. Trzy stoliki z osiemnastu były zajęte. Wybrał miejsce, z którego widać było bar, i usiadł.

Może to właśnie tu siedział Erich, pomyślał.

U kelnerki z blond warkoczami zamówił danie dnia: kotleciki jagnięce z zapiekanką ziemniaczaną. I kieliszek czerwonego wina.

Czekanie na potrawę i jedzenie zajęło mu pół godziny. Smakowało całkiem, całkiem, stwierdził. Nigdy wcześniej nie był w Commedii i z wiadomych względów nie miał zamiaru tu wracać, ale wyglądało na to, że kuchnię mieli tu przyzwoitą. Widać golfistów nie tak łatwo jest zadowolić.

Zrezygnował z deseru. Zamiast tego w barze zamówił kawę i szklaniczkę koniaku.

Może to właśnie tutaj siedział sprawca, pomyślał. Może właśnie siedzę na tym samym stołku co zabójca mojego syna.

Kiedy ubrany na żółto barman podszedł, żeby nalać mu kawy, sko-

rzystał z okazji i zapytał go, czy pracował tamtego wieczoru.

– Owszem – przyznał barman. – Pracowałem. A dlaczego pan pyta? Van Veeteren chwilę się wahał, zanim odpowiedział.

– Policja – wyjaśnił.

– Znowu? – odparł barman ze średnio zadowoloną miną.

– Mhm – przytaknął Van Veeteren. – Wiem, że pewnie nie dawali panu spokoju, ale ja jestem z innego wydziału.

– Jakiego? – zaciekał się barman.

– Specjalnego. Może moglibyśmy porozmawiać? Tak nieformalnie. Przez chwilę barman się wahał.

– W sumie i tak nie mam teraz za dużo roboty – przyznał.

– Ta kiełbaska to prawdziwy dar bogów dla ludzkości – powiedział Rooth.

– Widzę, że w to wierzysz – odparł Jung, przyglądając się Roothowi, który żuł jedzenie z przymkniętymi oczami i wyrazem rozanielenia na twarzy. – Dobrze wiedzieć, że jesteś uduchowiony.

– To przez czosnek – odpowiedział Rooth, otwierając oczy. – Stara, sprawdzona roślina lecznicza. Mam teorię.

– Ach tak? Kolejną o znaczkach?

– Lepszą. – Rooth napakował sobie do ust sałatki ziemniaczanej.

Jung czekał.

Rooth kiwał głową i żuł.

– No dobra, już – powiedział w końcu. – Otóż kiedy tak dyskutowaliśmy w biurze, coś mi przyszło do głowy.

– Tak?

– Szantaż.

– Szantaż?

– Otóż to. Wszystko by pasowało. Posłuchaj. Erich Van Veeteren to szantażysta. Ma jakiegoś haka na pewną osobę, wyznaczył cenę za swoje milczenie i jedzie na Dikken odebrać należność. Ofiara szantażu nie chce zapłacić, tylko zabija Ericha. Proste? Proste. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Jung przez chwilę myślał.

– Niewykluczone – powiedział. – Trzyma się kupy. Dlaczego nie po-

wiedziałeś nic na zebraniu?

Nagle Rooth jakby się zawstydził.

– Przyszło mi to do głowy na samym końcu – wyjaśnił. – Nie wyglądaliście na zbyt otwartych na propozycje. Nie chciałem jeszcze bardziej przeciągać.

– Byłeś głodny, co?

– To już twoja interpretacja – odparł Rooth.

## 16

– Jeśli spojrzeć na to jak na raka – powiedział Reinhart – to sprawa wydaje się oczywista.

– Biały człowiek mówi rozszczepionym językiem – odparła Winnifred, która w jednej czwartej była Aborygenką.

– To znaczy?

– Mów jaśniej, proszę.

Leżeli w wannie. To, że Winnifred Lynch, urodzona w Australii, a wychowana w Anglii, gdzie zrobiła doktorat, wprowadziła się do Reinharta i zrobiła sobie z nim dziecko, zależało w dużej mierze właśnie od tej wanny. Tak przynajmniej zwykła mu mówić, kiedy pytał, czy naprawdę go kocha.

Wanna była duża i głęboka. Zabudowana. Z zewnątrz wyłożona fantazyjną niebiesko-zieloną mozaiką, a w środku wyposażona w okazałą miedzianą armaturę. Mogło się w niej zmieścić dwoje dorosłych ludzi w pozycji pólężącej, każdy po swojej stronie. Jak teraz. Ze splecionymi nogami. Dwanaście lat temu Reinhart wydał na urządzenie łazienki dwumiesięczną pensję.

Jednak opłaciło się.

– Rak – powtórzył. – Nowotwór daje przerzuty. Jeśli tak się nie dzieje, długo pozostaje niewykryty. Podobnie jest z niektórymi sprawami, o to mi chodziło. Na przykład z zabójstwem syna *komisarza*. Rozumiesz?

– Rozumiem – potwierdziła Winnifred.

– Dobrze. Dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego można się było dowiedzieć o całym zajściu. A jednak do niczego nie doszliśmy, co więcej, nie zanosi się na to, żebyśmy rozwiązali tę sprawę... o ile nie nastąpi pączkowanie.

– Pączkowanie?

– Mówię o przerzutach – wyjaśnił Reinhart. – Musi się stać coś jeszcze. To właśnie staram się wytłumaczyć. Jeśli popełniasz tylko pojedyncze przestępstwo – zabijasz kogoś, napadasz na bank, cokolwiek – i na tym poprzestajesz, to masz szansę umknąć przed ramieniem sprawiedliwości. Zwłaszcza jeśli poza tym jesteś porządnym obywatelem. Jednak z reguły nie kończy się na stadium guza pierwotnego. Zbrodnia rodzi przerzuty, my je zauważamy i widzimy, skąd się biorą, i w ten oto sposób rozwiązujemy sprawę. Rozumiesz?

Winnifred westchnęła.

– Wspaniała metafora – stwierdziła i zaczęła wodzić palcami stóp pod jego pachami. – Przestępczość jako złośliwy guz na ciele społeczeństwa. Przyznaję, brzmi oryginalnie. Od kilku godzin nie słyszałam równie trafnego porównania.

– Hm. Chodziło mi głównie o te przerzuty.

– Jasne. Musi się zacząć pączkowanie, inaczej nie znajdziecie zabójcy Ericha. To miałeś na myśli?

– Mniej więcej. Na razie drepczemy w miejscu... czy też może plu-skamy się w wodzie, jeśli wolisz jeszcze trafniejsze...

Przerwał, bo Winnifred ukąsiła go w łydkę.

– Au! – zawołał.

– A czy coś wskazuje, że pączkowanie już się zaczęło?

Reinhart chwilę myślał.

– Skąd miałbym wiedzieć? Przecież rak to zagadka, prawda?

– Owszem, ale jeśli rozmasujesz mi stopy i podasz fakty związane ze sprawą, zobaczę, co da się z tym zrobić.

– Umowa stoi. W takim razie wyciągnij stopy spod moich pach.

U Ulrike Fremdli pojawiła się nowa cecha, której wcześniej nie dostrzegł. Swego rodzaju ostrożność. Zastanawiał się nad tym kilka dni i kiedy w czwartek wieczorem przyjechała go odebrać z antykwariatu, poruszył ten temat.

– Ostrożność? – odparła. – Co masz na myśli?

– Patrzysz na mnie jak na pacjenta. Przestań. Mojego syna zamordowano, jeśli postradam od tego zmysły, to jeszcze się napatrzę na takie spojrzenia w szpitalu.

– Co też ty...? – odparła. Potem, milcząc, szli ramię w ramię. Kiedy minęli Yorricks Café, przystanęła.

– No dobrze, może masz rację. Koniec z fałszywą troską, ale ty mógłbyś się od czasu do czasu do mnie odezwać.

– Hm – odparł Van Veeteren.

Ulrike przyglądała mu się z pionową zmarszczką na czole.

– Zgadzam się z tobą co do tego, że żałoby nie trzeba ubierać w słowa – powiedziała. – Jednak zaczynam mieć wątpliwości, czy to faktycznie najlepszy sposób na oddanie czci zmarłym. Zamiast ich opłakiwać, powinniśmy ich czcić. Tak jak to robią w Meksyku czy gdzieś tam. Święto zmarłych i takie tam. Bezgłośna żałoba jest dla tych, którzy chcą ją podsycać.

Van Veeteren chwilę myślał.

– Możliwe – odparł. – Masz rację. Jeśli życie ma się toczyć dalej, to trzeba czasami otworzyć gębę.

Nagle wybuchła śmiechem. Objęła go i uściskała tak mocno, że zaczął się zastanawiać, czy dałby radę pokonać ją w uczciwym siłowaniu się na rękę. O ile oczywiście kiedykolwiek miałoby do niego dojść.

– Poddaję się – powiedział. – Myślisz...

– Słucham? – zapytała i puściła go.

– Myślisz, że moglibyśmy wypracować jakiś kompromis? Może coś pomiędzy pacjentem a partnerem sparingowym? Myślę, że nas związek tylko by na tym zyskał.

Uśmiechnęła się. Wzięła go pod ramię i ruszyli.

– Właśnie próbujesz zdefiniować mężczyznę idealnego – wyjaśniła.  
– A taki nie istnieje. Muszę więc znosić cię takim, jaki jesteś. Raz jako pacjenta, raz jako partnera sparingowego. No ale nie szkodzi. Nigdy nie spodziewałam się niczego więcej. Teraz pójdziemy do Marlene i zobaczymy, czy ma jakieś zdjęcia.

W końcu doszło do pierwszych odwiedzin, choć wizyta była krótka. W mieszkaniu popsuł się kominek, tak więc temperatura wahała się pomiędzy dziesięcioma a dwunastoma stopniami. Marlene właśnie miała się przenieść do koleżanki.



Udało jej się jednak znaleźć z tuzin zdjęć Ericha, niektóre zresztą przedstawiały ich oboje. Były i inne, jak wyjaśniła, ale nie za wiele. Oczywiście niektóre chciała zostawić sobie, może któregoś dnia się spotkają i to omówią? Kiedy nie będzie tak okrutnie zimno? Zresztą jeśli ma się negatyw, można zrobić kopie. A większość miała.

– A jak tam z...? – zapytał, spoglądając na jej brzuch.

– W porządku – zapewniła. – Mały nadal tam jest.

Było widać, że jest zestresowana, wydawało mu się, że zachowywała się inaczej, niż kiedy siedzieli w Adenaar's. Z Ulrike wymieniły tylko uścisk dłoni i przelotny uśmiech. Po tej krótkiej wizycie miał więc mieszane uczucia.

– Wyolbrzymiasz – powiedziała Ulrike, kiedy pół godziny później znaleźli wolny stolik u Krausa. – A o to nietrudno, jeśli człowiek jest trochę wytracony z równowagi.

– Z równowagi? – zapytał. – Brak mi równowagi, odkąd zacząłem szkołę.

Czekając na Reinharta, zdążył skrócić cztery papierosy i wypalić dwa. Rzadko kiedy bywał w Voksie, to Reinhart wybrał to miejsce. Van Veteren obawiał się, że jeśli zabawią tu zbyt długo, w lokalu zaczną grać jazz. Przed wejściem wisiał jakiś plakat, a w głębi burej, zady-mionej sali znajdowała się niewielka scena.

Nie żeby miał coś przeciwko muzyce jazzowej jako takiej. Reinhart zwykł mawiać, że jeśli człowiek słucha współczesnego, improwizowanego jazzu – albo jeszcze lepiej, jeśli sam potrafi go grać – to rekordowo wzrasta mu poziom inteligencji. To jak z funkcją wykładowczą czasu, koncentracją spożycia alkoholu czy jakoś tak. Kiedy Reinhart mówił, nie zawsze chciało mu się wysłuchać go do końca. Dziś wieczorem nie dam rady, pomyślał. To za wcześnie. Po śmierci Ericha nie miał ochoty słuchać swojej ulubionej muzyki, nie mógł ścierpieć nawet Williama Byrda czy Monteverdiego, tak więc jazgotliwe saksofony były tym bardziej nie do zniesienia.

W oczekiwaniu na Reinharta popijał ciemne piwo i rozmyślał. Zastanawiał się nad tym, co w tych dniach działo się z jego myślami i świadomością. Nad tymi zmianami nastroju. Takie wahania to nic

przyjemnego. Z jednej strony to, co zwyczajne, czyli jego niezbita – mało optymistyczna, ale jednak znośna – wiara w to, że nawet w mroku obowiązuje pewne prawo. Pewien wzór. Czyli pozytywna rezygnacja, żeby zacytować starego Borkmanna. Z drugiej zaś coś nowego: czarna beznadzieja. Nieraz już miał okazję jej posmakować, zwłaszcza w pracy, ale jeszcze nigdy nie dopadła go aż tak.

Nie w taki sposób. Potrafiła się ciągnąć godzinami. Czasami trwała pół dnia.

Powstrzymywała przed działaniem. Przed myśleniem.

Może i przed życiem?

Muszę z tym skończyć, pomyślał. Muszę obrać jakiś kierunek. Erich umarł, ale ja nadal żyję. Każde życie kiedyś się kończy. Czasami za wcześnie, czasami za późno. Nikt tego nie zmieni... Nie chciałbym stracić także Ulrike.

Reinhart pojawił się o wpół do dziesiątej. Spóźniony pół godziny.

– Wybacz – powiedział. – Mała ma zapalenie ucha. Bardzo dokuczliwe. Czy w twoich czasach dzieci też na to chorowały?

Van Veeteren przytaknął. Reinhart spojrział na jego opróżniony do połowy kufel i zamówił dwa kolejne.

– Jak wam idzie? – zapytał Van Veeteren, kiedy dostali już piwa i wypili po łyku. Reinhart zapalił fajkę i podrapał się po krótkich, przyprószonych siwizną włosach.

– Tak sobie.

– Tak sobie? A co to znaczy, do cholery? Nabawiłeś się afazji, czy co?

– Raczej nie posunęliśmy się naprzód – wyjaśnił Reinhart. – Czego właściwie się spodziewasz? Mam ci opisać każdy cholerny szczegół?

Van Veeteren postukał papierosem w stolik i zapalił.

– Tak – odparł. – Proszę o każdy cholerny szczegół.

Trochę im zeszło i kiedy Reinhart skończył, na scenę wkroczyli muzycy. Tylko pianista i ciemnoskóra piosenkarka o niskim głosie, tak więc jakoś się słyszeli. Van Veeteren stwierdził, że był niesprawiedliwy w swoich wcześniejszych opiniach. Kobieta miała przyjemny głos – przypominał mu wrzący aksamit (o ile jakimś cudem aksamit mógłby wrzeć i do tego jakoś pobrzmiwać), który stwarzał miłą od-

skocznię od opowieści Reinharta. Delikatnie, wręcz zmysłowo otulał śmierć Ericha oraz związane z nią okoliczności. Nagle sobie uświadomił, że i Erichowi taka muzyka by się podobała.

Cierpienie i żałoba, pomyślał. Nie da się ich uniknąć. Jedyne, co można zrobić, to przyjąć je z otwartymi ramionami i pchnąć w odpowiednią stronę. W coś je otulić. W sztukę lub obrzędy czy co tam komu pasuje. Byle nie zostawić ich leżących w kącie niczym koty z kurzu.

– No i tak to właśnie wygląda – podsumował Reinhart. – Wiemy już, że zabójcą był ten facet przy barze. To musiał być on, wszystko na to wskazuje. Nie mamy jednak żadnych rozsądnych hipotez co do tego, co Erich tam robił. Czy też co miał zamiar robić. Można spekulować, ale skłamałbym, gdybym stwierdził, że dysponujemy czymś więcej.

– Rozumiem – odparł Van Veeteren.

Przez chwilę Reinhart z niepewną miną obracał w dłoniach fajkę i tytoń.

– Nadal bardzo chcesz, żebyśmy go znaleźli, prawda?

Van Veeteren, zanim odpowiedział, przyglądał się wokalistce, która właśnie dziękowała za skromne brawa i zapowiadała krótką przerwę.

– Owszem, z każdym dniem bardziej. Z początku nie byłem tego świadomy, ale to chyba kwestia biologii. Trzeba znaleźć zabójcę swojego syna.

– Na pewno kwestia kultury – stwierdził Reinhart. – I mitologii.

– Mam gdzieś, czy chodzi o mit, czy nie. Chcę, żebyście go złapali. Złapiecie?

– Już ci to obiecałem.

Van Veeteren przez chwilę myślał.

– Nie podoba ci się, że się wtrącam? – zapytał. – Jeśli tak, to powiedz.

Reinhart sięgnął po kufel.

– Cholernie bym się zdziwił, gdybyś tego nie robił. Na zdrowie – odparł.

– Na zdrowie. – Van Veeteren też się napił. – Dobra, idź do domu i zajmij się córką. Ja chyba jeszcze tu posiedzę i posłucham tej woka-

listki.

– Dobry wybór – powiedział Reinhart i wstał.

W piątek po pracy pojechał odwiedzić ojca. Od ostatniej wizyty minęły ponad dwa miesiące, zresztą zrobił to też dla zabicia czasu. Dom starców Oesterle leżał w Bredenbuijk niedaleko Loewingen. Wybrał drogę przez Borsens, żeby uniknąć największego ruchu, i dojechał na miejsce akurat, kiedy kończył się obiad.

Ojciec jak zwykle siedział na łóżku i przyglądał się swoim dłoniom. Zazwyczaj dobrą chwilę trzeba go było namawiać, by podniósł wzrok, ale tym razem zrobił to niemal natychmiast. Ledwo zdążył przysunąć krzesło do brzegu łóżka, a ojciec już uniósł głowę i popatrzył na niego przekrwionymi, zapłakanymi oczami. Przez sekundę chyba nawet go rozpoznał, ale może tylko mu się wydawało.

Dlaczego miałby go poznać właśnie dziś, skoro nie poznawał od sześciu lat?

Po pół minuty znów spuścił brodę i zapatrzył się na dłonie leżące na niebieskim kocu. Powoli kręcił młynka palcami.

Siedział u niego dziesięć minut. Dłużej nie wytrzymał. Nie trafił na żadną pielęgniarkę ani nikogo znajomego z obsługi, nie chciało mu się też pytać o stan zdrowia ojca.

I jak z nim? Dobrze się czuje?

Takie pytania nie miały sensu. Już od wielu lat lepiej było ich nie zadawać. Nieraz się zastanawiał, po co utrzymywać ojca przy życiu, ale nikt z personelu szpitala ani słowem nie zająknął się o eutanazji, a on nie chciał zaczynać tematu. Zresztą jego siostra ze Stanów byłaby przeciwna, nawet nie musiał jej o to pytać.

Zatem jego ojciec siedział tam, gdzie siedział. Nigdy z nikim nie rozmawiał. Nigdy nie czytał gazet, nie oglądał telewizji. Nie wstawał z łóżka, nawet żeby pójść do toalety. Jediną oznaką jako takiej świadomości było to, że otwierał usta, kiedy zbliżała się do nich łyżka z je-

dzeniem.

Mój ojciec, pomyślał. Też tak kiedyś skończę. Dzięki za wizytę.  
Postanowił, że musi żyć, póki może.

Noc z piątku na sobotę była ciężka. Wiedział, że Vera przyjdzie, dał więc sobie spokój z whisky. Nie mógł popaść w nałóg. Z lekami też nie chciał przeholować. Wziął jedynie lekką tabletkę na sen, ale zrobił się tylko ociężały, zaczęło go też lekko mdlić.

Rzecz jasna postanowienie, by nie podejmować żadnych decyzji, dopóki nie nadejdzie poniedziałkowy list, było właściwe. Inne nie wchodziło w grę. Niestety, absolutnie nie uchroniło go przed natłokiem myśli.

Upartych, czarnych myśli i wizji tego, co się z nim stanie. Domysłów na temat tego, jaki scenariusz przedstawi mu tym razem „Przyjaciół” w kwestii pieniędzy. I na temat tego, co on sam będzie musiał wtedy zrobić. Po raz kolejny.

O ile w ogóle sytuacja na to pozwoli.

Na to, by zabić.

Zabić po raz ostatni i raz na zawsze zapomnieć o dawnym życiu. Bez żadnych podsumowań, bez oglądania się wstecz. By po prostu obudzić się pewnego ranka z czystym kontem.

Tak bardzo pragnął być już w tym punkcie.

Chciał, by wszystko już się skończyło. Żyć, póki może?

Za dziesięć szóstą po raz ostatni zerknął na zegarek.

Kiedy obudził się kilka godzin później, padało. Do tego mocno wiało i deszcz z uporem zacinał w okna. Przez chwilę leżał i nasłuchiwał. Potem wstał i wziął prysznic.

Przedpołudnie i wczesne popołudnie spędził, przygotowując kolację. Posprzątał i przygotował butelki z winem. Potem posegregował pranie. Tuż po drugiej zadzwonił Smaage – chciał przypomnieć, że w najbliższy piątek wypada kolejne spotkanie Braci. Chwilę porozmawiali, później sam się zdziwił, że tak gładko przez to przebrnął. Nawet się nie zająknął. A przecież to wszystko zaczęło się po ostatnim spotkaniu... To po ostatnim, przeklętym zebraniu Braci jego spokojne życie skończyło się jak nożem uciął, a wszystko wkroczyło na nową,

szaloną drogę. Obiecał Smaagemu, że przyjdzie, o ile nie wypadnie mu nic nieprzewidzianego. Kiedy wypowiadał to ostatnie słowo, nagle poczuł, jak kręci mu się w głowie. Smaage życzył mu miłego weekendu i rozłączył się.

Potem została mu jeszcze godzina. Nie miał już nic innego do roboty, jak tylko siedzieć i czekać na nią. Pomiedzy czwartą a piątą, kiedy to zmierzch zaczął już zapadać, a wiatr nieco się uspokoił. Deszcz to przestawał padać, to zaczynał na nowo. Dłuższą chwilę stał w oknie sypialni i spoglądał na niespokojne niebo nisko zawieszony nad rzadkim laskiem zasadzonym na tyłach domków szeregowych.

Stał tak w ciemnościach, a do głowy zawitała mu zupełnie nowa myśl.

Chcę jej opowiedzieć, pomyślał. Na pewno zrozumie. Możemy przejść przez to razem i zapewniać sobie wzajemne wsparcie. Przecież to dużo, czyż nie?

Równo o piątej zadzwoniła do drzwi. Kiedy szedł otworzyć, nagle poczuł, że uginają się pod nim kolana.

To był ich najpoważniejszy wieczór. Ona, przynajmniej z początku, zachowywała się z pewną rezerwą i chociaż nie powiedziała tego wprost, widać było, że przejmuje się tą historią z Andreasem.

Martwiła się, że będzie musiała powiedzieć mężowi, że oto postanowiła opuścić go dla innego. Rozumiał, że jest jej trudno. Rozumiał też, że jeszcze nie przyparła go do muru, mimo że obiecała to zrobić. Nie naciskał jej jednak. Nie okazał po sobie zniecierpliwienia czy zawodu. Mimo wszystko temu spotkaniu towarzyszył dziwny nastrój, jakiego nigdy wcześniej nie odczuł. Kochać zaczęli się dopiero po wypiciu trzech butelek wina.

Było cudownie jak zwykle. Może nawet cudowniej. Przez głowę przeszła mu nawet myśl, że to dzięki tej odrobinie gorszego nastroju. Udało mu się doprowadzić ją do czterech czy pięciu orgazmów. Potem położyła mu głowę na piersi i rozplakała się. On miał w głowie pustkę, jakby przetoczyła się przez nią wojna jądrowa.

Potem rozpili jeszcze jedną butelkę. Wtedy poczuł, że krew na nowo zaczyna krążyć w żyłach. Nieco później wziął ją jeszcze raz –

neco mocniej, niż to zazwyczaj lubiła – na stole w kuchni, a na zakończenie wypili po szklaneczce glenlivet.

Do końca życia miał żałować tej porcji whisky, bo to właśnie przez nią zupełnie zgłupiał i wszystko zrujnował. Innego wyjaśnienia nigdy nie próbował znaleźć.

Bo i też innego nie mogło być.

Kiedy się kąpał, uświadomił sobie, że jest porządnie pijany. Bardziej pijany niż na przykład tamtej nocy, ale przecież o to chodziło. Tego mu było trzeba. Poczucie rozdarcia, które towarzyszyło mu cały tydzień, jakby gdzieś zniknęło, i kiedy spoglądał na swoją twarz w lustrze, widział w niej tylko siłę.

Uśmiechnął się do swojego odbicia i wrócił do sypialni. Przysiadł na brzegu łóżka i przez chwilę bawił się jej sutkiem, gładząc go kciukiem i palcem wskazującym. Uśmiechnęła się do niego.

Teraz jej powiem.

W chwili gdy zobaczył jej spojrzenie, zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd.

Vera Miller zrozumiała natomiast, że niewybaczalnym błędem było posłanie mu takiego spojrzenia. Zrozumiała to, kiedy wstał i wyszedł po coś do przedpokoju.



IV

Johan Vlaarmeier był kierowcą autobusu na trasie Maardam–Kaustin już od ponad jedenastu lat.

Robił sześć kursów w każdym kierunku. I tak codziennie. Z wyjątkiem dni wolnych, przypadających według grafiku, no i – rzecz jasna – tygodniowego urlopu, na który wybierał się od czasu do czasu.

Pierwszy i ostatni kurs nie miały poniekąd większego sensu, ale tylko poniekąd. Wyjazd do Kaustin o wpół do siódmej rano nie miał bowiem żadnego rozsądnego uzasadnienia, podobnie jak powrót do miasta dwanaście godzin później. Jednak nocą autobusy garażowano w zajezdni przy Leimaar Allé, zresztą Vlaarmeier nie miał nic przeciwko pustym kursom od czasu do czasu. Nic a nic. Z biegiem lat zaczął postrzegać pasażerów jako uciążliwy element swojej pracy, zaś wieczorne powroty do miasta zaliczał do przyjemniejszych chwil w życiu. Żadnego ruchu na drogach. Pusty autobus, a do tego kolejna dniówka na koncie. Czego chcieć więcej?

W niedziele kursów było mniej, to znaczy cztery. Dwa w każdą stronę. Wyjeżdżał o dziewiątej rano – zawsze pustym autobusem – i wracał o dziesiątej z ładunkiem czterech wiejskich bab wybierających się na sumę do kościoła Keymer. Z jakiegoś powodu miejscowy kościół im nie odpowiadał. A może był zamknięty. Vlaarmeier nie przepadał za religią, odkąd trzydzieści lat wcześniej jakiś student teologii odbił mu dziewczynę.

O drugiej odwoził baby z powrotem. Do tej pory zdążyły zaliczyć kawę i ciastko u Heimera przy Rozenplejn.

Zawsze ta sama czwórka. Dwie małe i grubiutkie, dwie kościste i przygarbione. Często zastanawiał się, dlaczego firma nie załatwi im taksówki. Wyszłoby zdecydowanie taniej.

Tej chłodnej niedzieli, dwudziestego dziewiątego listopada, stawiły się tylko trzy, ponieważ pani Willmot, jedna z dwóch grubszych, rozłożyła się na grypę. Tę wiadomość przekazała mu przemarznięta od wiatru pani Glock, kiedy wsiadła do autobusu obok szkoły.

Trzydzieści osiem i dwie kreski, a do tego powiększone migdały, jak mu powiedziała. Oraz katar i łamanie w kościach. To na wypadek, gdyby go to interesowało.

To również pani Glock zaczęła wrzeszczeć tak, że omal nie wjechał do rowu. Było to tuż przed długim zakrętem przy wjeździe do Korrim. Vlaarmeier miał wrażenie, że do ucha wpadła mu mewa.

Odzyskał panowanie nad kierownicą i zerknął we wsteczne lustro. Zobaczył, że starsza pani do połowy podniosła się z siedzenia i wali ręką w boczną szybę.

– Zatrzymać autobus! – zawołała. – Na Boga, zatrzymaj się pan!

Johan Vlaarmeier zahamował i stanął na poboczu. Niech to szlag, pomyślał. Pewnie któraś dostała apopleksji.

Chociaż kiedy spojrział w głąb autobusu, stwierdził, że wszystkie mają się nieźle. To znaczy nie wyglądały gorzej niż zazwyczaj. Dwie siedziały z tyłu i gapiły się z otwartymi gębami na panią Glock, która wciąż waliła w szybę i wykrzykiwała coś niezrozumiałego. Westchnął, wyszedł z kabiny i ruszył do niej.

– Ależ ciszej, proszę – powiedział. – Wyjaśnijmy to na spokojnie. Co się tu, u licha, dzieje?

Pani Glock zamilkła. Dwa razy przełknęła ślinę, aż proteza zgrzytnęła, po czym wlepiła w niego wzrok.

– Ciało – powiedziała. – Martwa kobieta.

– Że co? – odparł Johan Vlaarmeier.

Pani Glock wskazała za siebie, w stronę ciemnego pola.

– Tam dalej. Na poboczu... ciało.

Potem oklapła na swoje miejsce i podparła głowę dłońmi. Jej koleżanki, potykając się, ruszyły między siedzeniami i niepewnie zaczęły ją pocieszać.

– Ciało? – zapytał Vlaarmeier.

Pani Glock kolejny raz zastukała w szybę i wskazała palcem. Vlaarmeier wahał się przez dwie sekundy. Potem otworzył pneumatyczne

drzwi, wysiadł z autobusu i ruszył wzdłuż drogi.

Zauważył ją po dwudziestu pięciu metrach. W płytkim rowie, oddzielającym drogę od świeżo zaoranego pola, leżały ukosem zwłoki kobiety. Były zawinięte w jakąś tkaninę przypominającą prześcieradło... bardzo brudne i trzepoczące na wietrze prześcieradło, które odstaniało jedną nogę i inne części ciała. Między innymi dwie duże, białe piersi i nienaturalnie wykręcone ręce. Leżała na plecach, twarz miała zwróconą ku niebu, ale zasłaniały ją mokre rudawe włosy, które jakby się do niej przykleiły.

Cholera, pomyślał Vlaarmeier. Niech to cholera. Potem zwymiotował całe obfite śniadanie – zarówno owsiankę, jak i kiełbaski oraz jajka – i dopiero wtedy wrócił chwiejnym krokiem do autobusu, żeby zadzwonić.

Kiedy komisarz Reinhart i inspektor Moreno dojechali do Korrim, zaczął padać śnieg. Duże białe płatki wirowały nad otwartym polem, a potem topniały na mokrej, czarnej ziemi.

Radiowóz z dwoma posterunkowymi, Joensuu i Kellermanem, już był na miejscu. Joensuu ustawił się przy zwłokach, tyłem do kobiety. Skrzyżował ręce na piersi, szeroko rozstawił nogi i zrobił groźną minę. Kellerman stał przy żółtym autobusie, w rękę trzymał notatnik i długopis i pochłonięty był rozmową z kierowcą i pasażerkami. Trzy starsze panie przykleiły się do boku autobusu, jakby chciały nawzajem się ogrzać. Wszystkie miały na sobie ciemne płaszcze i płaskie kapelusiki. Reinhartowi przypominały trzy nastroszone wrony, które wskoczyły na drogę, żeby szukać resztek jedzenia. Kierowca nerwowo chodził w kółko i palił.

Dlaczego nie siedzą w autobusie? – pomyślał Reinhart. Nie zauważyli, że pada?

Kazał Moreno pomóc Kellermanowi. Sam podszedł do Joensuu i spojrzał na to, na co musiał.

Najpierw przez dwie sekundy. Potem na pięć zamknął oczy. Potem znów popatrzył.

Taki miał zwyczaj. Sam nie wiedział, czy przynosi mu to jakkolwiek ulgę, ale przez te wszystkie lata stało się swoistym rytuałem.

No tak, martwa kobieta. Najprawdopodobniej naga, owinięta w coś przypominającego prześcieradło, dokładnie tak, jak Vlaarmeier przekazał im przez telefon. Leżała niemal płasko na plecach, głowę miała opartą o skibę mokrej ziemi, zaś czubkami stóp dotykała wąskiego pasma trawy ciągnącego się wzdłuż pobocza. Ma czerwony lakier na paznokciach, i to w tak tragicznych okolicznościach, zauważył. Wyglądał wręcz surrealistycznie, a na pewno potęgował poczucie niezeczywistości. O ile zauważył, była dość zgrabna. Między trzydziestką a czterdziestką, ale to oczywiście były tylko domysły. Twarz zakrywały długie, mokre rude włosy. Oczywiście śnieg padał także na nią, zupełnie jakby niebo robiło, co mogło, żeby przysłonić to, czego nie chciało widzieć, przemknęło mu przez głowę. Delikatny całun... cóż, podobne myśli często pojawiają się w takich okolicznościach. Słowa, frazy, obrazy; tak jakby człowiek, zupełnie jak niebo, podejmował tę daremną próbę przysłonięcia rzeczywistości.

– Okropność – powiedział Joensuu. – Całkiem niezła babka... to znaczy nie teraz.

– Jak długo tu jesteście? – zapytał Reinhart.

Joensuu spojrział na zegarek.

– Czternaście minut. Zgłoszenie dostaliśmy o dziesiątej trzydzieści dziewięć. Na miejsce przyjechaliśmy pięćdziesiąt osiem po.

Reinhart pokiwał głową. Zszedł do rowu. Pochylił się nad ciałem i przyglądał mu się przez kilka sekund.

– Krew – powiedział Joensuu, nie odwracając się. – Na prześcieradłach jest krew. I na głowie. Ktoś ją tam dźgnął.

Reinhart się wyprostował. Zaciśnął pięści w kieszeniach. Joensuu miał rację. Prześcieradła – bo były dwa – były zaplamione nie tylko ziemią i brudem. Nad jednym ramieniem widać było smugi i krople, do tego, tak jak mówił Joensuu, włosy z prawej strony sklezione były krwią.

Nie było innej możliwości. No chyba że to masa mózgowa.

Przyjechały kolejne dwa wozy. Reinhart przywitał się z podkomisarzem Schultzem, ważącym sto dwadzieścia kilo szefem zespołu techników.

– Pada śnieg – zauważył ponuro Schultze. – Niech to cholera, trzeba

będzie rozstawić namiot.

Reinhart stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się, jak asystenci Schultzego wbijają w miękką ziemię metalowe pręty i rozciągają cienką płachtę metr nad ofiarą. Potem życzył im powodzenia i ruszył w stronę autobusu. Polecił Kellermanowi dołączyć do Joensuu i porządnie odgrodzić teren taśmą.

I pomagać Schultzemu i jego ludziom, jak tylko się da.

Wyglądało na to, że Moreno wycisnęła już z pasażerek i kierowcy tę garść informacji, które dało się wycisnąć. Otóż przejeżdżali tędy autobusem i wtedy jedna z nich dojrzała zwłoki, i tyle. Po sprawdzeniu ich danych osobowych i adresów Reinhart pozwolił im odjechać. Nie obyło się przy tym bez zamieszania, bowiem żadna z trzech kobiet nie miała teraz najmniejszej ochoty na wyprawę do kościoła Keymer, suma zresztą i tak już się zaczęła. Po chwili Vlaarmeier poddał się i zgodził się zawrócić i podwieźć starsze panie do Kaustin.

Rozkład jazdy i tak się posypał, a na innych pasażerów nie musiał zważać, bo ich po prostu nie było. Nie w niedzielę.

Pół godziny później Reinhart i Moreno też opuścili miejsce znalezienia zwłok. Mieli w pamięci pierwsze, na razie ustne sprawozdanie Schultzego: ofiara była rudowłosą kobietą średniego wzrostu, około trzydziestki piątki. Zabito ją, zadając liczne ciosy w głowę i kark, najprawdopodobniej w nocy lub nad ranem. Biorąc pod uwagę stężenie pośmiertne, nie później niż o czwartej. Kobieta była całkiem naga, nie licząc dwóch prześcieradeł, w które ją owinięto. Wszystko wskazywało na to, że ciało wyrzucono na pobocze z samochodu. Do tej pory nie znaleziono niczego, co mogłoby się przydać w dalszym śledztwie, jednak technicy wciąż przeszukiwali teren na czworakach i mieli to robić jeszcze kilka godzin.

Zarówno pod rozpiętym namiotem, jak i pod gołym niebem.

W momencie kiedy Reinhart i Moreno wsiadali do samochodu, zwłoki zapakowane w zielony worek ładowano do wozu, który miał je przewieźć do Zakładu Medycyny Sądowej w Maardam. Na miejscu nie zebrali się gapie, zaś tym nielicznym kierowcom, którzy akurat przejeżdżali tędy w tę zapomnianą przez Boga niedzielę, Joensuu lub Kel-

lerman, albo obaj, zdecydowanym ruchem ręki nakazywali jechać dalej.

Śnieg nadal padał.

– Początek adwentu – powiedział Reinhart. – Dziś zaczyna się adwent. Trafiona oprawa. Powinno się zapalić świeczkę.

Moreno pokiwała głową. W myślach stwierdziła, że Niedziela Wieczności<sup>1</sup> byłaby bardziej odpowiednia, ale minął od niej już tydzień. Obróciła się i spoglądała na płaski krajobraz i nieliczne, ale duże płatki śniegu opadające na ciemną ziemię. Szaro. Jak okiem sięgnąć, wszędzie szaro. I prawie żadnego światła. Zamierzała prześpać ten poranek. Wylegiwać się w łóżku z gazetą i jeść śniadanie przez dwie godziny. A po południu iść popływać.

No właśnie, zamierzała, ale nic z tego nie wyszło. Ten dzień miała spędzić w pracy. Prawdopodobnie cały, o ile uda im się szybko zidentyfikować ofiarę. Przesłuchania i rozmowy z bliskimi. Pytania i odpowiedzi. Łzy i rozpacz. Można było to sobie łatwo wyobrazić. Kiedy Reinhart, mruczając i przeklinając pod nosem, wiózł ich wąską, moką drogą, powoli zaczęła się w niej rodzić nadzieja, że jednak nie dowiedzą się, kim była ofiara. Że kobieta pozostanie anonimowa jeszcze przez kilka godzin. Może dzień. Jeśli wziąć pod uwagę najbliższych ofiary, ta myśl wydawała się sensowna, jednak nie dało się jej pogodzić z obowiązkami policjanta kryminalnego. Zaprzeczwała bowiem starej regule, według której pierwsze godziny po zabójstwie są najważniejsze; za to o wiele lepiej dało się ją połączyć z wątłą nadzieją na to, że może jednak uda się tego dnia wyskoczyć na parę godzin na basen, pomyślała Moreno.

Trzeba szczerze przyznać przed samym sobą, jakimi motywami człowiek się kieruje, pomyślała z westchnieniem. To było jedno z powiedzeń Van Veeterena, jedno z tych, które utkwily jej w pamięci. Dlaczego za każdym razem, gdy widzę martwe ciało, mam ochotę na kąpiel – uderzyła ją kolejna myśl. Zwłaszcza jeśli to ciało kobiety. Pewnie to kwestia empatii...

– Zastanawiam się, dlaczego ją tam zostawił. – Reinhart przerwał jej rozważania. – Tak na widoku. Przecież rozsądniej było ukryć ciało

w lesie.

Moreno przez chwilę myślała.

– Może mu się spieszyło.

– Możliwe. Na pewno w samochodzie są ślady krwi. Bo chyba musi mieć samochód. Jeśli uda nam się trafić na wóz, wystarczy tylko zdobyć dowody. Co o tym myślisz?

– Na razie nic – odparła, wzruszając ramionami.

– Cóż, zawsze można mieć nadzieję – ciągnął Reinhart. – Nadzieję na to, że mąż czy też ten, kto to zrobił, zadzwoni i sam się przyzna. Wszystko ku temu zmierza... tak, coś czuję, że koleś już siedzi u Krausego.

– Tak myślisz?

– Oczywiście. Siedzi tam i czeka na nas. Pijany i na wpół oszalały. Ot, trochę za dużo wypił w sobotę... Jakaś kłótnia, jakiś skok w bok, no i w ręce wpadło mu żelazko. Nieszczęśnicy. Szkoda ludzi.

– Ano – odparła Moreno. – Masz rację, powinno się zapalić świeczkę.

Jednak ani u Krausego, ani nigdzie indziej na komendzie nie czekał na nich żaden sprawca. W ostatnich godzinach nie dostali też żadnego zgłoszenia o zaginięciu rudowłosej kobiety z pomalowanymi na czerwono paznokciami u nóg. Około wpół do drugiej Reinhart i Moreno otrzymali zestaw zdjęć z miejsca znalezienia zwłok, później dosłano im też nieco obszerniejszy raport patologa i techników.

Ofiara miała 172 centymetry wzrostu i ważyła 62 kilo. Miała ciemnorude włosy, zarówno te na głowie, jak i łonowe, nigdy nie rodziła, ale odbyła stosunek w przedziale czasowym zbliżonym do zabójstwa. Czyli *przed zabójstwem*, przetłumaczyli sobie Reinhart i Moreno, nie zamieniając w tej kwestii ani słowa. W pochwie było dużo spermy, gdyby złapali sprawcę, mieliby więc kolejny dowód. Wystarczyło ją zamrozić i przeprowadzić test DNA. Choć oczywiście to nie musiała być ta sama osoba – ten, kto się z nią kochał niedługo przed śmiercią, i ten, kto ją do niej doprowadził. Wiele jednak na to wskazywało. Zarówno Moreno, jak i Reinhart tak sądzili.

Zęby miała zdrowe, brak znaków szczególnych. Zabito ją trzema sil-



nymi ciosami w głowę i jednym w kark. Stosunkowo duża ilość krwi była skutkiem jednego z pierwszych uderzeń, które naruszyło tętnicę skroniową. Miejsce zbrodni nie było znane, na pewno jednak nie było nim to, gdzie znaleziono zwłoki. Nie określono jeszcze czasu zgonu, ale celowano w godziny pomiędzy drugą a czwartą w nocy z soboty na niedzielę. Przy kobiecie nie znaleziono żadnych ubrań ani przedmiotów osobistych czy czegokolwiek innego. Poziom alkoholu we krwi ofiary wynosił 1,56 promila.

– Była pijana – stwierdził Reinhart. – Miejmy nadzieję, że przez to mniej cierpiała. Niech to.

Moreno odłożyła dokumenty z Zakładu Medycyny Sądowej.

– Wieczorem będziemy mieć nieco więcej informacji – dodał Reinhart. – Meusse pracuje na pełnych obrotach. To może na razie zrobimy sobie parę godzin wolnego?

Kiedy Moreno wyruszyła spacerem na basen przy Birkenweg, śnieg zdążył już przejść w deszcz. Nad miastem zaczął zapadać zmierzch, mimo że nie było jeszcze trzeciej. Znów przypomniały jej się słowa Reinharta o świeczce.

Chociaż kiedy przed oczami stanęły jej zwłoki tej bezimiennej kobiety, stwierdziła, że stanem ducha bliżej jej było do ciemności.

To po prostu taki dzień, stwierdziła. Dzień, który nijak nie chce otworzyć się do końca albo też na który człowiek nijak nie chce się otworzyć. Przez który człowiekowi najłatwiej jest przejść ze zmysłami i świadomością ledwo uchylonymi na rzeczywistość.

Taki dzień. A może taka pora roku?

Życie ostrygi, pomyślała jeszcze, pchając ciężkie drzwi budynku basenu. Ciekawe, jak się nazywała. Ciekawe, czy to mogłam być ja.

## 19

– Mam go tu – powiedział Krause. – Właśnie wróciliśmy.

– Kogo? – zapytał Reinhart. – Skąd?

– Andreeasa Wollgera – odparł Krause. – Jej męża. Identyfikacja pozytywna.

Reinhart wlepił wzrok w telefon. Potem w zegarek. Była ósma dwie, poniedziałek rano.

– Znalazłeś sprawcę i mnie nie powiadomiłeś?

Krause zakasłał do słuchawki.

– Nie sprawcę. Jej męża. Siedzi teraz u mnie z aspirant Dobbermann. Nie najlepiej się czuje, właśnie wróciliśmy z Zakładu Medycyny Sądowej. Oglądaliśmy zwłoki. Nazywała się Vera Miller.

– Vera Miller? A dlaczego dzwonicz dopiero teraz? I skąd wiesz, że to nie on trzymał żelazko?

– Żelazko?

– Żelazko czy co to tam było, do cholery... Skąd wiesz, że to nie on?

Słysząc było, jak Krause przesuwa pianino. A może to było westchnięcie.

– Jest dopiero ósma – powiedział. – Wollger pojawił się za kwadrans siódma i od razu pojechaliśmy zobaczyć zwłoki. Czy pan komisarz ma zamiar przyjechać tu i porozmawiać z nim, czy też woli mnie nadal przesłuchiwać przez telefon? Swoją drogą, jestem przekonany, że akurat żelazko nie było w to zamieszane.

Aspirant Krause robi się butny, pomyślał Reinhart, odkładając słuchawkę.

Twierdząc, że Andreas Wollger czuje się nie najlepiej, Krause miał całkowitą rację. Kiedy Reinhart wszedł do pokoju, mężczyzna siedział

wyprostowany na krześle z rękoma ciasno splecionymi na kolanach. Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, a stojąca obok aspirantka Elise Dobbermann wyglądała na bezradną. Miała na sobie najnowszy, choć niezbyt wymyślny, model munduru kobiecego. Jak to dobrze, że nie jestem policjantką, przemknęło Reinhartowi przez myśl. Przy najmniej nie taką, która musi nosić mundur.

– Hm – powiedział. – Panie Wollger, jestem komisarz Reinhart.

Wyciągnął rękę. Po chwili Anders Wollger podniósł się i ją uściskał. Potem znów usiadł i zapatrzył się w nicość. Reinhart przyglądał mu się, Wollgera chyba w ogóle to nie obchodziło. Dość wysoki, masywny facet około czterdziestki, osądził Reinhart. Dżinsy, granatowy golf, wymięta szara marynarka. Głowę miał dużą, zaczynał łysieć. Błado-niebieskie oczy, okulary w metalowych oprawkach. Rysy ust i brody sugerowały słabość.

To nie on to zrobił – taki był pierwszy wniosek Reinharta.

Nie wolno zbyt pochopnie wyciągać wniosków – taki był drugi.

– Da pan radę odpowiedzieć na kilka prostych pytań?

– Pytań? – nie zrozumiał Wollger.

– Napije się pan czegoś? Kawy? Herbaty?

Wollger pokręcił głową.

– Chwileczkę – powiedział Reinhart i odciągnął aspirantkę Dobbermann na bok. Obniżył głos i zapytał ją o ogólną sytuację. Dobbermann szeptem odparła, że Wollger wypił trochę soku i pół filiżanki kawy w Zakładzie Medycyny Sądowej tuż po tym, jak okazano mu martwe ciało żony. Nie udało się nakłonić go do rozmowy. Ani przed identyfikacją, ani po niej. Ani jej, ani Krausemu. Reinhart pokiwał głową i posłał Dobbermann po doktora Schencka, którego gabinet znajdował się na pierwszym piętrze. Potem odwrócił się do Wollgera.

– Niestety muszę sprawdzić kilka szczegółów. Później przyjdzie tu lekarz, który dopilnuje, żeby mógł pan odpocząć. Zatem nazywa się pan Andreas Wollger?

Wollger pokiwał głową.

– Proszę, żeby odpowiadał pan na głos.

– Nazywam się Andreas Wollger.

– Pańska żona padła ofiarą okropnego wypadku. Zidentyfikował ją

pan jako... – Szybko zerknął do notatnika – ...Verę Miller. Zgadza się?

- Tak.
- Gdzie pan mieszka?
- Milkerweg 18.
- Mają państwo dzieci?
- Nie.
- Od jak dawna są państwo małżeństwem?
- Od trzech lat.
- Czym się pan zajmuje?
- Jestem bezrobotny.
- Od jak dawna?
- Od sześciu miesięcy.
- A wcześniej gdzie pan pracował?
- W fabryce Zindera. Teraz już ją zamknęli.

Reinhart pokiwał głową, szukając fajki i tytoniu w kieszeni. O ile dobrze pamiętał, Zinder produkował części do telefonów komórkowych. Wykończyły go produkty z Japonii. Albo z Korei.

- A pańska żona?
- Jaki miała zawód?
- Tak.
- Była pielęgniarką.
- Co robili państwo w sobotę wieczorem?
- Ja zjadłem kolację z dobrym przyjacielem.
- Gdzie?
- W restauracji Mefisto.
- Na Lofters plejn?
- Tak.
- Czy żona była z panem?
- Nie, żona była na kursie.
- Co to za kurs?
- Dla pielęgniarek. Przecież jest pielęgniarką.
- W którym szpitalu?
- W Gemejnte.
- I kurs odbywał się w Gemejnte?

– Nie, w Aarlach.

– W Aarlach? – Reinhart zanotował. – To daleko stąd.

Wollger nie odpowiedział.

– Zatem chodziło o kurs dla pielęgniarek w Aarlach. Kiedy tam pojechała?

– W sobotę przed południem.

– Kiedy miała wrócić?

– W niedzielę po południu. Jak zwykle.

– Jak zwykle? Co to znaczy?

Wollger zrobił głęboki wdech.

– Chodziła na te sobotnie kursy już od jakiegoś czasu. To jakieś studium zawodowe.

– Zawsze odbywały się w Aarlach?

– Zawsze – potwierdził Andreas Wollger. – Teraz nie wróciła do domu.

– Rozumiem. A kiedy nie wróciła, udał się pan na policję?

– Ona nie żyje. Mój Boże, Vera nie żyje!

Pod koniec zdania głos zrobił się o pół oktawy wyższy. Reinhart zorientował się, że moment załamania jest już blisko.

– Jak tam dojeżdżała? – zapytał. – To znaczy do Aarlach.

– Pociągiem – odparł z westchnieniem Wollger. – Oczywiście jeździła pociągiem. Boże, ona nie żyje, a pan mnie pyta, jak jeździła do Aarlach? Dlaczego?

Reinhart odczekał kilka sekund.

– Pańską żonę zamordowano – powiedział. – Ktoś zabił ją w nocy z soboty na niedzielę. Może pan jakoś wyjaśnić, dlaczego znaleziono ją na przedmieściach Maardam, skoro miała się znajdować dwieście kilometrów stąd?

Andreas Wollger nie umiał tego w żaden sposób wyjaśnić. Skulił się na krześle. Zakrył twarz rękami i zaczął zawodzić, kiwając się przy tym w przód i w tył. Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach pojawiła się pokryta siwymi lokami głowa doktora Schencka.

– Jak tam?

Reinhart westchnął i usunął się na bok, żeby świeżo owdowiały Wollger go nie słyszał.

– Tak jak można się było spodziewać. Chyba możesz go przejąć. Nie wiem, kto jest dla niego najbliższą osobą, ale musimy tu ściągnąć jakiegoś krewnego. Oczywiście musimy z nim jeszcze porozmawiać, im szybciej, tym lepiej. Teraz jednak nie da rady.

– Dobra. – Schenck pokiwał głową. – Widzę. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Dzięki. – Reinhart wyszedł z pokoju.

Kiedy dotarł do Zakładu Medycyny Sądowej, zrobiła się już pora lunchowa, zaproponował więc, żeby wyszli do Fixa. Meusse nie miał nic przeciwko. Zdjął swój przybrudzony biały fartuch i zarzucił na siebie marynarkę, która leżała na biurku.

Fix znajdował się po drugiej stronie ulicy. Kiedy weszli, w lokalu było sporo klientów, ale dzięki jako takiej dyplomacji Reinhartowi udało się zamówić stolik stojący w miarę na uboczu. Zapytał Meussego, czy ma ochotę coś zjeść, ale ten w odpowiedzi pokręcił łysą głową. Nic dziwnego. Plotka głosiła, że minęły lata, odkąd Meusse wziął do ust stałe pożywienie. Reinhart zamówił dwa ciemne piwa, usiadł naprzeciwko kolegi i czekał.

– No i? – zaczął. – Co chciałeś mi powiedzieć?

Meusse wypił solidny łyk i dokładnie wytarł usta serwetką.

– Jest jedna sprawa – powiedział.

– Sprawa?

– Otóż to. Widzę, że nadążasz.

Reinhart nie odpowiedział.

– To tylko niczym niepotwierdzona obserwacja. Chcę jednak, żebyś wziął ją pod uwagę.

– Rozumiem – odparł Reinhart.

– Chodzi o te ciosy.

– Ciosy?

– Ciosy w głowę i w kark – sprecyzował Meusse. – Przypominają te, które dostał syn *komisarza*.

Minęła chwila, zanim Reinhart zrozumiał, że Meusse ma na myśli Ericha Van Veeterena.

– Że niby co? – powiedział w końcu.

– No właśnie, niby. – Meusse wypił kolejny łyk. – Nie zapominaj, że to tylko pobieżne spostrzeżenie.

– Jasne. Ja tak łatwo nie zapominam. W takim razie twierdzisz, że to ta sama osoba?

– Mhm – odparł Meusse.

– Ta sama osoba zabiła Ericha Van Veeterena i tę kobietę. To właśnie chcesz powiedzieć?

– Nie wykluczam takiej możliwości – powiedział Meusse po chwili zastanowienia. – *To* chcę powiedzieć. Jeśli pan komisarz zechce wysłuchać, to wyjaśnię. Otóż mamy tu do czynienia z dość nietypowym ciosem. Nic też nie wyklucza możliwości, że w obu przypadkach była to ta sama broń. Na przykład żelazna rura, odpowiednio ciężka. Jeśli chodzi o ciosy w głowę, nie mam nic do powiedzenia, może tylko tyle, że sprawca był praworęczny. Podobieństwo widzę w ciosie w kark. W obu przypadkach strzaskał kręgi szyjne. Trafił mniej więcej w to samo miejsce. Zabił w sekundę. Oczywiście to mógł być przypadek, chciałem jednak, żebyś wiedział.

– Dzięki – odparł Reinhart.

Przez chwilę milczał. Żeby ułatwić sobie poukładanie tego wszystkiego w głowie, zaczął rysować serię kółek w notatniku, który leżał przed nim na stole. Nie do końca się udało.

– Ale tym razem ciosów w głowę było więcej?

Meusse przytaknął.

– Trzy. W zasadzie niepotrzebne. Wystarczyłby ten jeden w kark, ale tylko jeśli ofiara była odwrócona dobrą stroną, że tak powiem.

– Uważasz, że to sprawka profesjonalisty?

Meusse chwilę się zastanawiał.

– Ten, kto zadał ciosy, wiedział, jaki ma cel i jaki będzie skutek – odparł w końcu. – Czy to właśnie komisarz ma na myśli, pytając o profesjonalizm?

Reinhart wzruszył ramionami.

– Równie dobrze może chodzić o dwóch sprawców – powiedział Meusse. – Ale może też o jednego. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Dzięki za piwo.

Dopił do dna i kolejny raz otarł usta.

– Czekał no – odparł Reinhart. – Potrzebuję opinii, a ty jesteś najlepszą osobą, żeby ją wydać. Mamy do czynienia z tym samym sprawcą? Bo po cholere żęś mnie tu wyciągał, skoro teraz mi mówisz, że na dwoje babka wróżyła.

Meusse ze zmarszczonym czołem zapatrzył się w pusty kufel. Reinhart skinął na kelnera i zamówił dwa kolejne piwa. Kiedy już je dostali, Meusse przesunął dłonią po łysinie i na chwilę zapatrzył się w okno. Na pewno marzył o tym, żeby zostać aktorem, pomyślał Reinhart. W młodości... czyli jakieś dwieście, trzysta lat temu.

– Nie chcę niczego stwierdzać z pewnością – wyjaśnił mu w końcu Meusse. – Jednak nie siedziałbym tu teraz i ci o tym nie opowiadał, gdybym nie miał pewnych podejrzeń... O ile oczywiście nic im nie zaprzeczy.

– Zatem to wysoce prawdopodobne? – zapytał Reinhart. – To twoja opinia?

– Chciałem tylko dołożyć coś od siebie.

Przez chwilę pili w milczeniu.

– Verę Miller i Ericha Van Veeterena nic nie łączyło. Przynajmniej nic, o czym byśmy wiedzieli... chociaż oczywiście jeszcze tego nie zbadaliśmy.

– Wystarczy jedno powiązanie – stwierdził Meusse. – No ale to już nie moja działka.

– Słusznie. Mimo wszystko dzięki za rozmowę, zobaczymy, co da się z tym zrobić.

– Ano zobaczymy – odparł Meusse i wstał. – Dzięki za piwo.



– W Aarlach nie ma żadnego kursu – stwierdziła Moreno, siadając na przeciwko Reinharta. – A przynajmniej nie ma tam weekendowego, cotygodniowego kursu dla pielęgniarek. Jak on się czuje?

– Nie najlepiej – odparł Reinhart. – Byłem pewien, że ta historyjka o Aarlach to blef. Wollger nie chce jechać do domu. Leży teraz w gabinecie Schencka. Biedak. Przyjechał do niego dobry przyjaciel, ale dotarł tu po tym, jak Schenck go uśpił. Rodzice przyjadą wieczorem... oboje mają po siedemdziesiąt pięć lat, jadą tu samochodem z Frigge. Oczywiście mówię o *jego* matce i ojcu, z jej rodzicami jeszcze nie udało nam się skontaktować. Zobaczymy, jak nam pójdzie, ale tak czy inaczej, musimy go postawić na nogi, tak żeby mógł z nami porozmawiać. Nieistotne, czy będzie na lekach, czy nie.

– Zdradzała go? Możemy być pewni?

– Tak sądzę. Inaczej czemu okłamywałaby go co sobotę?

– Mogą być inne wyjaśnienia.

– Ach tak? Wymień jedno.

Moreno przez chwilę milczała, potem postanowiła wstrzymać się z odpowiedzią.

– Jaki on jest? – zapytała za to. – Naiwny?

Reinhart z zamyśloną miną podrapał się po brodzie.

– Owszem – odparł. – Naiwny to dobre określenie. Van Berle, ten jego dobry przyjaciel, miał niewiele do powiedzenia na temat żony. Najwidoczniej pojawiła się dość późno w jego życiu. Wcześniej mieszkała w Groenstadt. Van Berle zna Wollgera od dzieciństwa, tak przynajmniej twierdzi. To on chodził z nim do pubu, kiedy żona zdradzała go z innymi. O ile oczywiście właśnie to robiła.

– Hm. Może jest i druga strona medalu. Nie pojmuję jednak, co to ma wspólnego z Erichem Van Veeterenem, do cholery?

– Ja też nie – odpowiedział Reinhart. – Ale wiesz chyba, ile warte są domysły Meussego?

Moreno skinęła głową.

– To co teraz robimy?

Reinhart wstał.

– Plan jest taki – powiedział. – Jung i Rooth rozmawiają ze znajomymi z pracy i przyjaciółmi. No i z krewnymi, o ile jakichś znajdziemy. Ty i ja spróbujemy jeszcze raz z Wollgerem. Możemy zjechać do niego już teraz, nie ma sensu czekać na mamę i tatę. Jak myślisz?

– Na razie nic nie myślę – odparła szczerze Moreno i ruszyła za Reinhartem do windy. – Kto mu powie o kursie, ty czy ja?

– Ty – odparł Reinhart. – Gdzież mi do twojego kobiecego sprytu i empatii. Może zresztą to nie jest aż tak istotne teraz, kiedy ją zamordowano. Może przyjmie to jak mężczyzna.

– Z pewnością. Nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

Jung umówił się na spotkanie z Liljaną Milovic w kawiarni w szpitalu Gemejnte. Nie miała pojęcia, jaki jest powód tej rozmowy, i to jemu przypadło w udziale mało przyjemne zadanie poinformowania jej, że jej koleżankę z pracy i przyjaciółkę niestety zamordowano i że to właśnie dlatego nie pojawiła się na dyżurze w ten ponury poniedziałkowy poranek.

Liljana Milovic bez wątpienia była pięknnością. W innych okolicznościach z pewnością nie miałby nic przeciwko trzymaniu jej w ramionach i uspokajaniu ataku płaczu. Właściwie teraz też nie miał nic przeciwko, bo w zasadzie właśnie na to poświęcił dobrą chwilę ich spotkania. Liljana Milovic najzwyczajniej w świecie objęła go i zaczęła płakać. Przysunęła swoje krzesło bliżej i zwiesiła mu się na szyi. Jung niezgrabnie gładził ją po plecach i puszystych ciemnych włosach pachnących kapryfolium, wodą różaną oraz Bóg jeden wie czym jeszcze.

– Przepraszam – łkała. – Przepraszam, to silniejsze ode mnie.

Ode mnie też, pomyślał Jung, który również miał w gardle gulę. W końcu jej płacz ucichł i Liljana Milovic zaczęła się opanowywać. Bynajmniej jednak nie odkleiła się od niego. W każdym razie nie do

końca.

– Bardzo mi przykro – powiedział Jung. – Myślałem, że już ktoś pani powiedział.

Pokręciła głową i wydmuchała nos. Jung zauważył, że goście w kawiarni rzucają im ukradkowe spojrzenia. Ciekawiło go, co też sobie wyobrażają. Zapytał ją, czy woli iść gdzieś indziej.

– Ależ nie, możemy tu zostać.

Mówiła z akcentem, ale tylko lekkim. Domyślił się, że wyjechała z Bałkanów jako nastolatka, kiedy jeszcze istniała Jugosławia.

– Dobrze znała pani Verę Miller?

– Było moją najlepszą koleżanką z pracy.

– Spotykały się panie także prywatnie?

Wzięła głęboki oddech. Minę miała zbolaną, przez co wyglądała jeszcze piękniej. Pod wyrazistymi kośćmi policzkowymi rysował się leciutki cień, a to z jakiegoś powodu zawsze sprawiało, że ugiwały się pod nim kolana. Przygryzł język, próbując wrócić do roli policjanta.

– Niezbyt często – odparła. – Pracowałyśmy na tym samym oddziale dopiero od kilku miesięcy. Od sierpnia. Co ją spotkało? To znaczy tak dokładnie.

W oczekiwaniu na odpowiedź objęła jego dłonie. Mocno. Jung się zawahał.

– Ktoś ją zabił – odparł w końcu. – Nie wiemy kto.

– Zamordowano ją?

– Tak.

– Nie rozumiem.

– My też nie, ale sytuacja właśnie tak wygląda.

Spojrzała mu prosto w oczy z odległości piętnastu centymetrów.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego ktoś miałby zabijać Verę? Była tak cudowną osobą. Jak do tego doszło?

Jung uciekł spojrzeniem w bok. Postanowił oszczędzić jej szczegółów.

– Nie wszystko jest jeszcze jasne – odparł. – Na razie chcemy porozmawiać ze wszystkimi, którzy ją znali. Zauważyła pani może, czy Vera Miller ostatnio była niespokojna?

Liljana Milovic chwilę się zastanawiała.

– Sama nie wiem, ale może przez ostatnich kilka dni trochę tak. W piątek była jakby... sama nie wiem. Jakby trochę smutna.

– Zatem rozmawiała pani z nią w piątek?

– Niezbyt długo. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, kiedy pan pyta, przypominam sobie, że nie była równie wesoła jak zawsze.

– Nie rozmawiały panie o tym?

– Nie, miałyśmy sporo pracy. Nie było czasu. Gdybym tylko wiedziała...

Łzy znów popłynęły jej z oczu. Wydmuchała nos. Jung popatrzył na nią i stwierdził, że gdyby nie był ze swoją Maureen, to zaprosiłby Liljanę Milovic na kolację. Albo do kina. Albo gdziekolwiek.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytała.

– Teraz? Ach, ma pani na myśli... Jest w Zakładzie Medycyny Sądowej. Prowadzone są badania...

– A jej mąż?

– Ach tak, jej mąż. Jego też pani zna?

Spuściła wzrok.

– Nie. Nigdy go nie spotkałam.

– A pani jest mężatką? – zapytał, przypominając sobie, co ostatnio wyczytał o freudowskich pomyłkach w jednym z magazynów Maureen.

– Nie. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Chociaż mam chłopaka.

Na pewno nie jest ciębie wart, pomyślał Jung.

– Czy Vera Miller miała w zwyczaju opowiadać o swoim mężu? O tym, jak im się układa i tym podobne?

Przez chwilę się zawahała.

– Nie – odparła. – To znaczy niezbyt często. Chyba nie układało im się najlepiej.

Po raz pierwszy się poprawiła. Jung zastanawiał się, czy coś za tym stoi.

– Ach tak? – odparł i czekał na ciąg dalszy.

– Chociaż mnie nic nie mówiła. Wspominała tylko, że nie wszystko jest jak powinno. Rozumie pan?

Jung pokiwał głową. Wydawało mu się, że rozumie.

– Zatem nie rozmawiały panie o... swoich prywatnych sprawach?

– Czasami.

– Nie wydaje się pani, że była zainteresowana kimś innym? Może była z kimś w związku?

Liljana Milovic długo myślała nad odpowiedzią.

– Możliwe – odparła. – Właściwie to może i była. W ostatnim czasie coś było na rzeczy.

– Ale nic nie mówiła?

– Nie.

– I nie wie pani, kto to mógł być?

Liljana Milovic pokręciła głową i na nowo zaczęła płakać.

– Pogrzeb – powiedziała. – Kiedy będzie jej pogrzeb?

– Nie wiem. Jeszcze nic nie postanowiono. Obiecuję jednak, że panią poinformuję, jak tylko się dowiem.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Bardzo miły z pana policjant.

Jung trzy razy przełknął ślinę, ale nie zdołał nic powiedzieć.

W niedzielę spał do ósmej wieczorem.

Tuż po przebudzeniu miał wrażenie, że coś mu się popsuło w głowie. Że jego percepcja świata rozbiła się na kawałki. Śniły mu się bile sunące ruchem ciągłym po ogromnym stole bez dziur. W niepojęty sposób. Zderzały się ze sobą, zmieniały kierunek. Gra, w której wszystko jest tak niepewne i nieprzewidywalne jak samo życie. Prędkość i kierunek każdej bili przemieszczającej się po zielonym suknie stanowiły tajny kod, który krył w sobie wszystkie nadchodzące zdarzenia i zderzenia. Zderzenia z trajektoriami i kodami wszystkich innych bil. Każda z nich, poruszając się po swojej wstędze Moebiusa, niosła ze sobą losy pozostałych, a przynajmniej ta, która była nim... Nieskończoność zaprogramowanej przyszłości, pomyślał, nadal leżąc w łóżku i próbując znaleźć jakiś punkt widzenia i zaczepienia w tej... ograniczonej nieskończoności. Niedawno w jednym z pism, które prenumerował, czytał o badaniach nad chaosem, wiedział więc, że to, co zgodne z regułami, ale i to, czego nie da się wyliczyć, można objąć jedną teorią. Przeciwiężstwa kompatybilne. Jedno życie.

Jedna marionetka dyndająca na milionach sznurków. Jedna równia pochyła. Przekłete życie. Takich obrazów były tysiące.

Do tego rozbicia na kawałki, bo to właśnie ono wytyczyło nowy kierunek, doszło, kiedy uderzył Verę Miller rurą w głowę. W tej samej sekundzie, kiedy to zrobił, zrozumiał, że od samego początku było to nieuniknione, ale że przy tym on nie mógł o tym wiedzieć.

Dopóki tego nie zrobił. Wówczas stało się jasne. Zwykle następstwo, rozwój wydarzeń, który po fakcie staje się przewidywalny i całkiem logiczny. Równie oczywisty jak to, że po dniu przychodzi noc, po radości nuda, i równie nieświadomy, jak świt nieświadomy jest zmierzchu. Następstwo przyczyn, które cały czas były poza jego

kontrolą, ale które mimo wszystko istniały.

Konieczność.

Kolejna piekielna konieczność. Kiedy sfrustrowany zadawał jej te ciosy w kark i głowę, cała ta frustracja była niczym innym jak tylko daremnym mierzeniem się z koniecznością. Oboje byli ofiarami tego przekłętego, zaplanowanego z góry tańca śmierci, jakim jest życie. On i Vera, ale to jemu przyszło odegrać ponadto rolę kata. *Ponadto*. Taki bonus, nic, tylko podziękować... Wyreżyserowany, zamówiony i wykonany zgodnie z tymi kodami i torami, na które nie ma się wpływu. Zgodnie z wielkim planem. Dostał do ręki klucz z odpowiedziami, chciał czy nie chciał, a teraz już było po wszystkim.

Tuż przed przebudzeniem śniło mu się też, że mama przykłada mu chłodną rękę do czoła... wtedy, kiedy wymiotował żółcią... do tego obrazu różnokolorowych trajektorii bil... i wiadro z odrobiną wody na dnie... i ta nieskończona czułość mamy... i zderzenia... i tak w kółko, aż wszystko zalała czerwień krwi, która popłynęła z tętnicy skroniowej Very Miller, w którą z niesamowitą mocą trafił pierwszy cios, a to wszystko zrządzeniem opatrzości. I tak w koło, makabryczny melodramat, obłądny wir... I kiedy już obrzydło mu to wszystko, obudził się i zorientował, że coś pękło. Coś jeszcze.

Powłoka. Wreszcie pękła.

Kiedy wstał, dotarło do niego, że w rzeczywistości krwi też jest sporo. W łóżku. Na dywanie, na rozrzuconych tu i ówdzie ubraniach. Na jego rękach i na rurze, która wturlała się pod łóżko, tak że z początku nie mógł jej znaleźć.

W zaparkowanym w garażu samochodzie też. Na tylnym siedzeniu. Wszędzie pełno krwi Very Miller.

Wziął dwie pigułki. Popił szklanką wody i odrobiną whisky. Położył się na plecach na kanapie i czekał na pierwsze zbawienne skutki alkoholu.

Potem wziął się do roboty.

Do fazy końcowej. Tak spokojnie i metodycznie, jak się dało. Sprął, co dało się sprać. Tarł, drapał i wypróbował różne środki. Nie czuł już żadnego podniecenia ani nawet żalu czy strachu... tylko chłodny

spokój. Wiedział, że gra nadal toczy się według reguł i wzorów, na które nie miał wpływu. Na które nikt nie miał wpływu i którym lepiej było się nie przeciwstawiać.

Kierunek ruchu. Kod.

Kiedy już zrobił co trzeba, wsiadł do samochodu i pojechał do miasta. Przez dwie godziny siedział w restauracji Lon Pejs przy Zwille, jadł tajskie jedzenie i zastanawiał się, jakie będzie kolejne posunięcie w tej nieuniknionej grze. Jakie pole manewru zostanie mu przydzielone przed kolejnym etapem.

Do niczego jednak nie doszedł. Wrócił do domu tą samą drogą. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest spokojny. Łyknął kolejną tabletkę na noc i zwałił się do łóżka.

W poniedziałek słońce nie wzeszło. Rano zadzwonił do pracy i powiedział, że jest chory. Przeczytał w „Neuwe Blatt” o zamordowanej kobiecie, którą znaleziono na obrzeżach wioski Korrim. Trudno mu było uwierzyć, że to była ona. I że to był on. Sobotnią jazdę przez rozległe pola pamiętał jak przez mgłę. Nie wiedział, jaką drogą jechał ani gdzie się w końcu zatrzymał, żeby wyciągnąć ją z wozu. Nigdy wcześniej nie słyszał o Korrim.

Nie było świadków. Mimo że teren był otwarty, udało mu się pozbyć ciała pod osłoną mroku i późnej pory. Policja nie zdradzała szczegółów. Widać nie mieli żadnych tropów, sugerował dziennikarz.

Zatem tak wygląda sytuacja. Nie ma powodów do niepokoju. Gra trwa, a bile toczą się dalej.

Listonosz przyszedł tuż po jedenastej. Zaczekał, aż zniknie za przedszkolem, i dopiero wtedy wyszedł zajrzeć do skrzynki.

Była tam. Ta sama błękitna koperta co zawsze. Ten sam schludny charakter pisma. Przez chwilę siedział przy kuchennym stole i ważył ją w rękę, potem otworzył.

Tym razem list był nieco dłuższy. Ale nie za bardzo. Miał co najwyżej pół strony. Przeczytał go powoli i uważnie. Jakby był półanal-fabetą albo jakby się bał, że przegapi coś ukrytego między wierszami.

Czas wyrównać między nami rachunki.



Jeśli tym razem nie zastosujesz się dokładnie do instrukcji, bez wahania powiadomę policję. Chyba dobrze wiesz, że zbyt długo igrałeś z moją cierpliwością.

Zrób, co następuje:

1) Włóż 200 000 guldenów do foliowej torby i porządnie zawiąż.

2) Również o czwartej w nocy z poniedziałku na wtorek, pierwszego grudnia, zostaw torbę w koszu na śmieci przy pomniku Hugona Maertensa w parku Rander.

3) Natychmiast potem wróć do domu i czekaj na telefon. Kiedy zadzwoni, odbierz, podaj swoje imię i nazwisko i zastosuj się do wytycznych.

Nie dostaniesz już kolejnej szansy na wywinięcie się od sprawiedliwości. Ta jest ostatnia. Doniesienia o wszystkich twoich czynach są schowane w bezpiecznym miejscu. Jeśli coś mi się stanie, trafią w ręce policji.

Zakończmy tę sprawę bez kolejnych błędów.

Przyjaciel

Przemyślane.

Musiał to przyznać. W pewnym sensie ukojeniem była myśl, że ma porządnego przeciwnika.

Jednocześnie jednak czuł, że koniec końców przechytry Przyjaciel i wygra. To jednak wymagało sporo zachodu.

Ale w tej chwili, kiedy tak siedział przy stole z listem w ręku, nijak nie mógł sobie wyobrazić, jak można by doprowadzić to takiego zakończenia. To jak partia szachów, pomyślał. Partia, w której ustawienie niby ma wyraźny profil, ale przy tym trudno je zanalizować. Sam nie wiedział, skąd mu się wzięła ta metafora. On sam osiągnął co najwyżej poziom przeciętnego gracza. Wprawdzie grywał często, ale nigdy nie starczało mu niezbędnej cierpliwości.

W każdym razie jego zręczny przeciwnik zaaranżował atak, którego skutków nie dało się przewidzieć. Nie teraz. Czekając, aż wszystko stanie się jasne, mógł jedynie wykonać kolejne posunięcie z serii i liczyć, że pojawi się jakaś szpara, przez którą da się zobaczyć więcej.

Gra na przetrzymanie. Czy istniały inne rozwiązania? Nie sądził, przynajmniej nie na razie. Jednak czasu miał mało. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że do momentu umieszczenia torby z pieniędzmi w koszu w parku Randera zostało zaledwie siedemnaście godzin.

Szantażysta zdawał się uwielbiać kosze na śmieci. I foliowe torby. Czy to nie świadczyło o pewnym braku fantazji? O prostactwie i przewidywalności ruchów, które on sam mógł przecież wykorzystać.

Siedemnaście godzin Mniej niż doba. Kto? – zaczął się zastanawiać.  
Kto?

Przez pewien czas nie zaprzętał sobie głowy kwestią tożsamości przeciwnika. Kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że poświęcił temu aspektowi zaskakująco mało czasu. *Kto?* Kto, u licha, widział go tamtego wieczoru? Czy coś dało się wywnioskować z jego sposobu postępowania? Z listów? Czy nie mógłby zbliżyć się nieco do tej osoby, analizując te przesłanki, którymi dysponował?

I nagle zrozumiał.

To ktoś znajomy. Chował tę myśl w świadomości, jakby była zrobiona ze szkła. Jakby się bał ją stłuc, jakby bał się pokładać w niej zbyt duże nadzieje.

Ktoś, kogo znał. Kto znał jego.

Zwłaszcza to drugie. Przeciwnik wiedział, kim jest, już w chwili, gdy tamtego wieczoru zobaczył go z martwym chłopakiem. Kiedy to stał w deszczu i trzymał ciało w objęciach. Czy mogło być inaczej?

Nie, przekonywał sam siebie. Tak to musiało wyglądać.

Nie chodziło o żadne zapamiętywanie numeru rejestracyjnego. Szantażysta wiedział od razu. Przejechał, nie zatrzymując się, a kiedy następnego dnia przeczytał w gazecie, co się stało, wyciągnął odpowiednie wnioski i uderzył. On albo ona. Zapewne *on*, stwierdził po chwili, choć bez żadnego konkretnego powodu.

Zatem tak się sprawy miały. Kiedy teraz o tym myślał, zrozumiał, jak niedorzeczne było wcześniejsze wyjaśnienie. Jak naciągane. Bo kto, do cholery, przejeżdżając samochodem, zauważy i zapamięta numer rejestracyjny? Po ciemku, i to w deszczu? Niemożliwe. Wykluczone.

Zatem to ktoś, kto go zna. Kto wie, kim jest.

Zorientował się, że się uśmiecha.

Siedział nad bladoniebieskim listem, który w mniej niż dobę mógł zrujnować mu życie. W ciągu miesiąca zabił trzy osoby. A mimo to się uśmiechał.

Zatem kto?

Niedużo czasu zajęło mu przeanalizowanie i wykluczenie wąskiego grona znajomych.

Przemyślał każdego z osobna. Każdego, kogo przy odrobinie dobrej woli zaprosiłoby się na ślub albo na pięćdziesiątkę. Albo na pogrzeb. Nie, to nie był nikt z nich, nie wierzył w to. Wprawdzie niektóre nazwiska wyeliminował z mniejszym przekonaniem niż inne, ale też na żadnym intuicyjnie się nie zatrzymał. Nikogo nie podejrzewał.

Inna sprawa, że choć nie był żadną sławą, żadnym notablem w Maardam, to jednak sporo osób wiedziało, kim jest i jak wygląda. A to oczywiście wystarczyło. On sam spotykał się z ludźmi, których później nie poznałby na ulicy, ale dla których nie był kimś obcym. Czasami nawet się z nim witali... często nieco zakłopotani, kiedy orientowali się, że on ich nie kojarzy.

Ktoś taki. To musiał być ktoś taki. To jeden z nich był teraz jego przeciwnikiem. Zauważył, że znów się uśmiecha.

Potem zaklął na głos, kiedy uświadomił sobie, że cała ta eliminacja i wnioski na nic mu się nie zdadzą, skoro ma tak mało czasu.

Na nic. Jeśli założyłby, że szantażysta mieszka gdzieś w Maardam, to może ograniczyłby liczbę kandydatów z trzystu tysięcy do trzystu.

Wykluczając starców i dzieci: z dwustu tysięcy do dwustu.

Owszem, istotna zmiana, ale niewystarczająca. Po prostu zbyt wielu zostawało.

Dwustu potencjalnych szantażystów? Siedemnaście godzin do końca gry. Dokładnie licząc, szesnaście i pół. Westchnął i wstał z fotela. Podszedł do apteczki i stwierdził, że jej zawartość będzie go jeszcze trzymać na nogach co najmniej jakieś dziesięć, dwanaście dni.

A przez ten czas sytuacja na pewno zmieni się diametralnie.

Partia skończona. Żadnego remisu.

Potem zadzwonił do banku. Wniosek o kredyt, który złożył w sobotę, jeszcze nie został rozpatrzony. Zajmie im to jeszcze parę dni, ale nie ma co się przejmować. To tylko formalność. Jest przecież solidnym klientem, a o takich się dba, mimo że to już nie lata osiemdziesiąte.

Podziękował i odłożył słuchawkę. Stał tak przez chwilę i wyglądał przez okno na ponurą, skąpaną w deszczu uliczkę. Wiedział, że dwustu tysięcy guldenów w banknotach i tak nie zdobędzie do wieczora. Absolutnie nie.

Musiał mieć zatem coś innego.

Potrzebował planu.

Przeczytał list po raz kolejny i próbował jakiś plan stworzyć.

W poniedziałek udało im się nieco bliżej poznać postać Very Elizabeth Miller.

Urodzona w Gellenkirk w roku 1963, dorastała w Groenstadt. Miała troje rodzeństwa – dwóch braci i siostrę – wszyscy nadal mieszkali na prowincji. Jej ojciec zmarł w 1982 roku, matka ponownie wyszła za mąż, obecnie pracowała w Karpaczu jako nauczycielka zetpetów. Poinformowano ją o śmierci córki, kiedy akurat była w szkole. We wtorek miała dotrzeć do Maardam wraz z obecnym mężem.

Vera Miller ukończyła szkołę pielęgniarstwa w Groenstadt i pracowała tam do roku 1991, kiedy to w związku z rozwodem z niejakim Henrikiem Veramtenem przeprowadziła się do Maardam. Los nie obdarzył ich małżeństwa dziećmi, ale w roku 1989 adoptowali małą dziewczynkę z Korei, która jednak rok później zginęła w tragicznym wypadku. Według matki i dwójki rodzeństwa rozwód był skutkiem śmierci małej. Nie powiedzieli tego wprost, między wierszami można było jednak wyczytać, że to Veramten był sprawcą wypadku. Bezpośrednim czy też nie. Nigdy nie przeprowadzono dokładnego śledztwa.

Wiosną 1992 roku Vera Miller podjęła pracę w szpitalu Gemejnte w Maardam, zaś dwa i pół roku później wyszła za Andreasa Wollgera. Ani matka ani rodzeństwo nic nie mogli powiedzieć o tym związku. Nie byli na weselu, o ile takie w ogóle się odbyło, a ostatnio kontaktowali się z Verą sporadycznie.

Jeśli chodzi o Andreasa Wollgera, sytuacja się nie zmieniła. W poniedziałek, około siódmej wieczorem, nadal nie można było go przesłuchać i dokładnie wypytać o relacje z żoną, ponieważ wciąż był w ciężkim szoku. Zarówno Moreno, jak i Reinhart sądzili jednak, że

pożycie tej pary nie należało do najbardziej udanych.

Do udanych też nie.

Pozostało im jedynie potwierdzić te luźne domysły podczas przesłuchań i rozmów z osobami, które znały parę w ten czy inny sposób.

No i z samym panem Wollgerem.

Jeśli natomiast chodzi o charakter Very Miller, szybko okazało się, że była bardzo cenioną i lubianą osobą, zarówno wśród kolegów z pracy, jak i przyjaciół. Zwłaszcza niejaka Irene Vargas, która znała Verę już od najmłodszych lat spędzonych w Grenstadt, a teraz mieszkała w Maardam, wyraziła swój najgłębszy żal po utracie, jak to ujęła, „jednej z najcieplejszych i najszczerzych osób, jakie znała”. Najwidoczniej pani Vargas i Vera Miller były sobie bliskie już od lat, Reinhart uznał więc, że jeśli ktoś ewentualnie wiedział cokolwiek o ciemniejszych stronach życia Very Miller – na przykład o związkach pozamałżeńskich – to właśnie ona.

Nic takiego nie wyniknęło z pierwszej rozmowy, oczywiście mieli jednak podstawy, by do sprawy powrócić.

Poważne podstawy. Wszystko wskazywało na to, że Vera Miller zaczęła okłamywać męża na przełomie października i listopada. Powiedziała mu, że przez ileś weekendów, co najmniej osiem, będzie uczęszczać na kurs doszkalający dla pielęgniarek w Aarlach.

Gdzie i z kim w rzeczywistości spędzała te soboty i niedziele, pozostawało niewiadomą.

– Co za idiota – stwierdził Reinhart. – Wypuszczał ją co weekend i nawet nie sprawdził, gdzie ona znika. Czy naprawdę można być aż tak naiwnym?

– Chcesz przez to powiedzieć, że ty sprawdziłbyś Winnifred, gdyby wybierała się na jakiś kurs? – zapytała Moreno.

– Oczywiście że nie – odparł Reinhart. – To zupełnie co innego.

– Nie widzę w tym logiki.

– To kwestia intuicji. Zdrowej męskiej intuicji. Ale chyba zgadzamy się co do tego, że to nie on to zrobił? To znaczy Wollger.

– Tak sędzę – odparła Moreno. – Wprawdzie nie możemy do końca

wykluczyć tej możliwości, ale to mało prawdopodobne. Natomiast co do związku z Erichem Van Veeterenem, to nie mam pojęcia, na czym stoimy.

Podczas gdy deBries i Rooth przeprowadzili rozmowy ze znajomymi Miller i Wollgera, Moreno zwróciła się do Marlene Frey i kilkorga znajomych Ericha, jednak żaden z nich nie umiał im nic powiedzieć.

Nikt nie rozpoznał Very Miller na zdjęciach, które pożyczyci od Irene Vargas, nikt też nie przypominał sobie, by kiedykolwiek słyszał jej nazwisko.

– Ja też nie wiem, na czym stoimy – powiedział Reinhart, wydmuchując przy tym obłok dymu. – Przyznaję. Jutro widzę się z *komisarzem*. Pewnie poruszę temat tego związku... *ewentualnego* związku. Przynajmniej będziemy mieć jakiś konkretny temat do omówienia. Samo filozofowanie o śmierci jest cholernie dołujące.

Moreno zastanawiała się chwilę.

– Ty lubisz teoretyzować – powiedziała. – Myślisz, że dałoby radę... że można by znaleźć wspólny motyw zabójstwa Ericha Van Veeterena i Very Miller, zakładając przy tym, że oni się nie znali? Umiałbyś wymyślić jakąś trzymającą się kupy historię?

– Historię? – Reinhart podrapał się cybuchem w czoło. – Zakładając, że się nie znali? Cóż, to wydaje się mało prawdopodobne, ale jeśli tylko znajdzie się właściwy trop, wszystko może się stać zupełnie jasne. O ile założymy, że to nie jest robota szaleńca, bo to byłaby zupełnie inna historia. Oczywiście mógłbym obmyślić jakiś trzymający się kupy ciąg zdarzeń, mógłbym wykombinować dziesięć wersji, jeśli chcesz, ale dokąd nas to zaprowadzi?

Moreno posłała mu przelotny uśmiech.

– Tak zrobimy. Poświęć noc na obmyślenie dziesięciu powiązań pomiędzy śmiercią Ericha Van Veeterena i Very Miller. Jutro mi opowiesz, a ja wybiorę to właściwe.

– Mój Boże. Noce poświęcam pięknej żonie. No i córce z zapaleniem ucha, jeśli żona już nie daje rady. A ty wciąż tkwisz w związku z pracą?

– Na to wygląda – odparła Moreno.

– Na to wygląda? Kiepska riposta. – Pochylił się nad biurkiem

i wpatrzył się w nią z pionową zmarszczką między brwiami.

– Coś kręciłaś z Münsterem, co?

Moreno na trzy sekundy zawiesiła na nim wzrok.

– Idź do diabła – powiedziała i wyszła z pokoju.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał Rooth. – Najgorszym myśliwym w Europie.

– No cóż, nie wątpię – odparł Jung. – Chociaż nie wiedziałem, że polujesz.

– Kobiety – westchnął Rooth. – Mówię o kobietach. Próbuję jakąś upolować już od dwudziestu lat... w sumie to nawet od dwudziestu pięciu. I ani razu się nie udało. Jak to się, u licha, robi?

Jung rozejrzał się po barze, w którym siedzieli sami mężczyźni. Wpadli właśnie do Oldener Maas, żeby zwieńczyć dzień odrobiną złota (określenie Rootha), ale nie był to chyba najlepszy teren na łowy.

– Ty już się urządziłeś – ciągnął Rooth. – Maureen to niesamowita babka. Jeśli kiedyś cię wyrzuci, chętnie zajmę twoje miejsce.

– Przekażę jej. Jak się dowie, na pewno będzie mnie trzymać przy sobie.

– Pocałuj mnie gdzieś – odparł Rooth i wypił solidny łyk. – Może zresztą to kwestia amunicji.

– Amunicji? – nie zrozumiał Jung.

Rooth pokiwał głową z samokrytyczną miną.

– Coś mi się wydaje, że przez te wszystkie lata używałem za grubego śrutu. Teraz zastanawiam się, czy nie zacząć czytać poezji. Co ty na to?

– Dobry pomysł – odparł Jung. – Pasuje do ciebie. A nie możemy pogadać o czymś innym niż kobiety?

Rooth zrobił wielce zdziwioną minę.

– A niby o czym?

Jung wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może o pracy?

– Wolę o kobitkach – odparł Rooth z westchnieniem. – Ale skoro tak ładnie prosisz...



– Możemy też nic nie mówić – zaproponował Jung. – I to chyba jest najlepsze rozwiązanie.

Rooth dłuższą chwilę siedział w milczeniu, grzebiąc w miseczce z orzeszkami, wyciągając je i przeżuwał z zamyśloną miną.

– Mam pewną hipotezę – powiedział w końcu.

– Hipotezę? – zapytał Jung. – Nie teorię?

– Nie bardzo wiem, czym się od siebie różnią – przyznał Rooth. – Nieważne, posłuchaj...

– Zamieniam się w słuch.

– No dobrze. Tylko nie przerywaj mi co rusz. Zatem ta Vera Miller... skoro przygruchała sobie innego faceta, to niegłupio byłoby go znaleźć.

– Genialna myśl. Skąd wam to przyszło do głowy, posterunkowy Rooth?

– Jeszcze nie skończyłem. Bez wątpienia łatwiej by nam było, gdybyśmy wiedzieli, gdzie go szukać.

Jung ziewnął.

– I właśnie w tym miejscu moja hipoteza rozkwita w pełni – wyjaśnił Rooth. – Otóż mamy do czynienia z lekarzem.

– Z lekarzem? A niby czemu, do cholery?

– To jasne jak słońce. Facet pracował w szpitalu. Wszystkie siostronie bujają się w facetach w kitlach ze świecidełkami na piersi. Syndrom stetoskopu... dopada wszystkie babki z branży. Musimy więc znaleźć Doktora X, i tyle. W Gemejnte. Może jednak trzeba było skończyć medycynę...

Jungowi udało się chwycić ostatni orzeszek.

– Ilu ich tam jest? To znaczy lekarzy w Gemejnte?

– Pojęcia nie mam – odparł Rooth. – Pewnie z paruset. Ale to musiał być ktoś, z kim miała jakiś kontakt... na niwie zawodowej, że tak powiem. Ktoś z tego samego oddziału, na przykład. Co o tym sądzisz?

Jung przez chwilę myślał.

– Jeśli wierzyć Meussemu – powiedział – jak miałyby się to łączyć z teorią o znaczku i o szantażyście?

Rooth beknął dyskretnie, zasłaniając się ręką.

– Mój młody przyjacielu – odpowiedział z ojcowskim uśmiechem. –

Przecież nie można mieszać teorii z hipotezami, wydawało mi się, że już to zrozumiałeś. Skończyłeś szkołę policyjną czy tylko kurs tresury?

– Idź kup dwa piwa – odparł Jung. – Tylko ich nie pomieszaj.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Rooth wstał.

Nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, pomyślał Jung, kiedy już został sam przy stole.

I dzięki Bogu.

Dlaczego tak się zachowuję? – pomyślała Moreno, kiedy wróciła do domu.

Zirytowana zrzuciła buty i cisnęła kurtkę na wiklinowe krzesło.

Dlaczego każe Reinhartowi iść do diabła i trzaskam drzwiami? Czyżbym zaczęła nienawidzić facetów? Robi się ze mnie zimna suka?

W zasadzie to miał rację. Całkowitą. Coś było na rzeczy z Münsterem, choć sama nie umiałaby sprecyzować co.

Po prostu coś. Skończyło się na tym, że w styczniu Münster oberwał nożem we Frigge, omal nie przypłacając tego życiem. Potem przez kilka miesięcy leżał w szpitalu, przez kilka kolejnych był rekonwalescentem, a teraz, czekając na powrót do formy bojowej, ciągnął jakieś dziwaczne śledztwo zlecone przez ministerstwo. Według planu miało to potrwać kilka miesięcy.

Niech to szlag, pomyślała. Kiedy w takim razie wróci? Wyglądało na to, że w lutym. A wtedy co?

Oczywiście nic. Münster wrócił do żony i dzieci, których zresztą nigdy nie zostawił nawet na sekundę. Co ona sobie wyobrażała? Czego się spodziewała? Naprawdę czegoś się spodziewała? Odkąd to się stało, widziała go co najwyżej trzy razy i nie poczuła wtedy żadnych wibracji. Nic nie drgnęło... chociaż może drgnęło za pierwszym razem, gdy siedziała z Synn przy jego łóżku... wtedy coś poczuła.

I tyle. Drżenie. Jeden raz.

Bo kimże, do cholery, była, by wtrącać się pomiędzy niego a tą wspaniałą Synn? I dzieci?

Zgłupiałam, pomyślała. Odbija mi jak wszystkim samotnym babkom. Naprawdę tak szybko nabiera się staropanięskich nawyków? Ot tak? Kiedy zostawiła tego idiotę Clausa, była na niego porządnie

wkurzona za pięć straconych lat, ale przecież nie mierzyła wszystkich jedną miarą. Przynajmniej nie Münstera. Zwłaszcza jego.

Jednak Reinhartowi kazała się odczepić. Tylko dlatego, że nadepnął jej na odcisk. Rzecz jasna Reinhart nie był w jej typie – bo czy taki gatunek istnieje? – ale zawsze uważała go za dobrego człowieka i policjanta.

I faceta.

Muszę coś z tym zrobić, pomyślała, ustawiając się pod prysznicem, żeby zmyć z siebie podły nastrój.

Może nie od razu, ale kiedyś. Mieć trzydzieści jeden lat i nienawidzić facetów?

Albo z desperacją na nich polować? To zapewne jeszcze gorsze. No nie, przecież są – muszą być – lepsze strategie na przyszłość.

Chociaż nie była to kwestia na teraz. Tego wieczoru nie miała ani czasu, ani sił, ani pomysłów. Lepiej więc zająć się czymś innym. Może tym wyzwaniem, które mu rzuciła?

Dziesięć możliwych związków między Erichem Van Veeterenem a Verą Miller.

Dziesięć? – pomyślała. To dopiero zadanie dla odważnych.

Zobaczmy, czy sama wymyślę choćby trzy.

Może dwa.

Albo chociaż jeden?

Winnifred właśnie zaczął się okres, a mała wreszcie odczuła dobroczynne skutki penicyliny, tak więc Reinhartowi nie sprawdził się ani jeden, ani drugi plan. Winnifred przygotowywała w gabinecie zajęcia na następny dzień, a on rozsiadł się na sofie i włączył stary film Truffaut. Obudziła go, kiedy film się skończył, następnie spędzili kwadrans, porównując Leros i Zakynthos jako ewentualne cele wyjazdu na Wielkanoc. Kiedy już się położyli, nie mógł zasnąć.

Po głowie chodziły mu dwie myśli.

Pierwsza dotyczyła Van Veeterena. Miał się z nim spotkać następnego dnia, a znów musiał przyznać, że utknęli w martwym punkcie. Że wciąż – po trzech tygodniach pracy – nie mieli ani jednego cholerne-go tropu w pościgu za mordercą jego syna. Oczywiście miał zamiar

przedstawić tę dziwną zbieżność między zabiciem Ericha ciosem w kark a zabójstwem Very Miller, ale był to raczej lichesy postęp.

Nie wiemy, o co tu chodzi, będzie musiał przyznać. Jesteśmy głupi jak cielę na niedzielę.

Do bani, pomyślał Reinhart.

Druga sprawa dotyczyła Ewy Moreno.

Jestem strasznym gburem, pomyślał. Nie zawsze, ale zdarza mi się. Obiecał jej dziesięć ewentualnych scenariuszy dotyczących powiązania, o którym nie miał zielonego pojęcia, a potem jeszcze ją obraził.

Obraził i wetknął nos w sprawy, które nie powinny go nic a nic obchodzić.

Też do bani.

O drugiej wstał i zadzwonił do niej.

– Śpisz? – zapytał. – Tu Reinhart.

– Słyszę przecież. Ale nie, nie śpię.

– Przepraszam. To znaczy dzwonię, żeby cię przeprosić... Cholerny ze mnie cham.

Przez chwilę milczała.

– Dzięki – odparła potem. – Za przeprosiny. Chociaż wcale nie uważam, żebyś był aż takim chamem. Byłam trochę podminowana, to moja wina.

– Hm. No to pięknie. Nieźle się to zapowiada. W środku nocy dwoje dorosłych ludzi wymienia przeprosiny przez telefon. To musi mieć jakiś związek z plamami słonecznym. Wybacz, że zadzwoniłem... a niech to, znów zaczynam.

Moreno się zaśmiała.

– Dlaczego nie śpisz? – zapytał Reinhart.

– Obmyślam dziesięć możliwych związków.

– No proszę, i ile masz?

– Ani jednego.

– To wspaniale. Zobaczę, jak mnie pójdzie. Dobranoc, widzimy się jutro.

– Dobranoc, komisarzu – odparła Moreno. – A ty dlaczego nie śpisz?

Ale Reinhart zdążył już odłożyć słuchawkę.

## 23

Van Veeteren wpatrywał się w fosforyzujący sekundnik powolnie przesuwający się po tarczy zegarka. Robił to już od dłuższej chwili, ale każde kolejne okrążenie było jakby nowe. Nagle przypomniał sobie, że we wczesnym okresie dojrzwania – o ile w ogóle takie przechodził – podczas bezsennych nocy badał sobie puls. Teraz też postanowił go sprawdzić.

Pięćdziesiąt dwa w pierwszej minucie.

Czterdzieści dziewięć w drugiej.

Pięćdziesiąt cztery w trzeciej.

Mój Boże, pomyślał. Serce też mi wysiada.

Jeszcze chwilę leżał, nie sprawdzając już pulsu. Żałował, że nie ma u boku Ulrike, ale akurat nocowała u dzieci na Loewingen. Przynajmniej u jednego z nich. Jürga, lat osiemnaście, ostatniego, który jeszcze się nie wyprowadził. Wiedział oczywiście, że Ulrike musi mu poświęcać trochę czasu, chociaż chłopak był wyjątkowo stateczny. Na tyle, na ile Van Veeteren mógł ocenić. Spotkali się tylko trzy razy, ale wszystko na to wskazywało.

Wszystko z jednym wyjątkiem – chłopak chciał zostać policjantem.

Van Veeteren westchnął i obrócił się na bok, żeby nie musieć patrzeć na okrutny zegarek. Zakrył głowę poduszką.

Kwadrans po drugiej, pomyślał. Jestem jedyną osobą na świecie, która nie śpi.

Godzinę później wstał. Nie było po co udawać, że może zasnąć. Przez ostatnie noce nie przekroczył normy dwóch–trzech godzin snu, a żadne znane mu lekarstwa nie pomagały.

Ani piwo, ani wino, ani Händel.

Inni kompozytorzy wcale nie działali na niego lepiej, nie była to więc wina Händla.

To się nie uda, pomyślał, stojąc w łazience i opłukując twarz zimną wodą. Nie uda mi się zasnąć i doskonale wiem, jaki jest tego powód. Dlaczego sam przed sobą się nie przyznaję? Dlaczego nie stanę na szczycie góry i nie wykrzyczę tego tak, żeby wszyscy usłyszeli?

Zemsta! Jaki ojciec mógłby spać, kiedy ogary goniące zabójcę jego syna idą w las?

Tak po prostu jest. To uczucie głęboko zakorzenione w ciemnych, pierwotnych prawach biologii. Zdawał sobie z tego sprawę zarówno wtedy, kiedy kilka godzin wcześniej pisał o tym w pamiętniku, jak i teraz. Działanie było jedynym skutecznym sposobem. Homo agentus. Bez względu na sytuację. Działanie pozorne czy też rzeczywiste. Trzeba coś zrobić, do cholery!

Ubrał się. Wyrzwał przez okno w kuchni, żeby sprawdzić pogodę, i wyszedł. Czuć było dojmujące zimno, ale nie padało i prawie nie wiało. Ruszył przed siebie.

Najpierw na południe. Przez Zuijderslaan i Primerstraat w stronę Megsje Plejn. Kiedy doszedł do katolickiego cmentarza, na chwilę się zawahał. Postanowił go obejść, ale kiedy był przy południowo-wschodnim krańcu, stwierdził, że znudziło mu się spacerowanie po asfalcie. Skreślił więc do parku Randera, który z założenia miał być naturalnym przedłużeniem terenu cmentarza. A może to cmentarz był naturalnym przedłużeniem parku, nie wiadomo. Na pewno kryła się za tym jakaś historia, ale jej nie znał.

Ciemność pośród drzew i zarośli zdawała się wszystko ściśle obejmować, wokół panowała głucha cisza. Park nasłuchuje, pomyślał, powoli krocząc przed siebie... wprost w jądro ciemności, takie porównanie wydawało się aż nadto trafne. Natura otwiera się zmysłami na noc, jak zwykł twierdzić Mahler. Za dnia śpi i pozwala się obserwować, ale w nocy staje się żywym podmiotem, wystarczy tylko wyjść i to poczuć.

Bez wątpienia miał rację. Van Veeteren potrząsnął głową, żeby przerwać strumień myśli i odegnąć wszystkie niepotrzebne szczegóły. Na rozstaju na chybił trafił skreślił w prawo i po pół minuty dotarł do pomnika Hugona Maertensa. Słabo oświetlał go pojedynczy reflektor umieszczony na kwiatowej rabatce otaczającej przysadzisty cokół. Za-

stanowiło go dłaczego. Czyżby turyści odwiedzali park nocą? Raczej nie. Spojrzał na zegarek.

Za dziesięć czwarta.

Działanie? Jedyne skuteczny sposób? W takim razie daj mi choćby nieduże pole do działania, matko naturo! Wypuść mnie z niewoli!

Wzruszył ramionami w odpowiedzi na ten swój niby-apel i zapalił papierosa.

Przecież po to wyszedłem nocą na świeże powietrze, żeby nie oszałeć, pomyślał. Tylko po to. Wtedy gdzieś w ciemności trzasnęła gałązka. Nie jestem sam, uświadomił sobie. Zwierzęta i szaleńcy chodzą po nocy.

O trzeciej stwierdził, że dłużej nie da rady czekać. Wszedł do garażu, wrzucił foliową torbę na siedzenie pasażera i wszedł do samochodu. Zapalił i ruszył w stronę centrum. Jadąc nieoświetloną drogą prowadzącą do miejskiego lasku, nie minął ani jednego samochodu. A kiedy przejeżdżał obok cementowego pobocza, nie zwrócił na nie większej uwagi niż na jakikolwiek inny punkt przy drodze. Po prostu. To, co się tam wydarzyło, było tak odległą przeszłością, że do niego nie docierało. Już nie pamiętał. Nawet gdyby chciał.

Za mostem Alexandra skręcił w lewo, jechał Zville aż do browaru Pixnera i dotarł do parku Randera od południa. Zaparkował przed wejściem przy minipolu golfowym, które było rzecz jasna zamknięte o tej porze dnia. Czy też może o tej porze roku. Przez chwilę siedział w samochodzie. Dochodziło wpół do czwartej. Park wyglądał ciemno i ponuro, jakby pogrążony był w zimowym śnie. Natura usypia zmysły nocą, pomyślał. Zastanawiało go, dlaczego przeciwnik wybrał właśnie to miejsce. Mieszka w pobliżu, a może zadecydowała ustronna lokalizacja? To by wskazywało na przesadną ostrożność. O tej porze w mieście nietrudno o śmietniki, które nie stoją na widoku, a do których łatwiej się dostać. Poprzednim razem za miejsce transakcji wybrał wnętrze restauracji, w którym nie brakowało ewentualnych świadków, najwidoczniej więc dzisiejszej nocy założenie było zupełnie inne.

Tym razem nie zjawi się tu żaden pośrednik. Szantażysta sam od-

bierze torbę, a przy tym przekona się, że jego ofiara jest osobą innego kalibru, niż myślał na początku. Zupełnie innego kalibru.

Na tę myśl trudno mu było powstrzymać uśmiech. To, że mógł siedzieć w samochodzie w tych ciemnościach i nie czuł przy tym niepokojem, oznaczało, że był opanowany i miał kontrolę nad sytuacją. Jeśli szantażyście nie spodobają się jego warunki, to rano może się spodziewać policji na progu domu. Za zaledwie kilka godzin. Nie można było tego wykluczyć.

Dotknął ręką paczki. Zastanawiał się, czy przeciwnik od razu się zorientuje, że nie zawiera ona dwustu tysięcy, czy też zauważy to dopiero w domu. Dwie stare gazety, które podarł i wetknął do torby, nie miały wcale udawać pieniędzy, chodziło tylko o ciężar.

W środku były więc dwie zniszczone gazety i koperta.

Pięć tysięcy guldenów i prośba o trzydniowe odroczenie, tyle przeciwnik miał dostać za nocną robotę.

Suma była dokładnie obmyślana. Była to dokładnie połowa kwoty, której żądał poprzednio. Więcej nigdy nie dostanie. Miał jednak wierzyć, że dwieście tysięcy będzie na niego czekać w czwartek w nocy. Chyba łyknie haczyk? Trzy dni czekania i pięć tysięcy premii, ale jaki miał, do licha, wybór? Iść na policję i skończyć z niczym? Mało prawdopodobne.

Spojrzał na zegarek. Za kwadrans czwarta. Wziął torbę, wysiadł i wszedł do parku.

Wcześniej sprawdził na mapie, gdzie dokładnie stoi pomnik Hugona Maertensa, co okazało się dobrym pomysłem. W dziko zarośniętym parku było ciemno jak w czarnej dziurze i dopiero kiedy zauważył słabe światło reflektora oświetlającego pomnik, nabrał pewności, że się nie zgubił. Zatrzymał się na chwilę, po czym wszedł na skwerek, na którym zbiegało się kilka alejek.

Stał tam i wsłuchiwał się w ciszę. Myślał o tym, że przeciwnik zapewne znajduje się w pobliżu; że też pełen napięcia stoi w mroku z telefonem komórkowym w ręku i wyczekuje. Albo gdzieś obok budki telefonicznej.

Kule bilardowe, przypomniało mu się. Toczą się w swoją stronę, ale



unikają zderzenia, rozmiijając się o milimetry. Ich tory się przecinają, ale od zderzenia powstrzymują je minuty. Sekundy.

Znikome ułamki czasu.

Podszedł do kosza i wetknął do niego torbę. Wracając na Boorkhejm, zastanawiał się, co by się stało, gdyby nawalił mu silnik. Niezbyt przyjemna myśl. Stać na drodze i machaniem zatrzymać jakiegoś porannego kierowcę, żeby poprosić go o pomoc. Gdyby trafił na jakiegoś policjanta, mógłby mieć problemy z wyjaśnieniem, co robi o tej porze poza domem. O ile oczywiście ktoś chciałby to sprawdzać. Niby na zwolnieniu lekarskim, ale wraca do domu o wpół do piątej nad ranem. A tylne siedzenie całe zaplamione krwią, co łatwo zauważyć wprawnym okiem.

Nie wspominając już o konsekwencjach tego, że nie odebrały telefonu. Nieprzyjemna, bardzo nieprzyjemna myśl.

Silnik jednak nie nawalił. Oczywiście, że nie. Jego czteroletnie audi działało bez zarzutu, tak jak zawsze. Po prostu gdybał. W tych dniach snuł wiele myśli... dziwacznych myśli, które nigdy wcześniej go nie nachodziły. Czasami zastanawiał się, dlaczego pojawiają się właśnie w jego głowie. Właśnie teraz.

Zaparkował w garażu, wziął półtorej tabletki, wyciągnął się na łóżku i czekał na telefon. Zastanawiał się przez chwilę, czy szantażysta coś powie, czy po prostu odłoży słuchawkę. Ta druga opcja wydawała się bardziej prawdopodobna. Po co miałby ryzykować, że zostanie rozpoznany. Bo barwę głosu trudno jest ukryć. Bardziej realne wydawało się, że zadzwoni później, kiedy już sprawdzi zawartość torby i odczyta wiadomość. Zdecydowanie bardziej realne. Kiedy zrozumie, że nie dostał kwoty, jakiej domagał się za wszystkie swoje wysiłki. Za wszystkie nieczyste gierki.

Jeżeli zegar w radiu chodził dobrze, to telefon zadzwonił dokładnie pięć sekund po piątej. Odebrał dopiero po trzecim sygnale – choćby po to, żeby pokazać, że nie czekał w napięciu.

Podniósł słuchawkę i przedstawił się.

Przez trzy sekundy słyszał, że ktoś jest po drugiej stronie. Potem połączenie zostało zerwane.

Dobrze więc, pomyślał. Następnym razem opowiesz, co ci leży na

sercu.

Obrócił się, poprawił poduszki i próbował zasnąć.

Naprawdę mu się udało. Kiedy obudził go sygnał telefonu, był kwadrans po jedenastej.

Przez tę krótką chwilę, która minęła, zanim chwycił słuchawkę, wydawało mu się, że coś jest nie tak. Że sprawy potoczyły się inaczej, niż zaplanował. Co się stało? Dlaczego przeciwnik czekał tak długo? Dlaczego...?

Dzwonił Smaage.

– Co tam u ciebie, bracie?

– Jestem chory – udało mu się wydusić.

– Słyszałem. Ksiądz przeklina, a doktor choruje. W jakich to czasach przyszło nam żyć?

Zaśmiał się, aż zazgrzytało w słuchawce.

– To tylko lekka grypa, ale wygląda na to, że zostanę w domu cały tydzień.

– Niech to! Na piątek wieczorem zaplanowaliśmy małe posiedzenie, mówiłem ci już. Dasz radę? W Canaille.

Zakaśtał. Udało mu się nawet wydobyć z siebie kilka ciężkich oddechów. Brzmiało chyba przekonująco.

– Tak mi się wydaje – odparł. – Ale w poniedziałek idę do roboty.

Kiedy już to powiedział i kiedy Smaage życzył mu powrotu do zdrowia i się rozłączył, uświadomił sobie, że nie powiedział mu prawdy.

Cokolwiek by się wydarzyło, jakkolwiek by się potoczyły kule w najbliższych dniach, to jedna rzecz była pewna. Jedna jedyna. W poniedziałek nie pojedzie do szpitala.

Jego noga już nigdy tam nie postanie.

W tej myśli było coś niesłychanie kuszącego.

## 24

– No to zaczynamy burzę mózgów – powiedział Reinhart, w równym rządku układając na biurku fajkę, woreczek z tytoniem i zapalniczkę.  
– Dziś wieczorem spotykam się z *komisarzem*, a jak się domyślacie, bardzo ciekawi go, jak nam idzie. Mam zamiar wręczyć mu nagranie z tego spotkania, żebym nie musiał tam iść z gołymi rękami. Uważajcie więc, co mówicie.

Uruchomił dyktafon. Niemal natychmiast wszyscy wyraźnie odczuli obecność Van Veeterena, zapadła pełna szacunku cisza.

– Ekhm – zaczął Reinhart. – Wtorek, ósmy grudnia, godzina piętnasta. Zebranie w sprawie zabójstwa Ericha Van Veeterena i Very Miller. Oboma zajmiemy się naraz, mimo że jesteśmy jeszcze daleko od ustalenia związku między nimi. Proszę bardzo, oddaję wam głos.

– Czy poza domysłami Meussego coś jeszcze wskazuje na to, że te sprawy się łączą? – zapytał deBries.

– Nic – odparł Reinhart. – To znaczy nic ponadto, że domysły naszego patologa zazwyczaj okazują się niepodważalnymi faktami. Ale przecież i on może się kiedyś pomylić, jak sędzę.

– Nie wydaje mi się – wtrąciła Moreno.

Reinhart otworzył woreczek z tytoniem i zaciągnął się zapachem, dopiero potem mówił dalej.

– Jeśli mimo wszystko najpierw skupimy się na Verze Miller – powiedział – to tu nie mamy żadnych nowych ustaleń. Niestety. Udało się tylko nieco doprecyzować czas. Najprawdopodobniej zginęła pomiędzy kwadrans po drugiej a wpół do czwartej w sobotę w nocy. Trudno powiedzieć, kiedy znalazła się w Korrim. Gdyby leżała tam długo, zapewne ktoś zauważyłby ją wcześniej, ale nie zapominajmy, że ciało było na uboczu. No i na tamtych drogach prawie nie ma ruchu. Przynajmniej nie w weekendy o tej porze roku. Co więcej, udało

nam się odbyć nieco dłuższą rozmowę z Andreasem Wollgerem... to znaczy mnie i inspektor Moreno. Bóg nam świadkiem, że facet niewiele ma do powiedzenia, ale przynajmniej zaczął przyznawać, że ich związek nie był idealny. Właściwie chyba dopiero teraz to sobie uświadamia... wydaje się trochę opóźniony, jeśli chodzi o zawikłane kwestie uczuć.

– Miał trzydzieści sześć lat, kiedy wzięli ślub – dodała Moreno. – Wcześniej nie był w zbyt wielu związkach. O ile w ogóle był w jakimkolwiek.

– Dziwny typ – wtrącił Rooth.

– Owszem, wygląda na mięczaka – odparł Reinhart. – I nie wydaje mi się, żeby to był taki typ, który zabija z zazdrości. W sytuacji kryzysowej już prędzej obciąłby sobie jądra i wręczył je na znak pojednania. Ma alibi do godziny pierwszej w nocy w sobotę, kiedy to opuścił restaurację, w której siedział z przyjacielem... zresztą kto w ogóle miewa alibi na godziny nocne?

– Ja – odparł Rooth. – Moje rybki są moimi świadkami.

– Na razie wykluczamy go z grona podejrzanych – oznajmił Reinhart.

– A ilu nam ich zostało? – zapytał deBries. – Skoro Rootha też wykluczamy?

Reinhart chyba miał odpowiedź na końcu języka, ale zerknął na dyktafon i zachował ją dla siebie.

– Rooth może opowie nam, co mówiła matka Very Miller – powiedział za to.

Rooth westchnął.

– Mniej tego było niż kurzego pierdnięcia – odparł. – A do tego jest nauczycielką zetpetów i ma obsesję na punkcie kalorii. Nie mogłem nawet zjeść drożdżówki w spokoju. Babka nie w moim typie.

– Wszyscy ci współczujemy – wtrącił deBries. – Muszę zauważyć, że coś tu pominęliśmy.

– Niby co? – zapytała Moreno.

– Posłuchajcie. – DeBries pochylił się nad stołem. – Wiemy, że Vera Miller robiła swojego wymoczkowatego męża w balona. Wiemy, że był jakiś inny facet. Dlaczego nie podamy tego do wiadomości me-

diom? Będziemy szukać drania w gazetach i w telewizji, przecież ktoś musiał ich kiedyś razem widzieć, skoro prowadzali się od czterech–pięciu weekendów z rządu.

– To nie jest pewne – powiedział Reinhart. – I nie wydaje mi się, żeby biegali od baru do baru. Albo obściskiwali się w miejscach publicznych. No i pozostają względy etyczne.

– Tak? – odparł deBries. – Niby jakie?

– Wiem, że etyka nie jest twoją najmocniejszą stroną – powiedział Reinhart – ale jeszcze tego nie potwierdziliśmy. Tego, że miała romans. Tę bajeczkę o kursie mogła wymyślić, żeby ukryć coś innego, chociaż trudno mi sobie wyobrazić co. W każdym razie kobietę zamordowano i wydaje mi się, że musimy być ostrożni, jeśli chodzi o wpisywanie niewierności małżeńskiej do nekrologu. W sensie podawania tego do publicznej wiadomości... zarówno ze względu na męża, jak i pozostałych bliskich. Nie chciałbym brać za to odpowiedzialności, gdyby okazało się, że obsmarowaliśmy ją w prasie, ale się pomyliliśmy.

– No dobra – zgodził się deBries, wzruszając ramionami. – Poddaje się. Więc mówisz, że to etyka?

– Otóż to – odparł Reinhart i wcisnął pauzę na dyktafonie. – Chyba pora na kawę.

– W sprawie Ericha Van Veeterena też nie mamy zbyt wielu nowości, obawiam się – stwierdził Reinhart, kiedy już panna Katz opuściła pokój. – Oczywiście przeprowadzono kolejne rozmowy, zajmował się tym głównie stażysta Bollmert, który działał w terenie. Czy to coś dało?

– Z tego, co widzę, to nie – odparł Bollmert, nerwowo obracając ołówek. – Rozmawiałem zarówno z kuratorami, jak i dawnymi znajomymi Ericha, ale w większości były to osoby, które ostatnimi czasami nie miały z nim bliższego kontaktu. Jak wiecie, wyszedł na prostą. Tych, których zdążyłem, zapytałem też o Verę Miller, ale i tu nie dostałem żadnych odpowiedzi.

– Cóż, zatem tak to wygląda – stwierdził Reinhart. – Nie wygraliśmy losu na loterii. A mogłoby się wydawać, że ktoś, choćby jedna

osoba, musiała znać obie ofiary. Tak z czysto statystycznego punktu widzenia. Przecież, do cholery, gadaliśmy z setkami osób. Ale nic z tego.

– Jeśli zabójca faktycznie znał obie ofiary – zauważył Rooth – to pewnie jest sprytny i się z tym nie obnosi.

– Niewykluczone – odparł Reinhart spokojnie. – Poza tym poświęciłem nieco czasu na znalezienie powiązania między Erichem Van Veeterenem a panią Miller. Chodzi o to, co z czysto teoretycznego punktu widzenia mogło ich łączyć. Muszę jednak zaznaczyć, że to niełatwe zadanie. W większości są to luźne hipotezy. W większości wzięte z powietrza... takie tam bajki, niech to.

Wymienił spojrzenia z Moreno. Uśmiechnęła się przelotnie i pokręciła głową, zrozumiał więc, że jest tego samego zdania co on. Sięgnął ręką, żeby wyłączyć dyktafon, ale się powstrzymał. Jung obracał ołówki i wyglądał na zamyślnego.

– *À propos* hipotez – powiedział. – Zrobiłem małe dochodzenie w sprawie hipotezy Rootha.

– Rootha? – zdziwił się Reinhart. – Hipotezy?

– Ale o której mówisz? – zapytał Rooth.

– Tej o mafii znaczkowej – dodał deBries.

– Nie. Chodzi mi o syndrom stetoskopu – wyjaśnił Jung.

W tym momencie Reinhart wyłączył dyktafon.

– Co wy, do licha, wyrabiacie? – zapytał. – Cholerni pajace. Zaczekajcie, muszę cofnąć taśmę.

– Sorry – powiedział deBries.

– Mówiłem serio – odparł Jung. – Chodzi o... – zaczął, aż Reinhart znów wciśnię przycisk play.

– Zatem Rooth sugerował, że ten facet... o ile Vera Miller faktycznie miała kogoś innego... otóż, że z dużym prawdopodobieństwem może chodzić o lekarza. Wiecie, pielęgniarki lecące na białe fartuchy i takie tam...

Zrobił pauzę i rozejrzał się, żeby sprawdzić reakcje.

– Mów dalej – rozkazał Reinhart.

– Cóż, może warto byłoby sprawdzić, czy nie miała przypadkiem romansu z jakimś lekarzem z Gemejnte. Prawie wszyscy, którzy do-

puszczają się niewierności, robią to z kimś z pracy, tak czytałem... Tak więc przed południem porozmawiałem nieco z Liljaną.

– Liljaną? – nie zrozumiał Reinhart. – A kto to, do cholery, jest Liljana? – Mógłby przysiąc, że Jung się zaczerwienił.

– Koleżanka z pracy Very Miller – wyjaśnił Jung. – Wczoraj rozmawiałem z nią po raz pierwszy.

– Widziałem ją – wtrącił Rooth. – Naprawdę bombowa babka i jest z Bałkanów... chociaż oczywiście nie w tym sensie bombowa.

Reinhart spojrział najpierw na niego, potem na dyktafon, ale nie zatrzymał taśmy.

– Mów dalej – powtórzył. – Co miała do powiedzenia?

– Nie za wiele, obawiam się – przyznał Jung. – Jednak nie wydaje jej się to niemożliwe, by Vera Miller zaczęła kręcić z lekarzem. Wydawało jej się, że ktoś z personelu coś takiego sugerował, ale nie była pewna.

– Ktoś z personelu? – zapytała Moreno. – A co mówiła? Bo zakładam, że to była kobieta.

– Tak, to salowa. Nie udało mi się jednak jej złapać, bo ma dziś wolne.

– Cholera – powiedział Reinhart. – No nic, znajdziemy ją, rzecz jasna. Równie dobrze możemy dokładniej przebadać ten wątek... Muszę przyznać, że w zasadzie brzmi to prawdopodobnie. Pielęgniarka i lekarz, historia zna takie przypadki.

– Hm, w Gemejnte chyba nie brak doktorków – zauważył deBries.

Reinhart zaciągnął się fajką i zrobił minę, jakby chciał kogoś zabić.

– Dobra, słuchajcie – powiedział po kilku sekundach zastanowienia. – Zadzwoń do ordynatora... czy może do dyrektora szpitala, czy jak tam się to zwie. Poproszę o udostępnienie nam rejestru. Mam tylko nadzieję, że mają w nim też zdjęcia. I niech mnie cholera, gdybyśmy nie mieli na tym nic a nic zyskać... I rozumiem, że inspektor Rooth nie ma żadnej teorii co do związku z Erichem Van Veeterenem?

Rooth pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że jakąś miałem – odparł. – Ale teraz nie mogę sobie przypomnieć.

DeBries westchnął głośno. Reinhart zastopował dyktafon i zebranie

dobiegło końca.

Tym razem też wybrał Vox, mając na względzie miłe wspomnienia Van Veeterena, ale tego wieczoru nie było co się spodziewać ani wokalistki o aksamitnym głosie, ani muzyki w ogóle. Był wtorek, a w poniedziałki i wtorki w lokalu było pusto. Poza Reinhartem i Van Veeterenem przy metalowych stolikach siedziała zaledwie garstka oswiaływych gości. *Komisarz* już był na miejscu, kiedy komisarz przyszedł. Po raz pierwszy odkąd Reinhart pamiętał, Van Veeteren wyglądał staro.

Chociaż może nie do końca staro, po prostu widać było po nim tę rezygnację, którą często można dostrzec u starszych ludzi. Jakby któreś z ważnych mięśni lędźwi i karku w końcu miały dość i skurczyły się raz na zawsze. Albo opadły. Wydawało mu się, że Van Veeteren skończył już sześćdziesiątkę, ale nie był tego pewien. Z postacią *komisarza* wiązało się wiele niejasności, a kwestia wieku była jedną z nich.

– Dobry wieczór – powiedział Reinhart i się rozsiadł. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Dzięki. Nie mogę spać po nocach.

– Niech to. Cóż, Pan bynajmniej nie wyświadcza nam przysługi, skąpiąc nam snu.

Van Veeteren podniósł przykrywkę swojej maszynki do papierosów.

– On przestał nam wyświadczać przysługi dobrych kilkaset lat temu. Cholera wie, czy kiedykolwiek to robił.

– Możliwe – zgodził się Reinhart. – Bach, milczenie Boga, wiadoma sprawa. Dwa razy dunkel, proszę.

Ostatnie słowa skierował do kelnera, który wyłonił się z cienia. Van Veeteren zapalił. Reinhart zaczął napełniać fajkę.

Ciężko, pomyślał. Dziś wieczorem będzie ciężko.

Z kieszeni marynarki wyłuskał kasetę.

– Nie przychodzę tu z dobrą nowiną – przyznał. – Jeśli jednak chcesz się zorientować, na czym stoimy, to możesz sobie przesłuchać. To nasze dzisiejsze rozważania. Rzecz jasna bez euforii, ale wiesz, jak jest. Ten nieznany ci głos to Bollmert.



– Zawsze coś – odparł Van Veeteren. – Cóż, przyznaję, że nie jest łatwo stać z boku.

– Całkiem zrozumiałe.

Reinhart wyciągnął zdjęcie Very Miller.

– Rozpoznajesz tę kobietę?

Van Veeteren przyglądał się przez kilka sekund.

– Tak – odparł. – W zasadzie tak.

– Że co?! Co chcesz przez to powiedzieć?

– To znaczy o ile się nie mylę. – Van Veeteren oddał mu zdjęcie. – To pielęgniarka z Gemejtné. Zajmowała się mną, kiedy parę lat temu miałem operację wyrostka. Sympatyczna babka, a co ty masz z nią wspólnego?

– To Vera Miller. To ją w niedzielę rano znaleziono zamordowaną w Korrim.

– To ta sprawa, która łączy się jakoś z Erichem?

Reinhart pokiwał głową.

– To tylko hipoteza. Na razie bardzo luźna, ale może ty możesz coś potwierdzić?

Kelner przyniósł piwa. Wypili po łyku. Van Veeteren kolejny raz spojrzął na zdjęcie i ze smutną miną powoli pokręcił głową.

– Nie – odparł. – To czysty zbieg okoliczności, że ją kojarzę. O ile dobrze zrozumiałem, to Meusse zauważył ten związek?

– Tak, Meusse. Według niego wskazuje na to cios w kark. Twierdzi, że jest dość specyficzny. W obu przypadkach... zresztą znasz przecież Meussego.

Van Veeteren milczał. Reinhart zapalił fajkę – chciał dać *komisarzowi* pomyśleć w spokoju. Nagle poczuł, że wzbiera w nim ogromny gniew. Gniew na tego, kto zabił syna Van Veeterena. I Verę Miller.

Czy była to jedna osoba, czy dwie różne? Nieważne. Gniew na zabójcę czy też zabójców, ale i na wszystkich przestępców w ogóle. To z kolei wywołało najboleśniej i najczarniej z jego wspomnień. Zabójstwo Seiki, jego narzeczonej. Seiki, z którą miał się ożenić i założyć rodzinę. Seiki, którą kochał jak żadną inną. Seiki z wystającymi kośćmi policzkowymi, na wpół skośnymi oczami i najpiękniejszym uśmiechem na świecie. To było ponad trzydzieści lat

temu. Już trzecią dekadę spoczywała w tym przeklętym grobie na Linden... dziewiętnastoletnia Seika, jego niedoszła żona.

Gdyby nie jeden z tych przestępców... Wówczas chodziło o nożownika, naćpanego szaleńca, który zadźgał ją pewnego wieczoru w parku Wollerim bez najmniejszego powodu.

To znaczy jedynie dla dwunastu guldenów, które miała w portmonecie.

A teraz syn *komisarza*. Niech to, pomyślał Reinhart. Van Veeteren miał rację. Pan przestał nam wyświadczać przysługi już dawno temu.

– Byłem na Dikken. – Van Veeteren przerwał jego rozmyślenia.

– Że co? Ty?

– Tak, ja. Pozwoliłem sobie na to i owo, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Oczywiście.

– Rozmawiałem z kilkoma osobami z restauracji. Bardziej przypominało to terapię. Nie spodziewam się, że znajdę coś, co wy przeoczyliście. Po prostu cholernie trudno jest tak siedzieć z założonymi rękami. Rozumiesz?

Reinhart odpowiedział dopiero po kilku sekundach.

– Pamiętasz, dlaczego zostałem policjantem? – powiedział. – Moja narzeczona, park Wollerim. Pamiętasz?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Oczywiście, że pamiętam. No tak, w takim razie rozumiesz. W każdym razie zastanawia mnie jedna rzecz.

– Tak?

– Ta foliowa torba – odparł Van Veeteren. – Ta, która zmieniła właściciela. Czy też miała go zmienić.

– Jaka znów torba, do licha?

Przez chwilę Van Veeteren siedział cicho.

– A więc nie wiesz nic o torbie?

Ożeż... – pomyślał Reinhart. No to znów wyszliśmy przed nim na idiotów.

– Ktoś coś wspominał o torbie – odparł, próbując nie okazać przy tym zakłopotania. – Zgadza się.

– Wygląda na to, że ów Pan X, który zdaje się był sprawcą... –

ciągnął *komisarz* takim tonem i w takim tempie, które dla Reinharda trąciły wprawiającą w zażenowanie, natrętną dydaktyką – ... siadając przy barze, postawił foliową torbę koło krzesła. Wygląda też na to, że Erich miał ją w rękę, kiedy wychodził z lokalu.

Uniósł brew w oczekiwaniu na reakcję Reinharta.

– Szlag by to trafił – odparł Reinhart. – Szczerze mówiąc... cóż, szczerze mówiąc, chyba to przeoczyliśmy. To znaczy tę drugą część. Kilka osób twierdziło, że Pan X miał ze sobą foliową torbę, ale nie dotarła do nas informacja, że potem przejął ją Erich. Skąd to wiesz?

– Tak się złożyło, że spotkałem właściwe osoby – powiedział skromnie Van Veeteren, wpatrując się w świeżo zwiniętego papierosa. – Jednej z kelnerek wydawało się, że wychodząc, miał w rękę torbę. Kiedy o tym napomknęła, barman też sobie o tym przypomniał.

*Tak się złożyło*, że pewnie zadał też właściwe pytania, pomyślał Reinhart i poczuł przypływ ugruntowanego już od dawna podziwu, który pokonał zarówno gniew, jak i zakłopotanie. Podziw dla tej psychologicznej przenikliwości, którą *komisarz* od zawsze był obdarzony... dzięki której potrafiłby przeciąć niczym skalpelem tonę ciepłego masła, i to szybciej niż stu antyterrorystów w kuloodpornych kamizelkach zdołałoby załapać, o co chodzi.

Tej, jak to mówią, intuicji.

– Jakie masz zatem wnioski? – zapytał.

– Erich był tam, żeby coś zabrać.

– Najwyraźniej.

– Pojechał do Trattoria Commedia i przechwyił foliową torbę w wyznaczonym miejscu... może w toalecie.

Reinhart pokiwał głową.

– Nie wiedział, kim jest pan X, ale pewnie taki był plan.

– Skąd wiesz?

– Gdyby mogli się spotkać, nie ukrywając swoich tożsamości, to spotkaliby się gdziekolwiek. Na przykład na parkingu. Po co mieliby się bez potrzeby bawić w tę cholerną maskaradę?

Reinhart się zastanawiał.

– Pan X był przebrany – powiedział.

– Miał zabić mojego syna – przypomniał Van Veeteren. – I to zrobił.

Jasne, że był przebrany.

– To po co zostawiał tę torbę, skoro i tak chciał go zabić? – nie rozumiał Reinhart.

– Sam sobie odpowiedz na to pytanie.

Reinhart dwa razy zaciągnął się fajką, która już zdążyła zgasnąć.

– Do licha – powiedział. – Teraz rozumiem. Nie znał go. To znaczy nie znali się nawzajem. Nie wiedział kto to, dopóki nie zobaczył go z torbą. Widać zaczął się na parkingu.

– Prawdopodobnie – odparł Van Veeteren. – Też doszedłem do takiego wniosku. A zatem? Jak myślisz, o co chodziło? Kto tu stawiał warunki, a kto się musiał dostosować?

Dobrze postawione pytanie, pomyślał Reinhart. Kto stawiał warunki, a kto się musiał dostosować.

– Erich stawiał warunki, a Pan X musiał się dostosować – odparł. – To znaczy na początku. Potem Pan X zamienił się rolami... to dlatego, oczywiście dlatego to zrobił. Dlatego go zabił.

Van Veeteren odchylił się do tyłu i zapalił papierosa. Jego syn, pomyślał Reinhart. Na Boga, siedzimy tu i gadamy o zabójcy jego syna.

– A według ciebie o co chodziło?

Motyw narkotykowy wisiał w powietrzu i na kilka sekund przyćmił Reinhartowi inne myśli, ale potem znalazł odpowiedź.

– Szantaż – odparł. – To jasne jak słońce.

– Twierdzi, że Erich nigdy się w to nie bawił – godzinę później wyjaśniał Winnifred. – Wierzę mu. Zresztą nie byłby przecież na tyle głupi, żeby po prostu tam pojechać i ot tak sobie usiąść w restauracji i czekać na pieniądze... O ile w ogóle wiedział, o co chodziło. Erich był pośrednikiem. Wysłał go tam ktoś inny, ten właściwy szantażysta; jeśli się nad tym zastanowić, to wydaje się oczywiste. Wszystkie elementy łamigłówki wskakują na swoje miejsca.

– A co w takim razie ze sprawą Very Miller? – zapytała Winnifred.

– Czy ona w jakikolwiek sposób była w to zamieszana?

– Bardzo możliwe – odparł Reinhart. – Zabójca sądził, że to Erich jest szantażystą, zabił go zupełnie bez potrzeby. Może w przypadku

Very Miller udało mu się trafić.

– Czy Erich i Vera Miller się znali?

Reinhart westchnął.

– Niestety nie – odpowiedział. – Na tym wszystko się zatrzymuje. Nie znaleźliśmy choćby najmniejszego powiązania. Może jednak jakieś istnieje. Jeśli założymy, że zabójca jest lekarzem w Gemejnte, to niewykluczone, że Vera Miller miała na niego haka. Jakiś błąd przy operacji czy cholera wie co. Nie za ciekawie jest być lekarzem i się pomylić... Może na przykład wykończył jakiegoś pacjenta przez nie-dbalstwo. Może Miller dostrzegła szansę na dodatkowy zarobek i postanowiła ją wykorzystać, a że potem wyszło, jak wyszło, to już inna historia. No cóż, taką w każdym razie mam teorię.

Winnifred zrobiła sceptyczną minę.

– Niby po co miałyby więc iść z nim do łóżka? Bo chyba to właśnie zrobiła.

– Hm – odparł Reinhart. – Czyś ty się wczoraj urodziła, moja miła? Przecież to w takich sytuacjach mężczyźni się zdradzają. To w łóżku kobieta może poznać wszystkie wady i zalety faceta.

Winnifred zaśmiała się zadowolona i przytuliła się do niego pod kołdrą.

– Mój książę – powiedziała. – Masz absolutną rację. Choć obawiam się, że ty będziesz musiał wstrzymać się kilka dni z okazywaniem swoich zalet.

– Ano, jest, jak jest – odparł Reinhart i zgasił lampę. – Za to wad u mnie brak.

Kwadrans później wstał.

– Co robisz? – zapytała Winnifred.

– Joanna – odpowiedział. – Chyba coś słyszałem.

– Akurat, nic nie słyszałeś – stwierdziła Winnifred. – Ale przynieś ją, to położymy się we trójkę. Bo chyba taki miałaś zamiar?

– Mniej więcej – przyznał i po cichu przeszedł do sypialni Joanny.

Moja żona wie, co myślę, zanim sam się zorientuję, stwierdził, ostrożnie podnosząc śpiącą córeczkę. Jak ona, do licha, to robi?

## 25

W środę dziewiątego grudnia było około dziesięciu–jedenastu stopni, na niebie zaś ani jednej chmurki.

Do tego świeciło słońce, zdziwione i wręcz zawstydzone, że musi się tak obnażone pokazywać. Van Veeteren zadzwonił do pracy do Ulrike, dowiedział się, że skończyła w porze lunchu, i zaproponował jej samochodową wyprawę nad morze. Nie widzieli się już od jakiegoś czasu. Z miejsca się zgodziła. Po jej głosie poznał, że była zarówno zaskoczona, jak i zadowolona. Przypomniał sobie, że ją kocha.

Potem przypomniał o tym i jej.

Żyjący muszą się o siebie nawzajem troszczyć, pomyślał. Najgorsze to umrzeć, nie przeżywszy życia.

Kiedy siedział w samochodzie przed burym biurowcem Remingtona, zastanawiał się, czy Erich przeżył życie.

Czy zdążył zaliczyć to, co najważniejsze, cokolwiek by to było. Mężczyzna musi w życiu zrobić trzy rzeczy, jak to kiedyś wyczytał. Wychować syna, napisać książkę i zasadzić drzewo.

Ciekawe, skąd taki pomysł. Erich w każdym razie nie zdążył zrobić ani pierwszego, ani drugiego. Czy zasadził kiedyś drzewo, pozostało niewiadomą, choć nie wydawało się to szczególnie prawdopodobne. Analizę tego, jak sprawy się mają w jego przypadku, przerywało mu pojawienie się Ulrike, która opadła na fotel pasażera.

– Cudownie – powiedziała. – Co za piękny dzień.

– Dokąd chcesz jechać?

– Do Emsbaden albo do Behrense – odparła bez wahania. Widać było, że zastanawiała się nad tym po jego telefonie.

– Emsbaden – zdecydował. – W Behrense nie czuję się najlepiej.

– Dłaczego?

– Hm – odparł. – Kilka lat temu coś tam się wydarzyło. Nie lubię, jak coś mi o tym przypomina.

Czekała na ciąg dalszy, ale Van Veeteren zamilkł. Włączył silnik i ruszył z parkingu.

– Ach, ty mój tajemniczy kochanku – powiedziała Ulrike.

Przez godzinę spacerowali wśród wydm, a potem zjedli późny lunch w barze de Dirken obok latarni morskiej w Emsbaden. Ogony raków w koperkowym sosie, a do tego kawa i ciasto marchewkowe. Rozmawiali o Jess, trójce dzieci Ulrike i ich planach na przyszłość.

W końcu też o Erichu.

– Przypomina mi się, co kiedyś powiedziałeś – oznajmiła. – Wtedy, kiedy znaleźliście kobietę, która zabiła Karela.

Karel Innings był byłym mężem Ulrike, ale nie był ojcem jej dzieci. Przyszły one na świat w jej pierwszym małżeństwie z agentem nieruchomości, który był dobrym i solidnym opiekunem rodziny, dopóki odziedziczony alkoholizm nie wziął góry nad innymi jego cechami.

– Nigdy jej nie znaleźliśmy – zauważył Van Veeteren.

– Znaleźliście jej motyw – odparła Ulrike. – Twierdziłeś przynajmniej, że z jej punktu widzenia... to znaczy w pewnym sensie... miała prawo zabić mojego męża. Pamiętasz?

– Oczywiście. Choć to nie do końca tak było. Chodziło o bardzo indywidualny, wąski punkt widzenia. Chodziło o zbyt poważną sprawę, by móc sobie pozwolić na takie sformułowania.

– Chyba zawsze tak jest, nie?

– Co masz na myśli?

– Czy nie zawsze jest tak, że zabójca, czy też sprawca w ogóle, jest przekonany, że każda jego zbrodnia jest uzasadniona? Chyba przed sobą samym tak właśnie się tłumaczy?

– Pytanie stare jak świat. Ale ogólnie rzecz biorąc, masz rację. Morderca zawsze uznaje swoje motywy za istotne, ujawnia je. Co innego jednak, jeśli uczyni to ktoś inny. Rzecz jasna wszystko, co robimy, ma swoje powody, ale dogmat grzechu pierwородnego nie przekonuje już ławy przysięgłych... sędziowie są o wiele bardziej niewzruszeni.

– Ale ty w to wierzysz?

Czekał sekundę z odpowiedzią, spoglądając przy tym na morze.

– Zapewne – odparł w końcu. – Nie bronię złych uczynków, ale jeśli nie można pojąć natury zbrodni... pobudek sprawcy... cóż, wtedy nie znajdzie się daleko jako policjant śledczy. Istnieje pewna ponura logika, którą łatwiej dostrzec niż motywy naszych codziennych postępów. Wiadomo, że Chaos jest sąsiadem Boga, zaś w piekle często panuje porządek.

Zaśmiała się z ciastem marchewkowym w ustach.

– Mów dalej.

– Skoro tak ładnie prosisz. Otóż ta diabelska logika może dopaść każdego, kogo zapędzi się w róg. Nietrudno jest zrozumieć, że muzułmanin zabija siostrę, bo wybrała się na dyskotekę i chciała przyjąć zachodni styl życia. Absolutnie nietrudno, jeśli tylko zna się tło. Natomiast samo to, że ten czyn jest tak obrzydliwy, że aż chce się wymiotować... i że ma się ochotę bez zastanowienia przysypać sprawcę kamieniami, to już inna historia. Zupełnie inna.

Zamilkł. Ulrike przyglądała mu się z poważną miną, potem objęła jego dłoń, którą trzymał na stole.

– Zbrodnia rodzi się w tej szczelinie między morale społeczeństwa a morale jednostki – dodał, zastanawiając się jednocześnie, na ile jest to powszechnie znaną prawdą.

– Czy jeśli teraz znajdą zabójcę Ericha – zapytała Ulrike – jego też zrozumiesz?

Zwlekał chwilę z odpowiedzią. Kolejny raz spojrzął na plażę. Słońce już się schowało, a pogoda była taka jak kiedyś, zanim któryś z bogów postanowił ją wymyślić. Osiem stopni, lekki wiatr, jasne niebo.

– Nie wiem – odparł. – Dlatego chciałbym spotkać się z nim oko w oko.

Puściła jego dłoń i zmarszczyła czoło.

– Nie pojmuję, dlaczego chcesz się narażać na coś takiego – powiedziała. – Chcieć zasiąść naprzeciw mordercy swojego syna. Czasami cię nie rozumiem.

– Nigdy nie twierdziłem, że sam się rozumiem – odparł Van Veeteren.



Nigdy też nie mówiłem, że nie miałbym ochoty wpakować mu kulki między oczy, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

W drodze powrotnej Ulrike złożyła mu propozycję.

– Chcę, żebyśmy zaprosili jego narzeczoną na kolację.

– Kogo? – nie zrozumiał Van Veeteren.

– Marlene Frey. Zaprosimy ją na kolację jutro wieczorem. U nas w domu. Zadzwońię do niej i zapytam.

Wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Sam nie wiedział dlaczego. Zawstydził się na dwie sekundy, a potem się zgodził.

– Pod warunkiem, że zostaniesz potem na noc – dodał.

Ulrike się zaśmiała i dała mu lekkiego kuksańca w ramię.

– Już ci to obiecałam – powiedziała. – Zostanę na czwartek, piątek i sobotę. Jürg wyjechał na szkolny obóz.

– Wspaniale. Bez ciebie fatalnie sypiam.

– Nie przychodzę do ciebie po to, żebyśmy spali.

– Wspaniale – powtórzył Van Veeteren, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Komendant Hiller splótł ręce na zrobionej ze świńskiej skóry podkładce i spróbował złapać kontakt wzrokowy z Reinhartem. Ten ziewnął i wpatrzył się w zielony, przypominający palmę twór, którego nazwę kiedyś znał.

– Hm – powiedział Hiller. – Przedwczoraj przypadkiem wpadłem na komisarza. To znaczy na *komisarza*.

Reinhart przeniósł wzrok na figowiec benjamina.

– Mocno przeżył tę historię z synem. Chcę, żebyś o tym wiedział. Nic dziwnego. Po tych wszystkich latach, no i w ogóle... Cóż, dla mnie to sprawa honorowa. Musimy ją rozwiązać. Zabójca nie może nam się wymknąć. Jak daleko zaszliście?

– Kawalek – odparł Reinhart. – Robimy, co możemy.

– No tak. Oczywiście w to nie wątpię. Zapewne wszyscy, naprawdę wszyscy, mają podobne odczucia. Dla nich to też sprawa honorowa. Jeśli już naprawdę musimy pozwolić jakimś zabójcom zostać na wolności, to na pewno nie temu. Bez względu na wszystko. Potrzebujesz więcej ludzi? Jestem gotów zrobić wiele... naprawdę wiele. Po prostu

powiedz.

Reinhart nie odpowiedział.

– Jak wiesz, nigdy nie wtrącam się do działań operacyjnych, ale jeśli chcesz przedyskutować ze mną sytuację, to zapraszam. No i co do ludzi i środków, jak już wspomniałem, nie ma żadnych ograniczeń. To kwestia honoru. Rozumiemy się?

Reinhart podniósł się z wyłożonego gąbką krzesła dla gości.

– Wszystko jasne – odparł. – Jednak równań nie rozwiązuje się przy użyciu grup pancernych.

– Że co? – nie zrozumiał komendant. – A co to ma niby znaczyć?

– Wyjaśnię innym razem – odpowiedział Reinhart i otworzył drzwi.

– Teraz trochę się spieszę, więc wybac.

Jung i Moreno czekali na niego w pokoju.

– Pozdrowienia z piątego piętra – powiedział Reinhart. – Ogrodnik znów ma nowy garnitur.

– Występował w telewizji, czy co? – zdziwił się Jung.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła Moreno. – Może dopiero się do nich wybiera?

Reinhart rozsiadł się za biurkiem i zapalił fajkę.

– No i? – zapytał. – Co tam?

– Nie udało mi się jej złapać – powiedział Jung. – Jest gdzieś ze swoim chłopakiem. Dyżur ma dopiero jutro po południu. Niestety.

– Niech to szlag.

– O kim mówicie? – zapytała Moreno.

– O Edicie Fisher, rzecz jasna – odpowiedział Reinhart. – Tej pielęgniarki, która sugerowała swojej koleżance, że Vera Miller coś sugerowała... Cholera, cienko to wszystko wygląda. A jak idzie inwentaryzacja lekarzy?

– Znakomicie. – Moreno podała mu teczkę, którą trzymała na kolanach. – Tu masz nazwiska i zdjęcia wszystkich stu dwudziestu sześciu lekarzy, którzy pracują w Gemejnte. Do tego kilkoro, którzy odeszli w tym roku, ci są zaznaczeni. Data urodzenia, wymiar godzin, profil naukowy, specjalizacja, czego sobie tylko zażyczysz. Nawet stan cywilny i informacje o członkach rodzin. Taki mają porządek w Gemejn-

te.

– Nieźle – przyznał Reinhart, kartkując zawartość teczki. – Naprawdę nieźle. Nazwiska są uporządkowane według oddziałów?

– Zapewne tak – odparła Moreno. – Zakreśliłam już tych, którzy pracowali na czterdziestym szóstym oddziale, tam gdzie Vera Miller. Sześciu jest tam zatrudnionych na stałe, a siedmiu czy ośmiu pojawia się czasami. Dużo krążą między oddziałami, zwłaszcza specjaliści. Anestezjolodzy i tym podobni.

Reinhart kiwał głową, przeglądając kolejne kartki z uśmiechniętymi kobietami i mężczyznami w białych fartuchach. Widocznie takie zdjęcia były obowiązkowe. Na większości z nich tło było identyczne, a wszyscy, przynajmniej na oko, mieli głowy ustawione pod podobnym kątem i znacznie uniesione kąciki ust.

Pewnie robił je jeden fotograf. Reinharta zastanowiło, jaką to okropną historyjkę musiał serwować, żeby zmusić ich wszystkich do wyszczerzenia zębów.

– Nieźle – powiedział po raz trzeci. – Zatem mamy tutaj zdjęcie oraz dane zabójcy, włącznie z rozmiarem buta. Szkoda tylko, że nie wiemy, który to. Jeden ze stu dwudziestu sześciu.

– Jeśli będziemy się trzymać hipotezy Rootha – wtrąciła Moreno – to możesz odliczyć czterdzieści sztuk.

– Ach tak? – zdziwił się Reinhart. – Dlaczego?

– Dlatego że to kobiety. Choć sama nie wiem, co teraz mamy z tym zrobić. Przesłuchać wszystkich tak jak leci to trochę porywanie się z motyką na słońce. Nawet jeśli na zdjęciach wyglądają na spokojnych, to w rzeczywistości pewnie nie będą tacy przyjemni. Zwłaszcza kiedy domyślą się, o co ich podejrzewamy... do tego morale i tak dalej.

Reinhart skinął głową.

– Zaczniemy od tych, którzy byli najbliżej – powiedział. – Na razie tylko tych. Mówiłaś, że ilu ich jest? Sześciu zatrudnionych na stałe na oddziale i kilku dodatkowych? Powinniśmy z nimi zdążyć, zanim wróci świadek Junga. Kto powinien się tym zająć?

– Nie Rooth – powiedział Jung.

– Dobra, nie Rooth – odparł Reinhart. – Ale w tej chwili widzę

przed sobą dwójkę policjantów, na których można polegać. Zatem proszę bardzo, miłego polowania.

Zamknął teczkę i podał ją z powrotem Moreno. Ponieważ Jung pierwszy wyszedł z pokoju, zdążył zadać jej jeszcze jedno pytanie.

– Dobrze ostatnio sypiasz?

– Coraz lepiej – odparła Moreno, nawet się przy tym uśmiechając. –

A ty?

– Na tyle, na ile zasługuję – odpowiedział tajemniczo.

## 26

Poza rachunkami w czwartkowej poczcie znalazły się też dwa listy.

Jeden z Kasy Oszczędnościowej informujący, że jego wniosek o kredyt rozpatrzono pozytywnie. Suma w wysokości dwustu dwudziestu tysięcy guldenów już trafiła na jego konto.

Drugi był od przeciwnika.

Tym razem w innej kopercie. Prostszej i tańszej. W środku była zgięta na czworo kartka, prawdopodobnie wyrwana z brulionu. Zanim zaczął czytać, zastanowił się, czy ten spadek jakości ma jakieś znaczenie.

Żadna konkretna odpowiedź nie przyszła mu do głowy; instrukcje były równie proste i wyraźne jak wcześniej.

To twoja ostatnia szansa. Moja cierpliwość wkrótce się skończy.  
Sposób wykonania taki jak ostatnio.

Miejsce: kosz na śmieci za grillbarem na rogu Armastenstraat i Bremers steeg.

Czas: Noc z czwartku na piątek, godzina 3:00.

Bądź gotowy na telefon u siebie w domu o godzinie 4:00. Nie próbuj włączać przekazu połączeń na komórkę, powziąłem pewne kroki, żeby się przed tym zabezpieczyć. Jeśli w piątek rano nie będę miał pieniędzy, jesteś skończony.

Przyjaciel

Ten pomysł z komórką faktycznie przemknął mu przez głowę. Dzwonił, żeby o to dopytać, ale okazało się, że osoba dzwoniąca zawsze mogła się dowiedzieć, czy połączenia nie przekierowano na inny numer. Bo sama myśl, by ukryć się dwadzieścia metrów dalej w ciastym i ciemnym pasażu Bremers steeg, była kusząca. Niebywale

kuszająca.

Kolejna myśl, która go uderzyła, kiedy czytał instrukcje, dotyczyła tej przeklętej pewności siebie szantażysty. Na jakiej podstawie na przykład wykluczał, że jego ofiara nie skorzysta z pomocy współnika, tak jak on na Dikken?

Jak mógł być tego pewny? Przecież mógłby wciągnąć w to dobrego przyjaciela, nie mówiąc nawet, o co chodzi. Wystarczyłoby poprosić kogoś o odebranie telefonu. Czy też przeciwnik znał jego głos na tyle, by natychmiast zdemaskować taką sztuczkę? Czy znał go aż tak dobrze?

Czy może tym razem zastosuje bardziej zaawansowaną taktykę? Może ją jakoś ulepszył? Na to wyglądało. W rozmowie telefonicznej przekaze zapewne kolejną instrukcję, która pozwoli mu w spokoju odebrać pieniądze schowane za grillbarem.

Jak to w takim razie się odbędzie? Jaka będzie ta instrukcja? Czy przeciwnik będzie uzbrojony?

Ostatnie pytanie pojawiło się samo z siebie, ale szybko okazało się najpoważniejsze. Czy przeciwnik faktycznie miał broń i – w najgorszym razie – nie zawahałby się jej użyć, by zgarnąć swoje pieniądze?

Pistolet skryty w kieszeni kurtki w ciemnym pasażu przy Bremerssteeg.

Włożył list z powrotem do koperty i spojrzał na zegarek.

11:35. Zostało mu mniej niż szesnaście godzin.

Mało czasu. Przeraźliwie mało, jeśli to rzeczywiście miała być ostatnia runda. Dłużej nie można już było tego odwlekać.

Czy już czas się ruszyć? – pomyślał.

W czwartkowe przedpołudnie Moreno i Jung przeprowadzili rozmowy z tuzinem lekarzy. W tym z trzema kobietami, choćby po to, by nie wzbudzać podejrzeń.

Podejrzeń co do tego, że policja ma podejrzenia tylko wobec ich kolegów. Przynajmniej wobec jednego.

Za punkt wyjścia do rozmowy przedstawili konieczność dowiedzenia się czegoś o zamordowanej pielęgniarce, Verze Miller. O ogólnym wrazeniu, jakie robiła. O jej relacjach z pacjentami i z resztą personelu. O wszystkim, co w jakikolwiek sposób mogło pomóc nakreślić jej całościowy obraz. Zwłaszcza w kontekście zawodowym.

O ile Moreno i Jungowi udało się zorientować, to wszyscy lekarze bez oporów opowiadali, co wiedzieli o siostrze Miller. Niektórzy mieli sporo do powiedzenia, inni, rzecz jasna, mniej, a to dlatego, że nie kontaktowali się z nią tak często. Ich osądy i obserwacje były wyjątkowo zgodne. Vera Miller była znakomitą pielęgniarką. Zdolną, nastawioną pozytywnie, pracowitą, a do tego mającą to dodatkowe wyczucie wobec pacjentów, które było tak ważne i którego należałoby życzyć wszystkim pracującym w służbie zdrowia.

*O zmarłych...* – pomyślała Moreno, ale było to odruchowe skojarzenie, które w tym przypadku nie wydawało się stosowne. Po prostu siostra Miller była lubiana i ceniona. Nikt się nie domyślał, kto mógłby mieć powód, by zabić ją w taki właśnie czy też jakikolwiek inny sposób. Nikt nie miał bladego pojęcia.

Moreno i Jung też go nie mieli, kiedy już po przesłuchaniach zatrzymali się na lunch w restauracji w bloku A. Najbledszego pojęcia.

Skończyli jeść wybitnie sycący makaron chwilę po pierwszej, postanowili więc, że równie dobrze mogą poczekać na Edytę Fischer na oddziale czterdziestym szóstym. Miała zacząć zmianę o drugiej, po

dwóch i pół doby wolnego, który to czas spędziła w nieznanym miejscu ze swoim chłopakiem. Nazywał się Arnold, więcej o nim nie wiedzieli. Kiedy wreszcie, po wszystkich udrękach, Jungowi udało się skontaktować z panną Fischer przed południem, nie zechciała zdradzić, gdzie byli i co robili.

Wprawdzie szczególnie go to nie interesowało, ale mimo wszystko.

– Prawdopodobnie napadli na bank – wyjaśnił Moreno. – Możemy jednak to olać, wystarczy już to, co mamy. Tak czy inaczej, nie wiązałoby się to z Verą Miller.

Moreno zastanawiała się przez chwilę, a potem przyznała mu rację. Wystarczyło już to, co mieli.

Edita Fischer była młodą blondynką i wyglądała jak pielęgniarzka z amerykańskich seriali. Może z wyjątkiem lekkiego zęza, ale – przynajmniej według Junga – dodawał on jej uroku.

Była ewidentnie zawstydzona tym, co sugerowała wcześniej. Zaczzerwieniona zdążyła ich kilka razy przeprosić, zanim zasiedli w bladej sali, którą udostępniono im dzięki zdecydowanym staraniom ordynatora oddziału. Jak nie omieszkała ich poinformować, z reguły sali używano do przesłuchań w sprawie śmierci pacjenta. Zielony kolor miał ponoć działanie kojące.

– Mój Boże! – wybuchła Edita Fischer. – To nie było nic takiego. Nic a nic. Rozumiem, że Liljana to państwu przekazała?

Jung przyznał, że to właśnie podczas jednej z jego rozmów z Liljaną Milovic wypłynął ten wątek.

– Że też się wygadała – powiedziała Edita Fischer. – To był tylko taki drobiazg, o którym wspomniałam podczas rozmowy.

– Gdyby wszyscy milczeli, w ogóle nie znajdowałibyśmy przestępców – wtrącił Jung.

– I cóż to za drobiazg? – zapytała Moreno. – Skoro już o tym rozmawiamy.

Edita Fischer jeszcze chwilę się wahała, ale było po niej widać, że zaraz zacznie mówić. Jung i Moreno wymienili spojrzenia i na razie wstrzymali się z kolejnymi pytaniami. Wystarczyło czekać. Czekać i wpatrywać się w uspokajającą zielen ścian.



- To było ponad miesiąc temu... prawie półtora.
- Na początku listopada? – zapytała Moreno.
- Mniej więcej. Chyba jeszcze nigdy tak nie płakałam jak wtedy, gdy dowiedziałam się o śmierci Very. To straszne, ona była taką wesołą, pełną życia osobą... człowiekowi się wydaje, że coś takiego nie może spotkać tych, których tak dobrze zna. Kto mógł coś takiego zrobić, chyba jakiś szaleniec?
- Jeszcze nie wiemy, ale właśnie tego próbujemy się dowiedzieć.
- Spotykały się panie także prywatnie? – zapytała Moreno.  
Edita Fisher potrząsnęła lokami.
- Nie, ale jeśli chodzi o pracę, to była wspaniałą koleżanką. Proszę zapytać innych.
- Już pytaliśmy – powiedział Jung.
- Zatem na początku listopada – przypomniała jej Moreno.
- No tak – odparła Edita Fischer z westchnieniem. – Muszą państwo jednak zrozumieć, że to nie było nic takiego. Liljana lubi wyolbrzymiać różne rzeczy... nie ma złych intencji, po prostu taka jest.
- Proszę opowiedzieć – poprosił Jung. – Z reguły umiemy ocenić, co jest ważne, a co nie. Jednak najpierw musimy się dowiedzieć, ile się da.
- Oczywiście – przytaknęła Edita Fischer. – Proszę mi wybaczyć. Otóż chodziło po prostu o to, że Vera odwiedziła Rumford.
- Szpital Rumford? – nie do końca zrozumiała Moreno.
- Tak, jedna z naszych pacjentek miała być tam przewieziona. Czasami tak się zdarza. Jakaś kobieta z rozedmą płuc. W Rumfordzie mają lepszy sprzęt. Czasami ktoś od nas trafia do nich, a ktoś od nich do nas.
- Całkiem rozsądnie – zauważył Jung.
- Owszem – przyznała Edita Fischer. – To rozsądne. Vera pojechała tam z tą kobietą i została w Rumfordzie pół dnia. Miała dopilnować, żeby pacjentka czuła się dobrze... żeby czuła, że się o nią dba i takie tam. Vera przykładła do tego dużą wagę, dlatego była tak dobrą pielęgniarką. Kiedy wróciła po południu, miałyśmy przerwę na kawę i trochę sobie z niej żartowałam. Pytałam, dlaczego tak długo nie wracała, czy może przez to, że w Rumfordzie mają tak przystojnych leka-

rzy... bo mają.

Znów zrobiła zawstydzoną miną i zaczęła się kręcić.

– W każdym razie są młodszy od naszych – dodała. – No i właśnie wtedy Vera tak odpowiedziała. Bingo, powiedziała.

– Bingo? – powtórzyła Moreno.

– Tak. Zaśmiała się i powiedziała „Bingo, Edita”. I tyle. Nie wiem, czy ona też żartowała, czy może coś było na rzeczy. Mój Boże, a państwo tak długo czekali tylko na to.

– Ekhm – odparł Jung. – Jesteśmy przyzwyczajeni do czekania, proszę się nie niepokoić.

Moreno się zastanawiała, jednocześnie notując coś w notesie.

– Jak pani sądzi? – zapytała. – Co pani sobie pomyślała, kiedy Vera tak powiedziała? I proszę się nie niepokoić, że nas pani sprowadzi na zły tor. Lepiej będzie, jeśli pani powie, jakie było pani pierwsze wrażenie.

Edita Fischer zagryzła wargę i zapatrzyła się w swoje dłonie, które trzymała na kolanach, pocierając jedną o drugą.

– Pomyślałam, że coś jest na rzeczy – odparła. – Jak się teraz nad tym zastanawiam, to chyba tak właśnie było.

– Wie pani, że Vera była mężatką? – zapytał Jung.

– Oczywiście.

– Jednak nie uważa pani, że to zbyt nieprawdopodobne, że... że w Rumfordzie spotkała lekarza, dla którego oszalała?

Oszalała? – pomyślał. Gadam jak aktorka z serialu. No trudno.

Edita Fischer wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odparła. – Skąd miałabym wiedzieć, po prostu słyszałam, co wtedy powiedziała, tylko tyle... No i wiem, jak to powiedziała.

– I już nigdy nie wracaliście panie do tego tematu? – zapytała Moreno.  
– Może jeszcze coś zasugerowała?

– Nie – odparła Edita Fischer. – Absolutnie nie. Dlatego mówię, że to taka drobnostka.

Jung przez chwilę się zastanawiał.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Bardzo pani dziękujemy za pomoc. Może już pani wrócić do swoich zajęć.

Edita Fischer podziękowała i wyszła. Jung wstał i zrobił dwa okrążenia po sali. Potem znów usiadł.

– No i? – zapytała Moreno. – To by było na tyle. Co o tym sądzisz?

– Ja nie sądzę. Ja wiem. Wiem, co będziemy robić w najbliższym czasie. Czeka nas setka kolejnych lekarzy. Roboty starczy nam aż do świąt. Choć trzeba być wdzięcznym za to, że nie musimy siedzieć bezczynnie i kręcić młynków palcami.

– Mówisz, jak na prawdziwego policjanta przystało – stwierdziła Moreno.

Za dwadzieścia trzecia wyszedł z oddziału Sparkasse przy Keymer Plejn z dwustu dwudziestoma tysiącami guldenów w kieszeniach. Byli nieco zdziwieni, kiedy powiedział, że chce dostać całość w gotówce. Wyjaśnił, że chodzi o zakup łodzi... jakiś ekscentryczny sprzedawca chciał właśnie tak dostać pieniądze. Inaczej transakcja nie wchodziła w grę.

Ciekawe, czy kupili tę historyjkę. Może tak, może nie. Zresztą bez różnicy. Najważniejsze, że dostał pieniądze. Kiedy trzeba będzie spłacać dług, jego nie będzie już w okolicy. Ani w bliższej, ani dalszej. Nie wiedział jeszcze, w której części świata się znajdzie. Do wymiany zostało zaledwie dwanaście godzin, a on jeszcze nie opracował żadnego planu.

Jestem zbyt spokojny, pomyślał, kiedy wsiadał do samochodu. Przeholowałem z lekami. Otepiły mnie.

Do Boorkhejm pojechał zwykłą drogą. Ładna pogoda utrzymała się od poprzedniego dnia, jechał więc wyjątkowo wolno, bo przyszło mu do głowy, że może pokonuje tę trasę po raz ostatni. Ostatni z tysięcy... tak, to musiały być tysiące. Wraz z Marianne wprowadzili się do szeregowca ponad piętnaście lat temu, a teraz on go opuści. Zapewne to już najwyższa pora, pomyślał.

Zapewne.

Może to ta niewielka prędkość oraz poczucie, że jedzie tędy ostatni raz, sprawiły, że zauważył skuter.

Zwykły czerwony skuter zaparkowany przed bramą kamienicy stojącej przed jego rzędem szeregowców. Dokładnie rzecz biorąc, jakieś dwadzieścia pięć metrów od jego domu.

Czerwony skuter.

Olśnienie spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Skuter.

*Ten skuter.*

Jak zwykle zaparkował na podjeździe garażu. Wysiadł z samochodu i ruszył powoli ulicą. Myśli rozbłyskiwały mu w głowie niczym fajerwerki, musiał ze wszystkich sił pilnować się, by nie przystanąć i nie wlepić wzroku w skuter, który połyskiwał w bladych promieniach słońca.

Minął go. Doszedł do kiosku i kupił gazetę. Potem kolejny raz minął ten magiczny jednoślad i wrócił do domu. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie przez ramię i stwierdził, że stąd też go widzi. Stąd, czyli z podjazdu garażu. Po szybkim namyśle sprawdził, czy z samochodu też coś zobaczy.

Nie zobaczył. Nie od razu, ale kiedy wycofał i zawrócił na ulicy, mógł bez problemu obserwować skuter z siedzenia kierowcy. Przypomniał sobie też, że ma lornetkę, poszedł więc po nią do domu.

Znów zajął miejsce w samochodzie, zanim jednak zaczął obserwację, wysiadł i po raz kolejny przespacerował się do kiosku. Kupił dwa piwa, choć wiedział, że nie będzie ich pił. Wracając, zatrzymał się na chwilę przed kamienicą i zapamiętał numer rejestracyjny skutera.

Potem zasiadł w samochodzie z lornetką. Przez czterdzieści pięć minut obserwował, próbując wzbudzić w sobie wątpliwości. Analizował wnioski, które przyszły same w zaledwie parę sekund, a które wydawały się pewne niczym aksjomat.

Wszystko się zgadzało. Tamtego wieczoru pojawił się skuter. Jechał w stronę Boorkhejm. Już wcześniej wykalkulował, że szantażystą jest ktoś, kto go znał. Odpowiedź była jasna – to jego sąsiad. Nie taki, któremu codziennie mówi dzień dobry – witał się zresztą tylko z tymi mieszkającymi w domach przylegających do jego. Z panem Landtbergiem i rodziną Kluume.

Nie. To ktoś z kamienicy.

Budynek miał tylko trzy piętra. Było w nim może dziesięć–dwanaście mieszkań. Trzy klatki schodowe. I czerwony skuter zaparkowany przed tą położoną najbliżej jego domku.

Wszystko było jasne. Boorkhejm nie było dużym osiedlem, ludzie znali się nawzajem. Przynajmniej z widzenia. Wątpił zresztą, czy ktoś

jeszcze ma tutaj skuter. Tego też nigdy wcześniej nie widział, a w każdym razie nie zwrócił na niego uwagi; pewnie właściciel parkował za domem. Zrozumiał, że przeciwnik nie był świadomy, że właśnie ten pojazd może go zdradzić. W przeciwnym razie głupotą było dopuścić się takiej lekkomyślności właśnie dziś. Zostawił mu go na widoku.

Akurat dziś. Kiedy zostały już tylko godziny.

Spojrzał na zegarek. Chwila po czwartej. Jeszcze jedenaście godzin.

Poczuł gęsią skórę na ramionach.

Plan wreszcie zaczynał się klarować.

Trzy kwadranse. Tyle siedział w samochodzie, czekając i planując. Po tym czasie wyszedł właściciel czerwonego skutera. Przez lornetkę jego twarz wyglądała, jakby dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Ponura i dość pospolita. Był mniej więcej w jego wieku. Rozpoznał go.

Facet pracował w pracowni protez w szpitalu. Chyba nawet kiedyś z nim rozmawiał, ale nie mówili sobie dzień dobry.

Nie pamiętał, jak się nazywa. Zresztą co za różnica. Plan rozwijał się w rekordowym tempie. Gęsia skórka nie zniknęła.

Kolacja z Marlene Frey zaczęła się w dość napiętej atmosferze. Van Veeteren zauważył niepokój dziewczyny, już kiedy otwierał jej drzwi, a jego niezręczne próby okazania gościnności bynajmniej nie poprawiły sytuacji.

Pod tym względem Ulrike odniosła nieco większy sukces, jednak lody puściły dopiero, kiedy Marlene wybuchła płaczem w trakcie jedzenia zupy.

– Cholera. – Pociągnęła nosem. – Myślałam, że dam radę, ale to za trudne. Wybaczcie.

Kiedy była w łazience, Van Veeteren zdążył wypić dwa kieliszki wina, a Ulrike przyglądała mu się z troską.

– Tak mi go brakuje – powiedziała Marlene, kiedy już wróciła. – Rozumiem, że panu też, ale to żadna ulga. Tak mi go brak, że chyba oszaleję.

Wpatrywała się w Van Veeterena dopiero co przemytymi oczami.

Nie wiedząc, co zrobić, odwzajemnił jej spojrzenie, a potem obszedł stół i objął ją. Nie było to wcale łatwe, bo siedziała, jednak kiedy to zrobił, poczuł, jak coś w nim puszcza.

Jakby zaciśnięta pięść rozluźniła ucisk. Jakby się otworzyła. Niesamowicie, pomyślał.

– Jezu – powiedziała Ulrike. – I pomyśleć, że czasami jednemu sercu tak daleko do drugiego.

Marlene znów zanosła się płaczem, ale tym razem wystarczyło, że wydmuchała nos w serwetkę.

– Czułam się taka samotna – wyjaśniła. – A pana to prawie się bałam.

– On wcale nie jest taki groźny – zaprotestowała Ulrike. – Coraz bardziej się o tym przekonuję.

– Hmm – odezwał się Van Veeteren, który już zdążył wrócić na swoje miejsce. – Na zdrowie.

– Urodzę jego dziecko – powiedziała Marlene. – To wydaje się takie nierzeczywiste i sama nie wiem, co będzie potem. Nie przypuszczaliśmy przecież, że tylko jedno z nas zostanie i będzie się nim opiekować.

Wzięła głęboki wdech i spróbowała się uśmiechnąć.

– Przepraszam. Po prostu bardzo mi ciężko. Dziękuję, że mnie pan przytulił.

– Mój Boże – odparł Van Veeteren. – To znaczy cholera. Na zdrowie. Obiecuję, że się tobą zajmę. Tobą i dzieckiem. Ekhm.

– Jeszcze tylko tego brakowało – wtrąciła Ulrike. – Jedzcie zupę, potem podam mięso.

– A twoi rodzice? – zapytał ostrożnym tonem godzinę później. – Wspierają cię jakoś?

Marlene pokręciła głową.

– Jestem dzieckiem nałogowców. Mama się stara, ale trudno to nazywać wsparciem. Mam nadzieję, że uwierzycie, jeśli powiem, że wyrwałam się z tego bagna sama... tak było. Zrobiliśmy to razem, Erich i ja. Chociaż czasami wydaje się, że jak już człowiekowi uda się trochę podnieść, spada na niego kolejny cios.

– Życie to przereklamowana historia – powiedział Van Veeteren. – Choć lepiej sobie tego nie uświadamiać zbyt wcześnie.

Marlene spojrzała na niego z lekko uniesionymi brwiami.

– Cóż, możliwe, że tak jest. Erich mówił, że z pana żaden optymi-  
sta, ale i tak pana lubię. Mam nadzieję, że to się nie zmieni.

– Ależ oczywiście, że nie – powiedziała Ulrike. – On ma w sobie pe-  
wien ponury urok, co do tego masz rację. Jeszcze kawy?

Marlene pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Będę już szła. Chętnie zaprosiłabym do siebie, ale  
wiecie, jak to u mnie wygląda. Mimo że ostatnio ogrzewanie sprawuje  
się całkiem nieźle.

– Przyjdiesz do nas na święta – stwierdził Van Veeteren. –  
I w Nowy Rok. To znaczy wiadomo, od każdego według możliwości  
i takie tam.

Ulrike się roześmiała, Marlene też się uśmiechnęła. Zastanowił się  
szybko, kiedy to ostatnim razem udało mu się wprawić w dobry  
nastrój dwie kobiety jednocześnie. Chyba jeszcze nigdy się to nie zda-  
rzyło, stwierdził. Kiedy stali w przedpokoju, Marlene o czymś sobie  
przypomniała.

– Ach, właśnie – powiedziała. – Ta karteczka.

– Jaka karteczka? – nie zrozumiała Ulrike, pomagając jej z bu-  
drysówką.

– Znalazłam karteczkę – powiedziała Marlene. – Kiedy ostatnio  
sprzątałam. Erich zawsze zostawiał karteczki. Zapisywał sobie na nich  
godziny, nazwiska, numery telefonów i takie tam.

– Ach, tak? – odparł Van Veeteren, czując że w sekundę zmienił się  
w śledczego.

– Policja przejrzała wszystkie papiery, na których Erich coś ostatnio  
bazgrał, ale tej akurat nie znaleźli. Leżała w kuchni pod podstawką do  
garnka. Wiem, że napisał ją całkiem niedawno, bo jest na niej notka  
o pracy, którą ostatnio wykonywał.

– I co jeszcze jest na niej napisane? – zapytał Van Veeteren.

– Tylko jedno nazwisko – odparła Marlene. – Keller.

– Keller?

– Tak, Keller. Właściwie to dość powszechne nazwisko, ale nie



znam nikogo takiego. W notesie też nie ma żadnego Kellera. I tyle. Czy mam zadzwonić na policję i im o tym powiedzieć?

Van Veeteren przez chwilę się zastanawiał.

– Zadzwoń. Keller? Keller? Nie, ja też nikogo takiego nie znam. Ale zadzwoń do nich. Możesz przekreślić do Reinharta. Potrzebują każdej możliwej pomocy. Masz jego numer?

Marlene pokiwała głową. Potem uściskała ich, a kiedy wyszła, Van Veeteren poczuł, że zostawiła po sobie pustkę.

Dziwne. Ogromną pustkę.

– Będziesz dziadkiem – powiedziała Ulrike, siadając mu na kolanach na sofie.

– Ech. Wiem. Zatem trzy dni, tak?

– Noce – odparła Ulrike. – W dzień pracuję. Przynajmniej jutro.

Aron Keller zobaczył, jak czerwone audi przejeżdża ulicą. Potem zaparkowało przed garażem pod siedemnastką. Widział je, ponieważ w salonie, czyli od frontu, miał wykusz. Właśnie w nim stał. Taki miał zwyczaj. Na trzecim piętrze, częściowo skryty za słusznych rozmiarów hibiskusami. Miał stamtąd znakomity widok na to, co się dzieje na zewnątrz.

A działało się niewiele. Mimo to jednak stał w oknie, z biegiem lat nabrawł tego zwyczaju. Od czasu do czasu przystawał w wykuszu.

Jakiś czas później podziękował za to opatrności. Za to, że odczekał jeszcze minutę po tym, jak zobaczył doktora zabójcę nadjeżdżającego błyszczącym samochodem.

Doktor wrócił na piechotę. Poszedł do kiosku i kupił gazetę, a nie miał tego w zwyczaju.

Aron Keller stał i czekał. Równie nieruchomy, jak hibiskusy. Zobaczył, jak audi wycofuje na ulicę, a potem znów wjeżdża na podjazd. Doktor wysiadł z samochodu, zajrzał do domu i coś z niego przyniósł, ale Keller nie widział co. I znów usadowił się za kierownicą. Siedział w samochodzie przed domem. Keller czuł, jak poca mu się ręce. Po minucie doktor wysiadł i znów ruszył do kiosku. Przed wejściem do kamienicy, do klatki Kellera, zwolnił i popatrzył na skuter. Potem poszedł dalej w stronę kiosku. Kupił coś, co niósł w szarej papierowej

torbie, i wrócił. Kiedy mijał kamienicę, Keller cofnął się o dwa kroki w głąb pokoju. Później wrócił na swoją pozycję w wykuszu i zobaczył, jak doktor wsiada do samochodu.

Wsiadł i siedział. Minuty mijały, a on siedział na przednim fotelu i nic nie robił.

Skurwiel, pomyślał Keller. Wie. Ten drań wie.

Kiedy jakiś czas później mijał siedemnastkę, doktor wciąż siedział w samochodzie. To był ostateczny dowód. Keller obszedł rząd szeregowców i wrócił do domu od tyłu. Po powrocie wyjął piwo z lodówki i wypił je trzema haustami. Staął w wykuszu. Zaparkowane przed siedemnastką audi było puste. Słońce już zaszło.

Ale przecież *on* nie wie, pomyślał. Doktor zabójca nie wie, że ja wiem. Mam nad nim przewagę. To ja kontroluję sytuację.

V

Jeśli oceniać tylko i wyłącznie ilościowo, pomyślał Reinhart około jedenastej, podczas krótkiej przerwy na fajkę, to nie musimy się wstydzić za wyniki naszej pracy.

Niewątpliwie ta myśl miała swoje uzasadnienie. Po zeznaniu Edity Fischer lekarzy do przesłuchania zrobiło się nagle tyłu, że zarówno Rootha, jak i deBriesa oraz stażystę Bollmerta natychmiast włączono do zadania. Po prawdzie Reinhart uważał całą tę procedurę za brzytwę, której się chwyтали, ale z braku innych brzytw (no i z uwagi na szczodrość komendanta Hillera oferującego im nieograniczone środki) musieli się tym zadowolić. Nikt już jednak nie nazywał operacji „hipotezą Rootha”, a już na pewno nie Rooth, odkąd okazało się, że będzie musiał pracować zarówno w sobotę, jak i w niedzielę.

Szpital Rumford był nieco mniejszy niż Gemejnte, ale mimo to zatrudniał stu dwóch lekarzy, w tym sześćdziesięciu dziewięciu mężczyzn. Wobec tej nowej grupy nie dało się rzecz jasna stosować dotychczasowego pretekstu, że potrzebne są opinie na temat zamordowanej pielęgniarce. Między innymi dlatego, że takich opinii nie można się było od nich spodziewać.

Może z wyjątkiem zabójcy, jak słusznie zauważył deBries, ale ten zapewne nie robi się wylewny tylko dlatego, że ktoś uprzejmie o to prosi. Co do tego cała grupa śledcza była zgodna.

Dlatego Reinhart postanowił grać w otwarte karty. Informacje, które otrzymali, wskazywały, że Vera Miller nawiązała romans z lekarzem z któregoś z dwóch szpitali. Czy ktoś coś o tym wiedział? Coś słyszał? Czy ktoś miał jakieś domysły?

Ta metoda była na granicy przyzwoitości, ale do diabła z tym, uznał Reinhart. Jeśli pozwoli się kilkuset osobom snuć domysły, to zawsze ktoś trafi.

Żeby nie wspomnieć o sytuacji, w której kilka osób domyśli się tego samego.

Inspektor Jung nigdy nie zaliczał takich masowych przesłuchań do swoich ulubionych zadań służbowych (rzecz jasna nieformalne rozmowy jak ta z siostrą Milovic należały do zupełnie innej kategorii), kiedy więc spotkał Rootha podczas zasłużonej popołudniowej przerwy na kawę, nie omieszkał podziękować mu za tę stymulującą weekendową robotę.

– Szkoda, że obstawiłeś akurat lekarzy – powiedział.

– Co też ty wygadujesz? – odparł Rooth, przełykając drożdżówkę.

– Chociaż gdybyś na przykład obmyślił hipotezę o ekspedientach, to mielibyśmy dziesięć razy więcej tych uroczych rozmów. Albo hipotezę o studentach.

– Mówiłem przecież, że nie wiem, co to hipoteza. Czy mógłbym wypić kawę w spokoju?

Podobnie jak przy wcześniejszych rozmowach ze znajomymi Ericha Van Veeterena, tym razem także nagrano wszystkie przesłuchania i kiedy w niedzielę wieczorem Reinhart spojrział na stertę kaset na swoim biurku, stwierdził, że materiał – szczególnie jeśli oceniać oba śledztwa razem – obszernością przypominał sprawę kalibru zabójstwa premiera.

Czyżby punkt Borkmanna? – pomyślał. *Komisarz* kiedyś o nim opowiadał. Czy ilość nie przeszła już dawno temu w jakość? A on nic nie zauważył. Może już wiedział, co powinien wiedzieć? Czy odpowiedzi (odpowiedzi) nie kryły się w tym obszernym materiale? Gdzieś w nim.

Może tak, pomyślał. A może nie. Jak to ocenić? Na czuja jak zwykle? Niech to!

Nieco później zwołał zebranie. Mając w pamięci obietnicę Hillera o nieograniczonych funduszach, zakupił cztery butelki wina oraz dwa torty kanapkowe. Ponieważ chodziło zaledwie o sześć osób, uznał, że aż nadto spełnił intencje komendanta co do działania z rozmachem.

Nawet Rooth nie podołał ostatniej połówce tortu.

Zawsze można było liczyć na pokłosie pracy nastawionej na ilość.

Także tym razem.

Przez dwa i pół dnia sześciu policjantów przesłuchało stu osiemdziesięciu dziewięciu lekarzy. W tym stu dwudziestu mężczyzn oraz sześćdziesiąt dziewięć kobiet.

Nikt z przesłuchiowanych nie przyznał się do zabicia pielęgniarki Very Miller ani nawet do utrzymywania z nią relacji erotycznych.

Nikt też nie wskazał na prawdopodobnego kandydata (nie wiadomo, czy to z racji słynnej solidarności zawodowej, czy też z innego powodu). Nikt nawet nie próbował snuć domysłów, tak więc Reinhart nie musiał się martwić etycznym aspektem tego wątku, za co zresztą był wdzięczny.

Nikt z sześciorga śledczych nie nabrał konkretnych podejrzeń podczas rozmów, a przynajmniej nie w sprawie, którą badali. Jeśli komisarz Reinhart życzył sobie sprawdzić osądy swoich podopiecznych w tym względzie, wystarczyło jedynie przesłuchać nagrania. Zakładając, że zadowoliliby się pojedynczym odsłuchaniem, powinno mu to zająć równe pięćdziesiąt dwie godziny.

Nie licząc przerw na zmianę kaset, wizytę w toalecie czy sen. Mając na stole resztki kanapkowego tortu, mógłby pewnie darować sobie przerwy na jedzenie.

– Nie za dużo tego – powiedział Rooth. – Mówię o wynikach.

– Jeszcze nigdy tak niewielu nie zawdzięczało tak mało tak licznym – podsumował Reinhart. – Cholera. Ilu nam zostało?

– Dwudziestu ośmiu – oświadczył Jung, zerkając na kartkę. – Pięcioro ma przerwę w pracy, sześcioro jest na urlopie, dziewięcioro ma chwilowo wolne i gdzieś wyjechało... siedmioro jest na zwolnieniu lekarskim, a jedna za pół godziny urodzi dziecko.

– Czy jej też nie powinni wystawić zwolnienia lekarskiego? – zastanowił się Rooth.

– W każdym razie na pewno nie jest na urlopie – stwierdziła Moreno.

Trafiło im się też zadanie z mniejszą liczbą niewiadomych, tak zwany trop Edity Fischer. Moreno i Jung, oboje odpowiedzialni za rozmowy w szpitalu Rumford, sprawdzili, którego dnia dokładnie Vera Miller przyjechała tam z pacjentką. Oraz którzy lekarze i na jakich od-

działach mieli tego dnia dyżur. Niestety Vera Miller zjadła też lunch w dużej stołówce dla personelu, a tam mogła spotkać każdego. Mimo wszystko w rezultacie tych wysiłków otrzymali relatywnie małą liczbę doktorów.

Trzydziestu dwóch, gwoli ścisłości. Jung chciał nawet odliczyć wszystkich powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia, ale Moreno nie zgodziła się na takie uprzedzenia. Nie należało gardzić siwymi skrońmi. Zwłaszcza jeśli należały do lekarza. W każdym razie udało im się spotkać z dwudziestoma pięcioma z tej „grupy o zwiększonej potencji” (określenie Junga), z których żaden nie zachowywał się ani trochę podejrzanie, ale też żaden nie miał nic do powiedzenia.

Zostało im siedmiu. Jeden na urlopie. Czterech miało wolne i wyjechało. Dwóch na chorobowym.

– To któryś z nich – stwierdził Jung. – Jeden z siedmiu. Brzmi jak tytuł filmu. Założymy się?

– Do zakładu musisz sobie znaleźć kogoś innego – odparła Moreno.  
– Ja się z tobą zgadzam.

Kiedy inni poszli do domu, Reinhart i Moreno wypili ostatnią butelkę wina. Rooth też jeszcze siedział w pokoju, ale przysnął w kącie.

– Beznadzieja – powiedział Reinhart. – Nie wiem, ile razy już to mówiłem podczas tego śledztwa... *tych śledztw!* Donikąd nas to nie prowadzi. Czuję się, jakbym pracował dla jakiegoś cholernego urzędu statystycznego. Gdybyśmy tylko pamiętali, żeby zapytać ich o poglądy polityczne i o to, ile piją, moglibyśmy spokojnie sprzedać ten materiał do niedzielnego dodatku „Gazety” albo do biura badań opinii publicznej.

– Hm – odparła Moreno. – *Komisarz* mawiał, że trzeba umieć czekać. Uzbroić się w cierpliwość. Może powinniśmy spojrzeć na to w ten sposób.

– Mawiał też co innego.

– Tak? Co?

– Że sprawę trzeba rozwiązać jak najszybciej. Najlepiej pierwszego dnia, tak żeby nie rozmyślać o niej w nocy. A tu, do cholery, minęło pięć tygodni, odkąd znaleźliśmy jego syna. Niechętnie się do tego

przyznaję, ale podczas ostatniego spotkania z Van Veeterenem było mi wstyd. Wstyd! Wyjaśnił mi, że cała ta historia miała swój początek w szantażu. Bez wątpienia ma rację, ale i tak się nie posuwamy. Bez nadzieja... nie, nie będę już tego mówił na głos.

– Myślisz, że to ona była szantażystką? –zapytała Moreno. – To znaczy Vera Miller.

Reinhart pokręcił głową.

– Nie. Z jakiegoś powodu sędzę, że nie. Chociaż historia z lekarzem ma sens. Dlaczego kobieta, o której nikt nie powiedział złego słowa, miałaby się zniżyć do czegoś takiego?

– Szantaż to przestępstwo uzależnione od charakteru – powiedziała Moreno.

– Otóż to. Zarówno typy mordujący siekierami, jak i ci tłukący żony mają wyższy status w więzieniach. Szantaż to jedno z najbardziej niemoralnych przestępstw. Nie najgorsze, ale najniższe. Najbardziej nikczemne, jeśli to słowo jeszcze funkcjonuje.

– Prawda – przyznała Moreno. – Zgadza się. Zatem możemy wykluczyć Verę Miller. Ericha Van Veeterena też. Wiesz, kto nam zostaje?

Reinhart rozlał resztki wina.

– Tak – odparł. – Już o tym myślałem. Zostaje nam szantażysta. Oraz jego ofiara. A ofiara to zabójca. Pytanie tylko, czy szantażysta już dostał pieniądze.

Moreno przez chwilę milczała, kręcąc kieliszkiem.

– Nie rozumiem, jakim cudem Vera Miller się w to zamieszała. Jeśli jednak trzymamy się tego, że jej sprawa wiąże się z Erichem, to mamy... cóż, mamy do czynienia z osobą, która zabiła dwa razy, żeby uniknąć płacenia. Jeśli szantażysta jest rozgarnięty, to pewnie podwyższył nieco stawkę. Podejrzewam, że to ktoś, kto balansuje na krawędzi ryzyka.

– Też tak sędzę – zgodził się Reinhart.

Wypił wino i zapalił fajkę; dziesiąty raz w ciągu godziny.

– I właśnie to jest takie wkurzające – powiedział. – Nie wiemy, co się za tym kryje. Jaki jest motyw szantażu. Mamy przed sobą łańcuch zdarzeń, ale brak nam pierwszego ogniwa.

– I ostatniego – zauważyła Moreno. – Możliwe, że jeszcze nie zoba-



czyliśmy ostatecznej rozgrywki pomiędzy szantażystą i jego ofiarą. Nie zapominaj o tym.

Reinhart wpatrywał się w nią z głową ciężko zwieszoną na rękach.

– Jestem zmęczony. A do tego lekko pijany. Dlatego przyznaję, że mi trochę zaimponowałaś swoim tokiem rozumowania. Trochę.

– *In vino veritas* – odparła Moreno – Równie dobrze możemy się mylić. Może nie chodzi o szantaż i może nie jest w to zamieszany żaden lekarz... a sprawy Very Miller i Ericha Van Veeterena wcale się nie łączą.

– Nawet mi nie mów – powiedział Reinhart. – Wydawało mi się, że zaczynamy do czegoś dochodzić.

Moreno się uśmiechnęła.

– Jest północ – powiedziała.

Reinhart wyprostował się na krześle.

– Zadzwoń po taksówkę – powiedział. – Obudzę Rootha.

Kiedy wrócił do domu, zarówno Winnifred, jak i Joanna spały objęte w ich podwójnym łóżku. Przez chwilę stał w drzwiach i je obserwował, zastanawiając się, czym sobie na to zasłużył.

I ile przyjdzie mu za to zapłacić.

Pomyślał o synu *komisarza*. O Seiko. O Verze Miller. O tym, jak to będzie, kiedy Joanna będzie o piętnaście, dwadzieścia lat starsza, kiedy zaczną się nią interesować mężczyźni... mężczyźni różnego pokroju.

Zauważył, że kiedy próbował to sobie wyobrazić, dostał gęsiej skórki. Ostrożnie zamknął drzwi. Wyjął ciemne piwo z lodówki i rozsiadł się na sofie, żeby pomyśleć.

Zastanowić się, czego, *summa summarum*, może być zupełnie pewien w sprawie Van Veeterena i Miller.

I czego może być dość pewien.

I co mu się wydaje.

Nie wysiedział zbyt długo, bo zasnął. Joanna znalazła go na sofie o szóstej rano. Pociągnęła go za nos i stwierdziła, że śmierdzi. Jego własna córka.

W poniedziałek Winnifred miała tylko jedno seminarium przed południem i miała wrócić do domu około dwunastej. Po krótkim namyśle Reinhart zadzwonił do opiekunki i dał jej wolne. Potem poświęcił cały czas Joannie. Umył jej zęby i włosy, rysował, oglądał książeczki, a między dziewiątą i dziesiątą zdrzemnęli się razem. Zjedli jogurt z bananem, tańczyli, a między dziesiątą a jedenastą obejrzelikolejne książeczki. Wpół do dwunastej przypiął ją do fotelika w samochodzie, a dwadzieścia minut później odebrali spod uniwersytetu mamę (Joanna) i żonę (on).

– Wybieramy się na przejażdżkę – wyjaśnił Reinhart. – Dobrze nam to zrobi.

– Cudownie – stwierdziła Winnifred.

Po godzinach ciężko przepracowanych przez ostatnie dni bez oporu postanowił na kilka godzin zostawić komendę własnemu losowi. W ten grudniowy poniedziałek pogoda była dość wietrzna, niewykluczone było, że zaraz się rozpada. Mimo to wybrali się na wybrzeże. Nad morze. Przeszli w tę i z powrotem plażę w Kaarhuis – Reinhart z rozśpiewaną i rozwrzeszczaną Joanną na barana – i zjedli zupę rybną w restauracji Guiverta, jedynej otwartej w całej miejscinie. Sezon turystyczny zdawał się bardziej odległy niż Jowisz.

– Dziesięć dni do świąt – stwierdziła Winnifred. – Będiesz mieć tydzień wolnego, tak jak próbowałeś mi wmówić?

– Zależy – odparł Reinhart. – Jak rozwiążemy tę sprawę, która nas teraz zajmuje, to mogę ci obiecać nawet dwa tygodnie.

– Profesor Gentz-Hillier chętnie wynajmie nam swój domek w Limbuijs. Mam przyjąć zaproszenie... powiedzmy na te dziesięć–dwanaście dni od świąt do Nowego Roku? Byłoby miło spędzić trochę czasu w dziczy, nieprawdaż, komisarzy?

– W dziczy? Mam nadzieję, że chodzi ci o kominek, grzane wino i półmetrową stertę książek?

– Właśnie tak. Bez telefonu, kilometr do najbliższego tubylczego sąsiada. O ile dobrze zrozumiałam. To co, bierzemy?

– Tak. Dziś wieczorem przysiądę i rozwiążę te sprawy. To już najwyższa pora.

Do swojego pokoju na komendzie wszedł o wpół do szóstej. Sterta kaset na jego biurku nieco się powiększyła, ponieważ Jung, Rooth i Bolmert w ciągu dnia skontaktowali się z kolejnymi dziesięcioma lekarzami. Znalazł też kilka notatek informujących, że nic ekscytującego nie wydarzyło się podczas tych dodatkowych przesłuchań. Krause zostawił raport ze swojej rozmowy z Zakładem Medycyny Sądowej. Zbadano zawartość żołądka Very Miller i stwierdzono, że przed śmiercią zjadła homara, łososia oraz kawior.

Oraz wypijała znaczną ilość białego wina.

Cóż, podjął ją niczego sobie, zanim ją zabił, pomyślał Reinhart i zapalił fajkę. Zawsze to coś. Dzięki Bogu wino trochę ją odurzyło, chociaż to wiedzieli już wcześniej.

Rozsiadł się na krześle i spróbował wrócić do rozmowy, którą poprzedniego wieczoru odbył z Moreno. Oczyszczył blat biurka, wyciągnął kartkę i papier i zaczął notować, streszczając wszystko z żelazną logiką i systematycznością.

Przynajmniej taki miał zamiar. Kiedy pół godziny później zadzwonił telefon, nadal nad tym tkwił.

To była Moreno.

– Wydaje mi się, że go znalazłam – oznajmiła. – Jeśli jeszcze u siebie jesteś, to wpadnę za jakiś czas, dobrze?

– Za jakiś czas? – zapytał Reinhart. – Daję pani inspektor trzy minuty i ani sekundy dłużej.

Zmiał swoje logiczne notatki w kulę i wyrzucił je do kosza.

Według Van Veeterena temperatura w mieszkaniu była niewiele wyższa niż ostatnio, Marlene twierdziła jednak, że to niebo a ziemia. Zaprosiła go na herbatę i po bratersku podzielili się strudlem jabłko-

wym, który Van Veeteren kupił w cukierni na rynku. Rozmowa za bardzo się nie kleiła i Van Veeteren szybko zdał sobie sprawę, że nie uda mu się ot tak zacząć tematu, który chciał z nią omówić.

– Jak sobie radzisz? – zapytał w końcu. – Finansowo i w ogóle...

Zabrzmiało niezręcznie. Marlene natychmiast się spięła. Bez słowa wyszła do kuchni, ale wróciła po pół minuty.

– Dlaczego pan pyta?

Rozłożył ręce i spróbował przybrać łagodny, rozbrajający wyraz twarzy. Bynajmniej nie przychodziło mu to łatwo, czuł się jak złodziejask przyłapany z sześcioma paczkami papierosów w kieszeniach. Albo prezerwatyw.

– Dlatego, że chcę ci pomóc, oczywiście – przyznał. – Nie owijajmy w bawełnę, jestem w tym beznadziejny.

Najwidoczniej okazało się to bardziej rozbrajające niż miny, bo po krótkim wahaniu posłała mu uśmiech.

– Jakoś sobie radzę – odparła. – Jak na razie... I nie mam zamiaru być dla kogoś ciężarem. Ale cieszę się, że pan jest. Nie ze względu na pieniądze, ale ze względu na Ericha i w ogóle.

Pogłaskała się po brzuchu, a Van Veeteren po raz pierwszy dostrzegł na nim zaokrąglenie. Wypukłość, która była czymś więcej niż tylko miękko zaokrąglonym kobiecym brzuchem. Poczul, jak kołuje mu się w głowie.

– To dobrze – odpowiedział. – Ja też się cieszę, że jesteś. Myślisz, że teraz już wiemy, jak to między nami jest?

– Myślę, że tak.

Kiedy już miał wychodzić, coś mu się przypomniało.

– Ta karteczka z zapisanym nazwiskiem... Zadzwoń na policję?

Przyłożyła rękę do czoła.

– Zapomniałam – powiedziała. – Zupełnie nie miałam do tego głowy... ale gdzieś ją mam, jeśli chce pan zobaczyć.

Wyszła do kuchni i wróciła z małą kartką w linie, zapewne wyrywana z notesu.

– Zajmę się tym – obiecał Van Veeteren i wetknął karteczkę do kieszeni marynarki. – Nie przejmuj się tym, zadzwonię do Reinharta jutro z samego rana.

Po powrocie do domu zajrzał do książki telefonicznej. W Maardam abonentów o nazwisku Keller było pół strony. Dokładnie rzecz biorąc, dwadzieścioro sześcioro. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Reinharta jeszcze tego wieczoru, ale był już kwadrans po dziewiątej, więc dał sobie spokój.

Pewnie i tak mają pełne ręce roboty, pomyślał. Nie mogę ich bez przerwy naciskać.

Moreno pojawiła się dopiero po czterdziestu pięciu minutach. W międzyczasie Reinhart zdążył wypić trzy kubki kawy i wypalić podobną porcję tytoniu, a wszystko to razem przyprawiło go o lekkie mdłości.

– Musisz mi wybaczyć – powiedziała Moreno. – Najpierw musiałam przegryźć kanapkę i wziąć prysznic.

– Wyglądasz jak młoda Wenus – odparł Reinhart. – Dobra, co tam masz?

Moreno zdjęła kurtkę, otworzyła okno, a potem usiadła naprzeciwko niego.

– Lekarz – powiedziała. – To może być on... choć po tym, jak do ciebie zadzwoniłam, zaczęłam mieć wątpliwości. To może być ślepy trop.

– Daj spokój. Kto to taki i skąd wiesz, że to on?

– Nazywa się Clausen. Pieter Clausen. Nie rozmawiałam z nim... wygląda na to, że zniknął.

– Zniknął?

– Może to za dużo powiedziane. Trudno się z nim skontaktować, a dziś nie było go w szpitalu, mimo że miał być.

– W Rumfordzie?

– Tak, w nowym szpitalu Rumford. Cały zeszły tydzień był na chorobowym, ale dziś miał wrócić do pracy... dziś rano. Ale nie wrócił.

– Skąd wiesz? Z kim rozmawiałaś?

– Z doktorem Leissnem, ordynatorem interny. To jego szef. Rzecz jasna nie podzieliłam się z nim swoimi podejrzeniami... to znaczy nie mówiłam, kogo tak naprawdę szukamy i tak dalej, ale pomyślałam sobie... pomyślałam, że coś jest na rzeczy. Leissne był niewątpliwie za-

niepokojony. Jego sekretarka całe przedpołudnie dzwoniła do tego Clausena, ale nie odpowiadał. A nikt ze współpracowników nie wie, gdzie się podziewa. Może za tym chorobowym też coś się kryje, ale to tylko domysły.

– Rodzina? – zapytał Reinhart. – Ma żonę?

Moreno pokręciła głową.

– Mieszka sam. Na Boorkhejm. Rozwiódł się kilka lat temu. W Rumfordzie pracuje od dziesięciu lat i jak dotąd nie było z nim żadnych problemów.

– Aż do teraz.

– Aż do teraz – powtórzyła zamyślona Moreno. – Chociaż nie ma co się nakreślać. Zdążyłam porozmawiać tylko z Leissnem i jedną pielęgniarką z oddziału. Cała sprawa wyszła na jaw dopiero wpiątą piątą.

– A w jaki sposób wyszła na jaw?

– Sekretarka przyszła i powiedziała, że ordynator chce ze mną rozmawiać. Właśnie skończyłam przesłuchiwać jednego z tych.

Sięgnęła do torebki i wyjęła na biurko trzy kasety.

– Aha. Masz o nim coś więcej?

Moreno podała mu dokumenty. Reinhart przez chwilę mu się przyglądał.

Dane osobowe. Dotychczasowe miejsca pracy, kwalifikacje. Czarno-białe zdjęcia mężczyzny około trzydziestu pięciu lat... krótko ostrzyżone, ciemne włosy. Wąskie usta, pociągła twarz. Niewielkie znamię na policzku.

– Wygląda przeciętnie – stwierdził. – To stare zdjęcie?

– Chyba sprzed pięciu–sześciu lat – odparła Moreno. – Teraz jest nieco po czterdziestce.

– Ma dzieci? Na przykład z tego poprzedniego związku?

– Leissnemu nic o tym nie wiadomo.

– Kobiety? Narzeczona?

– Nie wiadomo.

– I jak dotąd nic nie przeszkrobał?

– Przynajmniej w rejestrach nic nie ma.

– A była żona?

Moreno wstała i zamknęła okno.

– Nie wiem. Nie wiedzieli nawet, jak się nazywała. Mam jednak nazwisko jego kolegi, który według Leissnego będzie nam mógł powiedzieć coś więcej. Widocznie spotykał się z Clausenem prywatnie.

– I co powiedział?

– Nic. Na razie odezwała się tylko jego automatyczna sekretarka.

– Cholera – westchnął Reinhart.

Moreno spojrzała na zegarek.

– Wpół do ósmej – powiedziała. – Może pojedziemy i rzucimy okiem? To znaczy na Boorkhejm. Mamy przecież adres.

Reinhart stuknięciem opróżnił fajkę i wstał.

– To na co czekasz? – zapytał.

W drodze na Boorkhejm złapał ich deszcz ze śniegiem, który sprawił, że ponure przedmieścia wyglądały jeszcze bardziej ponuro. Chwilę zajęło im znalezienie Malgerstraat i kiedy Reinhart zaparkował przed numerem siedemnastym, współczuł ludzkości jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Tutaj musi być trudno znaleźć sens życia, pomyślał. W tych szarych pudełkach w tym przygnębiającym klimacie. Ulica zapomniana przez Boga. Szaro, mokro i niemiło.

Mimo wszystko była to klasa średnia. Wzdłuż szeregu domków stał sznur podobnych do siebie japońskich samochodów, a w co trzecim oknie jarzyła się niebieska poświata telewizora.

Pod siedemnastką było jednak ciemno. Zarówno na parterze, jak i na piętrze. Dom stał w szeregu dwupiętrowych klocków z szarej, a może brązowej cegły. Przed nim znajdował się ogródek o powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych oraz asfaltowany wjazd do garażu. Do tego podmokła, zachwaszczona rabatka i skrzynka na listy okuta czarnym metalem.

Reinhart zgasił silnik i przez chwilę siedzieli, wpatrując się w dom. Potem wysiadł i podniósł klapkę skrzynki na listy. Była zamykana na zamek, ale przez otwór było widać kilka gazet i sporo listów. Skrzynka była pełna, Reinhart stwierdził, że trudno będzie do niej wetknąć kolejną gazetę. Wrócił do samochodu.

– Chcesz zadzwonić? – zapytała Moreno.

– Nie bardzo mam na to ochotę – odparł. – Zresztą chyba nie ma to większego sensu.

Mimo to Moreno wysiadła i podeszła do drzwi. Nacisnęła dzwonek i odczekała pół minuty. Potem nacisnęła jeszcze raz. I nic. Wróciła do Reinharta, który wciąż stał przy samochodzie i palił fajkę, którą z powodu deszczu obrócił do góry nogami.

– Co robimy? – zapytała.

– Przeszukanie jutro przed południem – zdecydował Reinhart. – Facet ma dwanaście godzin, żeby się pojawić.

Wsiedli do wozu, żeby wydostać się z przedmieść.



## 31

– Kto? – spytał starszy posterunkowy Klempje, upuszczając gazetę. – Oj! Chciałem powiedzieć: dzień dobry, panie komisarzu!

Wstał i ostentacyjnie się uklonił.

– Nie, nie ma go tu, ale widziałem Krausego przed dosłownie dwiema sekundami. Zawołać go?

Wystawił głowę na korytarz i udało mu się przyciągnąć uwagę aspiranta Krausego.

– *Komisarz* – syknął, kiedy Krause się zbliżył. – Przy telefonie! *Komisarz!*

Tamten wszedł do środka i chwycił słuchawkę.

– Krause przy telefonie. Dzień dobry, panie *komisarzu*. O co chodzi?

Słuchał i notował przez prawie minutę, po czym życzył *komisarzowi* miłego dnia i odłożył słuchawkę.

– Czego chciał? – spytał Klempje, drapiąc się palcem w ucho.

– Nie twoja sprawa – odparł Krause i wyszedł.

Pieprzony buc, pomyślał Klempje. Tak się dziękuje za pomoc.

Załatwienie nakazu przeszukania zajęło kilka godzin, ale już o dziesiątej byli na miejscu przy Malgerstraat 17. Reinhart, Moreno, Jung oraz samochód z czterema technikami i sprzętem wartym ćwierć miliona guldenów. Jak już robić, to porządnie, stwierdził Reinhart.

Dzwonił do Clausena dwa razy na godzinę, od wpół do siódmej. Rotha, deBriesa i Bollmerta wysłano do szpitala Rumford, żeby zebrać więcej informacji. Co więcej, przed dziesięcioma minutami przestało padać. Wszystko było gotowe na wielki przełom.

– Za dnia okolica wygląda nieco lepiej – powiedział Reinhart. – Czas zaczynać.

Jeden z techników rozbroił zamek w ciągu trzydziestu sekund, po

czym Reinhart wszedł do środka jako pierwszy. Rozejrzał się dokoła. Przedpokój, kuchnia i duży salon na parterze. Wszystko wyglądało pospolicie; wewnątrz nie grzeszyło czystością. W kuchennym zlewie kilka nieumytych kubków, szklanek i sztućców. W salonie komplet sof, regały z teaku, sprzęt muzyczny i solidna szafa z czegoś, co wyglądało na czerwony dąb. Telewizor bez wideo, ale za to z wyraźną warstwą kurzu. Na szklanej, jasnoszarej ławie miska z trzema jabłkami i paroma pomarszczonymi winogronami. Obok jednego z foteli leżący na podłodze „Neuwe Blatt” z czwartku zeszłego tygodnia.

Czwartek? – pomyślał. Minęły cztery dni. W tym czasie można kilka razy polecieć na księżyc.

Wszedł po schodach na piętro. Jung i Moreno kroczyli tuż za nim, a technicy wnosili sprzęt, nie wchodząc dalej niż do przedpokoju.

Trzy pokoje na piętrze, z których jeden służył za gabinet z biurkiem, komputerem i kilkoma chwiejnymi regałami, drugi za zwykłą graciarnią, a trzeci był sypialnią. Reinhart wszedł do ostatniego pomieszczenia i się rozejrzał. Duże podwójne łóżko z sosnowym wezłowiec. Pościel rozłożona niedbale, w typowy dla mężczyzny sposób – na zmięte poduszki i kołdry rzucona kolorowa kapa w kratę. Na ścianie kopia van Gogha, która raczej nie wskazywała na szczególne zainteresowanie sztuką. Reinhartowi wydawało się, że widział już ten motyw na puszkach z kawą. Ubrania poniewierały się po podłodze wokół plastikowego brązowego kosza na pranie, który więcej nie zmieścił. Na obu pomalowanych na biało krzesłach wisiały koszule i swetry. Dwie książki, telefon, radio z budzikiem na jednym ze stolików nocnych, wyschnięty kaktus na parapecie między do połowy zaciągniętymi firankami, rząd ciemnych plam na beżowym dywanie.

Reinhart machnął w stronę Junga i wskazał na podłogę.

– Tu. Powiedz im, żeby zaczęli stąd.

Kiedy technicy wnosili sprzęt, Reinhart i Moreno przeszli przez kuchnię do garażu. Stało tam czerwone audi, na oko kilkuletnie, równie przeciętne jak reszta domu. Reinhart chwycił klamkę. Drzwi nie były zamknięte na kluczyk. Pochylił się i zerknął do środka – najpierw na przednie siedzenie, potem na tylne. Wyprostował się i skinął

na Moreno.

– Kiedy skończą na górze, niech rzucają okiem na to.

Zostawił drzwi otwarte, a Moreno zajrzała do środka.

– To może być cokolwiek – powiedziała. – Niekoniecznie krew...  
Czy tu, czy w sypialni.

– Bzdury wygadujesz – odparł Reinhart. – Jasne, że to krew. Rozpoznaję po zapachu. Niech to szlag, mamy go!

– Naprawdę? Chyba jednak przeoczyłeś jeden szczegół.

– Jaki?

– Nie ma go w domu. Od czwartku, zdaje się.

– Dzięki, że mi przypomniałaś. Chodź, odwiedzimy sąsiadów.

Reinhart i Moreno zostali w Boorkhejm do wpół do pierwszej, a więc do momentu, w którym szef techników, podinspektor Puijdens, w końcu ze stuprocentową pewnością potwierdził, że w sypialni i czerwonym audi, zarejestrowanym na Pietera Clausena, faktycznie są plamy krwi. Żeby sprawdzić, czy to krew człowieka i czy ewentualnie pochodzi od tej samej osoby, trzeba było poczekać jeszcze kilka godzin.

Ustalenie, czy krew należała do Very Miller, miało zająć popołudnie i wieczór.

– Chodź – powiedział Reinhart do Moreno. – Nie mamy tu nic więcej do roboty. Jung niech gada dalej z sąsiadami, miejmy nadzieję, że znajdzie kogoś, kto nie jest głuchy i ślepy. Chcę się teraz dowiedzieć, jak idzie robota w szpitalu. Czy ktoś może nam powiedzieć, gdzie ten bydlak się podział. Jeśli krew się zgadza, to facet jest już powiązany z morderstwem!

– Raczej z morderstwami – dodała Moreno, wsiadając do samochodu.

– Czepiasz się – fuknął Reinhart. – Gdzie on jest? Gdzie się podziwiał od czwartku? Wysł szare komórki.

– Dobra – odparła Moreno i przez całą drogę do komendy była pogrążona w myślach.

– Położenie miednicowe – powiedział doktor Brandt. – Pierwiastka.

Trochę trwało, proszę wybaczyć, jeśli musiał pan czekać.

– Tak to bywa z położeniem miednicowym – stwierdził Rooth. – Wiem, bo sam się urodziłem w ten sposób.

– Naprawdę? Ale pewnie był pan wtedy mniejszy. O czym chciał pan porozmawiać?

– Może zeszlibyśmy do kawiarni? – zaproponował Rooth. – Zapraszam na kawę.

Doktor Brandt wyglądał na około czterdzieści lat, był niski i szczupły, ale poruszał się z młodzieńczą werwą, przypominając Roothowi szczeniaka. Ostatnim razem rozmawiał z nim Jung. Rooth nie poświęcił chwili, żeby odsłuchać nagranie, ale wiedział, że Brandt nie wspomniał nic o doktorze Clausenie. To znaczy zakładając, że Jung nie przysnął przy odsłuchiowaniu rozmowy.

Ale teraz chodziło o Clausena, tylko o niego. Kiedy usiedli przy chwiejnym stoliku z rattanu, Rooth przeszedł od razu do rzeczy.

– Pana dobry przyjaciel. Doktor Clausen. Nim się interesujemy.

– Clausenem? – spytał Brandt, poprawiając okulary. – Dlaczego?

– Dobrze pan go zna?

– Hmm... – Brandt rozłożył ręce. – Czasami się spotykamy. Znam go ze szkoły, chodziliśmy razem do liceum.

– Świetnie. Może pan o nim opowiedzieć?

Doktor Brandt spojrzał podejrzliwie na Rootha, marszcząc czoło.

– Już raz policja mnie przesłuchiwała.

– Ale nie w związku z Clausenem, prawda?

– Nie. I ciężko mi zrozumieć, dlaczego zbieracie o nim informacje. Dlaczego po prostu z nim nie porozmawiacie?

– Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy – odparł Brandt. – Będzie łatwiej, jeśli ja będę zadawał pytania, a pan będzie na nie odpowiadał. Tak więc pana kolej!

Brandt ostentacyjnie milczał przez chwilę, mieszając kawę. Ty akuszerski cwaniaczku, pomyślał Rooth i ugryzł kanapkę z szynką.

– Nie znam go zbyt dobrze – odparł w końcu Brandt. – Od czasu do czasu spotykamy się w grupie... Taka paczka z liceum. Z Elementaar. Mówimy na siebie aniołki Verhoutena.

– Aniołki kogo...?

– Verhoutena. Naszego nauczyciela od matematyki z Elementaar. Charles Verhouten, niezły dziwak, ale go lubiliśmy. Poza tym porządny pedagog.

– Ach tak. – Rooth zaczął się zastanawiać, czy doktorek z naprzeciwka ma równo pod sufitem. Tak czy owak, nie chciałbym być dzieckiem, którego poród by odbierał, pomyślał.

– Choć najczęściej mówimy na siebie Bracia. Jest nas sześciu i za zwyczaj wychodzimy razem, żeby coś zjeść i pogadać. Ale mamy też swoje rytuały.

– Rytuały?

– Nie na serio. Dla zabawy.

– A, rozumiem. Jakież kobiety?

– Nie, sami faceci. Wtedy można się poczuć nieco swobodniej.

Spojrzał wymownie na Rootha znad okularów. Rooth, odwzajemniając się tym samym, zachował kamienną twarz.

– Rozumiem, ale nie obchodzą nas teraz inne aniołki, tylko Clausen. Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Brandt wyglądał na nieco oburzonego. Podrapał się jednak po głowie, jakby się zastanawiał.

– Jakiś czas temu – odparł. – Mieliśmy spotkanie w piątek... w Canaille na Weivers Plejn, ale Clausen nie mógł przyjść, bo zachorował. Nie widziałem go chyba od miesiąca. No, od poprzedniego spotkania...

– Nie widujecie się w szpitalu?

– Bardzo rzadko. Pracujemy daleko od siebie. On w bloku C, a ja, jak pan wie, tu, na porodówce.

Rooth zastanawiał się przez chwilę.

– A jak wyglądają jego relacje z kobietami? – spytał. – Pan jest żonaty?

Doktor Brandt potrząsnął gwałtownie głową.

– Jestem kawalerem – odpowiedział. – Clausen był przez kilka lat żonaty, ale małżeństwo mu nie wyszło. Rozwiedli się. Chyba cztery albo pięć lat temu, jeśli dobrze pamiętam.

– A czy ostatnio miał jakieś kobiety? Spotykał się z kimś albo coś w tym rodzaju?

Nagle Brandt zrozumiał, o co Roothowi chodzi. Zdjął okulary. Demonstracyjnie je złożył i wsunął do kieszonki na klatce piersiowej. Przechylił się do przodu, próbując przewiercić Rootha swoimi krótkowzrocznymi oczami.

Powinieneś trzymać szkła na nosie, doktorku, pomyślał Rooth, wypijając ostatni łyk kawy. Miałbyś łatwiej.

– Inspektorze... Jak ma pan na nazwisko?

– Poirot – odparł Rooth. – Żartuję. Nazywam się Rooth.

– Szanowny panie inspektorze Rooth – powiedział Brandt niewzruszony. – Nie podoba mi się wysłuchiwanie pańskich insynuacji o moim dobrym koledze z pracy i przyjacielu. Mówię poważnie. Mogę pana zapewnić, że doktor Clausen nie ma z tym nic wspólnego.

– Z czym?

– No, z tą pielęgniarką, którą zamordowano. Proszę nie myśleć, że mnie pan przechytrzy. Dobrze wiem, o co panu chodzi. I jest pan w wielkim błędzie. Ona nawet nie pracowała w naszym szpitalu, a Clausen naprawdę nie jest typem, który ugania się za kobietami.

Rooth westchnął, po czym sprowadził rozmowę na inne tory.

– A czy wie pan coś o jego krewnych?

Brandt odchylił się do tyłu, jakby się zastanawiał, czy w ogóle odpowiedzieć. Jego wąskie nozdrza poruszały się, jak gdyby chciał nimi wywęszyć decyzję.

– Ma siostrę. Wydaje mi się, że starszą o kilka lat. Mieszka gdzieś za granicą.

– A dzieci?

– Nie ma.

– A ta kobieta, z którą był żonaty? Jak się nazywa?

Brandt wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam. Chyba Marianne... albo jakoś tak.

– A nazwisko?

– Nie mam pojęcia. Oczywiście Clausen, jeśli przyjęła jego... choć teraz kobiety niekoniecznie tak robią. Zresztą wróciła pewnie do pańskiego. Nigdy jej nie poznałem.

Rooth zastanawiał się, walcząc z kawałkiem szynki, który utknął mu między dolnymi zębami trzonowymi.

– A czemu nie ma go dzisiaj w pracy?

– Kogo?

– Clausena, oczywiście.

– Nie ma go? A skąd mam wiedzieć czemu? Pewnie wziął urlop. Albo wciąż jest na chorobowym. Pewnie złapał grype, niektórym się wydaje, że jak już ktoś jest lekarzem, to nie imają się go żadne choroby...

– Clausen zniknął – przerwał mu Rooth. – Nie ma pan lepszego wyjaśnienia?

– Zniknął? Jakaś bzdura. Nie ma mowy, żebym w to uwierzył. Nie mógł ot tak zniknąć.

Rooth obrzucił go gniewnym spojrzeniem i włożył do ust ostatni kęs kanapki, mimo że kawałek szynki wciąż nie dawał się usunąć.

– A te pozostałe aniołki... z waszego małego klubu? Czy któryś zna Clausena nieco lepiej?

Doktor Brandt wyjął okulary z kieszonki i założył je z powrotem.

– Może Smaage.

– Smaage? Mógłby pan podać mi jego adres i telefon?

Brandt wyciągnął mały notes i po chwili Rooth otrzymał dane wszystkich kolegów. Wyjął kostkę cukru z cukierniczki na stole, zastanawiając się, jak podziękować za pomoc.

– Dobra, koniec. Chyba czas na pana, porody czekają... Nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Aniołki Verhoutena? Dajcie spokój, pomyślał.

– Dziękuję – odparł Reinhart. – Dziękuję za pomoc, panie dyrektorze.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Moreno, robiąc przy tym minę przypominającą ponury uśmiech.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała Moreno. – Chyba widzę zadowolone na pysku psa gończego.

– Nie bez powodu – zaczął Reinhart. – Zgadnij, kto w czwartek pobrał ze Spaarkasse dwieście dwadzieścia tysięcy!

– Clausen?

– Bingo, żeby zacytować jedną z jego ofiar. Pobrał pieniądze chwilę po lunchu w biurze na Keymer Plejn. Gotówkę, rozumiesz?! Dwieście

dwadzieścia tysięcy... Każdy kawałek układanki wskakuje na swoje miejsce.

Moreno pogrzyła się w myślach.

– W czwartek? Dzisiaj jest wtorek.

– Wiem o tym. Cholera wie, co się stało i gdzie się podział. Ale list gończy już rozesłany, prędzej czy później będziemy go mieli.

Moreno zagryzła wargę, jakby z powątpiewaniem.

– Nie jestem pewna. Po co mu była gotówka?

Reinhart zawahał się, gapiąc się na swoją fajkę.

– W banku opowiedział o jakimś jachcie. Łatwo się domyślić... Chciał, oczywiście, zapłacić szantażyście.

– I zakładasz, że to zrobił? – dociekała Moreno. – Dlaczego więc zniknął?

Reinhart niezadowolony wpatrywał się w stosy kaset, które wciąż leżały na biurku.

– Oświeć mnie!

Moreno milczała przez chwilę, ssąc ołówek.

– Jeśli postanowił zapłacić... – powiedziała w końcu. – I rzeczywiście zapłacił... to raczej nie ma powodu, żeby uciekać i się ukrywać? Musiało się zdarzyć coś jeszcze. Nie wiem co, ale to wszystko wydaje się nielogiczne. W każdym razie nie zapłacił ot tak, po prostu. Boże, przecież dwieście tysięcy to nie byle jaka suma.

– Dwieście dwadzieścia – mruknął Reinhart. – Zgadza się, masz rację. Ale jak tylko go złapiemy, to chyba usłyszymy wyjaśnienie.

Ktoś zapukał do drzwi i do środka wszedł Rooth z ciastem czekoladowym w ręce.

– Pokój – powiedział. – Chcecie posłuchać o położniku i aniołkach?

– Czemu nie? – westchnął Reinhart.

Zrelacjonowanie rozmowy z doktorem Brandtem zajęło Roothowi kwadrans. Reinhart notował, słuchając, następnie nakazał Roothowi przesłuchać pozostałych „braci”, żeby zdobyć więcej informacji na temat charakteru Pietera Clausena oraz tego, co robił i mówił w ostatnim miesiącu.

– Spróbuj też skontaktować się z Jungiem i deBriesem – dodał Rein-



hart. – Żebyście byli gotowi do wieczora. Na pierwszy rzut idzie oczywiście ten Smaage.

Rooth skinął głową i wyszedł. W drzwiach zderzył się z Krausem.

– Macie czas? – spytał Krause. – Sprawdziłem pewną informację po południu.

– Tak? – spytał zdziwiony Reinhart. – Jaka?

Krause usiadł obok Moreno i nieco przesadnym ruchem otworzył notatnik.

– Od Van Veeterena. Zadzwoił przed południem i dał mi wskazówkę.

– Wskazówkę? – Reinhart nie wierzył własnym uszom. – *Komisarz* zadzwonił i dał ci wskazówkę?

– Owszem – odparł Krause, nie kryjąc dumy. – Podkreślał, że to może nieważne, mimo wszystko sprawdziłem.

– Możesz przejść do rzeczy czy najpierw trzeba cię poczęstować lodami? – przerwał mu Reinhart.

Krause odchrząknął.

– Chodzi o nazwisko. Narzeczona Ericha Van Veeterena, czyli Marlene Frey... Znalazła nazwisko na karteczce, o której zapomniała nam powiedzieć. Dopiero przed kilkoma dniami.

– Jakie nazwisko? – spytała Moreno spokojnym tonem, zanim Reinhart znów zdążył mu przerwać.

– Keller – odparł Krause. – Pisz się tak, jak słyhać. Na karteczce było tylko nazwisko. Wydaje się, że Erich zapisał je pośpiesznie na kilka dni przed swoją śmiercią, a w jego notesie tego nazwiska nie było. W książce telefonicznej z obszaru Maardam widnieje tylko dwudziestu sześciu Kellerów. Ich właśnie sprawdziłem... Przynajmniej dlatego, że *komisarz* prosił, bym to zrobił. Ekhm.

– I? – spytał Reinhart.

– Myślę, że jeden z nich może być dla nas interesujący.

Reinhart przechylił się do przodu i zgrzytnął zębami.

– Który? I dlaczego może jest interesujący?

– Nazywa się Aron Keller. Pracuje na ortopedii w Rumfordzie... w pracowni protez, jeśli dobrze zrozumiałem. Też mieszka na Boorkhejm.

Reinhart otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Moreno go uprzedziła.

– Rozmawiałeś z nim?

Mogłaby przysiąc, że Krause zrobił celową pauzę, zanim odpowiedział.

– Nie. Nie wiedzą, gdzie jest. Nie pojawił się w pracy od piątku.

– Niech to szlag! – krzyknął Reinhart i strącił na podłogę osiemnaście kaset.

– Mieszka na Malgerstraat trzynaście – dokończył Krause.

Wyrwał kartkę z notatnika, podał ją inspektor Moreno i wyszedł z pokoju.

Przeszukanie mieszkania Arona Kellera przy Malgerstraat 13 ruszyło prawie o tej samej porze, o której dzień wcześniej przeszukano mieszkanie pod siedemnastką.

Zgodnie z przypuszczeniami robota poszła dość szybko. Technicy zakończyli pracę około wpół do pierwszej i od tego momentu obecność Reinharta i Moreno była w tym miejscu zbyteczna. Mimo to zostali jeszcze kilka godzin, żeby – o ile to możliwe – znaleźć (Reinhart nalegał: „I żadnego sprzętu, tylko pięć cholernych zmysłów, pani inspektor!”) choćby ślad, który mógłby im podpowiedzieć, co się stało z samotnym lokatorem. I gdzie się podział.

Zadanie nie było łatwe. Wszystko wskazywało na to, że Keller nie pojawił się w domu od piątku. Mógł zresztą wyjść albo zniknąć już w czwartek w nocy. Wprawdzie nie prenumerował żadnej gazety, ale w metalowej skrzynce po wewnętrznej stronie drzwi zalegała niewyjęta poczta, a kwiaty w doniczkach w sypialni i w kuchni wyschły i do połowy zwiędły. Dwa duże hibiskusy stojące w wykuszu wychodzącym z sypialni radziły sobie lepiej, ale to dzięki systemowi nawadniania, do którego wodę wystarczyło wlać raz w tygodniu.

Tak przynajmniej twierdziła Moreno, która w swoim dwupokojowym mieszkaniu na Falckstraat miała podobne urządzenie.

Ponadto w mieszkaniu panował niemal idealny porządek. Żadnych brudnych naczyń w kuchni. Żadnych walających się ubrań w sypialni czy w jakimkolwiek innym miejscu. Żadnych gazet, pełnych popielniczek, drobnych przedmiotów na niewłaściwym miejscu. Niewiele książek na regale, kasy i płyty CD (trzy czwarte z gatunku country, który napełniał Reinharta obrzydzeniem, reszta to popowe szlagiery w tanich wydaniach) stały w równych rzędach. Dwie pary wypastowanych butów w szafce w przedpokoju, kurtka i płaszcz na wiesz-

ku... I biurko wyglądające jak eksponat na wystawie sklepu z materiałami biurowymi. Podobnie szafy, szuflady i komody. Jedyne, czego Reinhartowi brakowało, to etykiet informujących, gdzie każdy z przedmiotów się znajduje... Choć jeśli od dwudziestu lat nic się nie zmieniło, żadne etykiety nie są potrzebne, uznał po namyśle.

Poza tym, że był przewrażliwionym pedantem, Aron Keller zdawał się interesować sportem. Szczególnie piłką nożną i lekkoatletyką. Za-szczytne miejsce na regale zajmowały książki o piłce nożnej (roczniki z czerwonymi i zielonymi grzbietami sięgające aż do 1973 roku), a roczniki miesięcznika „Front Sportu” tworzyły stos w skrzynce po piwie w jednej z szaf. Ostatni numer leżał na stole w kuchni, z czego można było wywnioskować, że towarzyszył Kellerowi przy śniadaniu. Do takiego przynajmniej wniosku doszedł Reinhart, wydając z siebie pomruki poirytowania.

Obok telefonu na biurku w sypialni leżał notes z danymi dwudzie-stu dwóch osób. Trzy z nich nosiły nazwisko Keller, ale żadna nie mieszkała w Maardam (dwie były z Linzhuisen, jedna z Haaldam), dlatego Reinhart postanowił odłożyć ustalenie powiązań rodzinnych.

– Facet musi mieć kwadratową głowę – powiedział. – Nie będzie najmniejszych problemów ze znalezieniem go.

Moreno nie skomentowała tych słów.

Mimo braku śladów zostali tam do trzeciej. Przeszukali wszystkie szuflady, szafki i kąty, nie wiedząc właściwie, czego szukają. Reinhart znalazł klucz z napisem „Schowek” i spędził godzinę na strychu wśród starych ubrań, butów, rakiet tenisowych, różnych mebli i mnóstwa kartonów z komiksami z lat sześćdziesiątych. Moreno trudno było zrozumieć, dlaczego przeszukują mieszkanie w tak chaotyczny sposób, ale nie reagowała. Nie miała pojęcia, do czego to może ich doprowadzić, choć wiedziała, że zrobiłaby tak samo, gdyby to ona decydowała.

– Nie wiadomo, czego się szuka, dopóki się tego nie znajdzie – wytłumaczył Reinhart, dmuchając jej dymem prosto w twarz. – W wielu sytuacjach, pani inspektor, z wyjątkiem tej tu!

– Pan komisarz jest mądry jak pudel – odpowiedziała Moreno. –

A właściwie jak samica pudła.

Nagroda pojawiła się za piętnaście trzecia. Moreno wysypała na podłogę w dużym pokoju zawartość pełnego do połowy kosza na śmieci (stał pod biurkiem – w środku same papiery, żadnych pleśniejących ogryzków, zużytych torebek herbaty albo skórek od banana) i bez entuzjazmu zaczęła je sprawdzać. I wtedy znalazła. *To*.

Zmięta kartkę w linie o formacie A4 wyrwaną z notatnika. Najprawdopodobniej tego samego, który leżał na półce nad biurkiem po prawej stronie. Rozłożyła ją, wygładziła i przeczytała.

Pięć tygodni temu zabił Pan chł

To wszystko. Tylko pięć słów. Pięć i początek kolejnego. Napisa-nych niebieskim atramentem, starannie kaligrafowanymi literami, choć nieco bepcłciowym charakterem pisma. Moreno wpatrywała się w tę krótką, urwaną wiadomość i główkowała przez dwie minuty.

„Chł”? – pomyślała. Co znaczy „chł”?

Czy mogło to być coś innego niż „chłopiec” lub „chłopak”?

Zawołała Reinharta, który zszedł już ze strychu i stojąc z głową we- tkniętą w jedną z szaf w sypialni, kłął.

– Co masz?

– To – odparła Moreno i podała mu kartkę.

Przeczytał i spojrział na nią zmieszany.

– „Chł”? Co, do cholery, znaczy „chł”? „Chłopaka”?

– Prawdopodobnie. Mówiłeś, że brakuje nam pierwszego ogniwa. Wydaje mi się, że właśnie je znaleźliśmy.

Reinhart jeszcze raz spojrział na pogniecioną kartkę i podrapał się po głowie.

– Masz rację. Chodź, czas na konsultacje.

Zebranie trwało krótko, tym razem obyli się bez wina i kanapek. Ekstrawagancje nie były już potrzebne, ponieważ mgła w końcu zaczęła opadać, jak wyjaśnił Reinhart.

Mgła wokół sprawy Erich Van Veeteren/Vera Miller. Nadszedł czas, by mieć oczy szeroko otwarte i działać. Nie potrzeba już było żadnych spekulacji, które zabierały tylko czas. Żadnych teorii ani hipotez, bo

nagle pojęli, o co chodzi i kogo ścigają. Nadszedł czas, żeby... zacisnąć pętlę wokół zainteresowanych.

Wokół Pietera Clausena i Arona Kellera. Mordercy i jego szantażysty. Jedyne kłopot mógł polegać na tym, że kiedy zacisną pętlę, w jej środku nic nie będzie. Tak stwierdził Rooth, zdzierając papier z marcepanowo-orzechowej kulki w czekoladzie.

– No, cholerna sprawa – przyznał Reinhart. – Wciąż daleko do końca, musimy zdawać sobie z tego sprawę, ale nasze domysły okazały się nie takie głupie. Keller miał jakiegoś haka na Clausena i chciał pieniędzy za milczenie. Wysłał młodego Van Veeterena, żeby ten odebrał kasę... Rezultat tego jest znany. Diabli wiedzą, jak była w to zamieszana Vera Miller, ale znaleźliśmy jej włosy, i to nie tylko w mieszkaniu Clausena... I ślady krwi, w sypialni i samochodzie. Wniosek jest jasny jak słońce. Zabił ją w ten sam sposób, w jaki zabił Ericha Van Veeterena.

– Co łączy Kellera z Erichem? – spytał deBries. – Bo coś musi.

– Jeszcze nie wiemy – odparł Reinhart. – Trzeba to sprawdzić. I, jak już wspominałem, to niejedyna rzecz. Clausen i Keller zniknęli. Najprawdopodobniej nikt ich nie widział od czwartku... I wtedy właśnie Clausen wybrał z banku dwieście dwadzieścia tysięcy. Tamtego dnia musiało się coś stać, może późnym wieczorem. Musimy się dowiedzieć co... i musimy ich oczywiście znaleźć.

– Martwych albo żywych – dodał Rooth.

– Martwych albo żywych – powtórzył Reinhart po chwili zastanowienia. – Obaj panowie są podobni, jeśli bliżej im się przyjrzeć. Samotni mężczyźni w średnim wieku, nieszczególnie towarzyscy. Keller jest najwyraźniej prawdziwym wilkiem stepowym. Bollmert i deBries mogą sprawdzić, czy w ogóle ma jakichś znajomych. Jego koledzy z pracy niewiele mieli o nim do powiedzenia, prawda?

– Zgadza się – potwierdził Rooth. – W zakładzie drewnianych nóg pracuje nie więcej niż osiem osób, ale wszyscy uważają, że Keller jest upartym osłem.

– Naprawdę tak powiedzieli? – spytał Jung.

– Bardziej przebierali w słowach – wyjaśnił Rooth. – Ale sens był właśnie taki.

Reinhart puścił w obieg kopię kartki, którą Moreno znalazła w koszu na śmieci.

– Co wam to mówi? – zapytał. – Znaleźliśmy to w mieszkaniu Kellera.

Przez chwilę panowała cisza.

– A więc co znaczy „chł” – spytał Reinhart.

– Chłopiec lub chłopak – powiedział deBries. – Chyba nic innego nie wchodzi w rachubę.

– Ależ oczywiście, że tak – zaprotestował Rooth. – Dużo słów... „chłopczyca”, „chłoporobotnik”, „chłopoman”...

– Chłopoman? – powtórzył zaskoczony Jung. – Co to, do cholery, jest?

– Ktoś, kto przesadnie interesuje się chłopstwem.

– Mądry z ciebie detektyw – przyznał Reinhart. – Ale nie przypominam sobie żadnego zamordowanego... chłopomana. Ani chłopczycy czy chłoporobotnika. Na pewno nie w ostatnim czasie... Owszem, jest parę możliwości, ale założmy, że chodzi o chłopca albo chłopaka, bo to najbardziej prawdopodobne. Wtedy możemy uznać, że Clausen zabił jakieś dziecko albo chłopaka na początku listopada i że to jest punkt wyjścia. Nie wiemy, kiedy dokładnie Keller to napisał, ale jeśli skupimy się na jakimś zdarzeniu z przełomu października i listopada, plus tydzień, to zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

– Chyba nie chodziło o Ericha Van Veeterena? – spytał deBries.

Reinhart zastanowił się przez chwilę.

– Raczej nie. Erich dobiegał trzydziestki. I czas się nie zgadza... „kilka tygodni temu zabił Pan ch”... Nie, wykluczone.

– Dobra – odparł deBries.

– ...chłystek, chłopiek-roztropek... – mamrotał Rooth, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Chłopiec ofiarą? – spytał Jung. – Powinniśmy chyba słyszeć o takim morderstwie w ostatnim czasie? Raczej nie mogliśmy przeoczyć... przynajmniej nie w naszym rejonie.

– Nie musiało się to zdarzyć w Maardam – wtrąciła Moreno. – I niekoniecznie musiało zostać zgłoszone. Mogło to być w szpitalu i Clausen próbował to zamieść pod dywan. I prawie mu się udało.

– Znowu szpital? O nie – powiedział Rooth. – Na samą myśl robi mi się słabo.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Clausen chyba nie jest chirurgiem? – spytał deBries. – Chyba nie przeprowadza operacji?

Reinhart spojrział w dokumenty.

– Internista. Chociaż pewnie i tacy mogą posyłać ludzi do piachu. Na przykład w wyniku niedbalstwa... Trzeba sprawdzić, czy na jego oddziale nastąpiły w tamtym czasie jakieś zgony. Rooth i Jung, wróćcie do Rumfordu. Wystarczy porozmawiać z ordynatorem. I zajrzeć do kart kilku pacjentów.

– Szukamy chłopca, który zmarł niespodziewanie? – spytał Jung.

– Młodego pacjenta płci męskiej, który zmarł w nocy – poprawił go Rooth. – Mimo ogromnych wysiłków. Lekarze trzymają się razem, nie zapominaj o tym... Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty pogadasz z Leisnem. Nie polubiliśmy się za bardzo.

– No co ty? – odparł Jung. – Nie wierzę.

– A co my będziemy robić? – zapytała Moreno, kiedy koledzy wyszli.

Reinhart oparł ręce na blacie i wyprostował plecy.

– Ja mam randkę z jakimś Oscarem Smaagem. Jest sekretarzem aniołków Verhoutena, który odpowiada za zwoływanie ich posiedzeń. Ty zostaniesz tutaj i sprawdzisz zgony w niejasnych okolicznościach. Zaginięcia też... Właściwie nie ma pewności, że sprawa ma związek ze szpitalem, choć wiele na to wskazuje.

– Dobra – odparła Moreno. – Mam nadzieję, że ten Smaage będzie miał coś do powiedzenia, chociaż nie mam zielonego pojęcia, co by to mogło być. Wydaje mi się, że w zasadzie wszystko krąży wokół jednego.

– Wokół czwartku?

– Tak. Co, do diabła, zdarzyło się w czwartek wieczorem? Wydaje się jasne, że miał wtedy przekazać pieniądze. A co ty o tym sądzisz?

– Zapewne – zgodził się Reinhart. – Ciężko uwierzyć, że nie pojawił się ktoś, kto z nimi albo przynajmniej z jednym z nich zamienił parę słów po tym dniu. Trzeba poczekać, co czas przyniesie. Uzbroidź się



w cierpliwość. Czy nie tak dawno ktoś ci właśnie tego nie radził?  
– Chyba się mylisz – odparła Moreno.

Znalezienie tego, czego szukała, zajęło jej nie więcej niż godzinę. W każdym razie instynktownie wyczuła, że trafiła, kiedy na ekranie pojawiło się nazwisko. Serce zabiło mocniej, a włoski na rękach stanęły dęba. Te oznaki zazwyczaj były jasne.

Zewnętrzne oznaki kobiecej intuicji. Albo przynajmniej jej intuicji.

Wim Felders, przeczytała. Urodzony 17.10.1982 r. Zmarły 5.11.1998 r. Ewentualnie 6.11. Znaleziony około szóstej rano przez przejeżdżającego obok rowerzystę na drodze 211 między Maardam a przedmiejskim Boorkhejm. Śledztwo przeprowadzone przez policję drogową (pod kierunkiem komisarza Lintonena) wykazało, że ofiara najprawdopodobniej została potrącona przez samochód i zginęła po uderzeniu o wycementowany rów na poboczu. Poszukiwania prowadzono wszystkimi kanałami medialnymi, ale nikt się nie zgłosił. Żadnych świadków. Żadnych podejrzanych. Żadnych śladów. Sprawca zbiegł z miejsca wypadku i nie poniósł odpowiedzialności.

Pamiętała ten wypadek. Przypomniała sobie, że czytała o nim w gazetach i widziała relacje w telewizyjnych wiadomościach. Szesnastoletni chłopak wracał do domu na Boorkhejm. Szedł z centrum, gdzie odwiedził swoją dziewczynę. Prawdopodobnie nie zdążył na autobus.

Najprawdopodobniej szedł poboczem, pogoda była brzydka, deszcz i mgła, i został potrącony przez kierowcę samochodu, który zbiegł z miejsca wypadku.

To mógł być ktokolwiek.

To mógł być Clausen.

Keller nadjechał po chwili i wszystko zobaczył. Albo siedział obok Clausena. Jeśli się znali... ale dotąd nic na to nie wskazywało.

Wypadek na drodze?

Całkiem możliwe. Kiedy zaczęła się zastanawiać, na ile to prawdopodobne, zrozumiała, że trudno stwierdzić. Może spudłowała, ale nie grało to oczywiście żadnej roli. Trop należy sprawdzić, zanim się urwie.

Intuicyjnie wiedziała, że tak właśnie to wyglądało. Znalazła pierw-

sze ogniwo. Bez wątpienia.

Zobaczyła, że zegarek wskazuje wpół do szóstej, i zaczęła się zastanawiać, co powinna teraz zrobić. Postanowiła wrócić do domu i zadzwonić do Reinharta wieczorem. Gdyby udało się potwierdzić, że Clausen jechał z centrum tamtego dnia i o tamtej porze... a dzięki pomocy dziewczyny Wima Feldersa wiedziano, że do wypadku doszło prawdopodobnie tuż przed dwunastą w nocy, to wszelkie wątpliwości powinny zostać rozwiane.

Udowodnienie, że Clausen jechał wtedy tą drogą, graniczyło z cudem, ale skoro miał już związek z dwoma innymi morderstwami, może to wystarczało.

Ponadto jeśli tamtego wieczoru przebywał w centrum Maardam, chyba kogoś spotkał? Kogoś, kto mógł to poświadczyć.

Tylko nie Verę Miller, pomyślała. Lepiej, żeby to były te aniołki... Jak im tam? Verhoutena?

Jednak ważniejsze od tego wszystkiego było znalezienie Clausena. Nie inaczej.

I Kellera.

Po wyciągnięciu tych wniosków Moreno wyłączyła komputer i pojechała do domu. Jakkolwiek by patrzeć, wykonałam porządną robotę, uznała.

Właśnie skończyła rozmowę z Reinhartem, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi.

Wpół do dziewiątej? – pomyślała. Kto, u licha?

To był Mikael Bau, sąsiad z dołu.

– Masz ochotę coś przegryźć? – spytał. Wyglądał na nieszczęśliwego.

Bau miał około trzydziestu lat i wprowadził się na Falckstraat kilka miesięcy wcześniej. Nie znała go. Wprawdzie przedstawił się, kiedy wpadli na siebie na klatce schodowej, ale później wymieniali już tylko grzecznościowe pozdrowienia. Trzy czy cztery razy. Wyglądał całkiem dobrze, od razu tak stwierdziła. Wysoki, jasnowłosy, o niebieskich oczach. I z uśmiechem, który chyba prawie zawsze gościł na jego twarzy.

Ale teraz miał poważną minę.

– Przygotowałem duszone mięso – dodał. – Taki mniej więcej boeuf bourguignon. Jest już gotowe, więc jeśli nie odmówisz...

– Trochę nagle to twoje zaproszenie – powiedziała Moreno.

– Wiem... Nie planowałem, żeby cię zaprosić, ale moja narzeczona zerwała ze mną, zanim zaczęliśmy jeść. Tylko nie myśl, że...

Nie wymyślił niczego sensownego, żeby dokończyć zdanie. Moreno też nie.

– Chętnie – odparła w końcu. – Właściwie nic dzisiaj nie jadłam. Daj mi tylko kwadrans na prysznic. Mięso ciężko utrzymać ciepłe.

Teraz się uśmiechnął.

– Świetnie. To zejdz za kwadrans.

Wrócił do siebie, a Moreno zamknęła drzwi.

Na tym to polega? – pomyślała, ale od razu pozbyła się tej myśli.

Mikael Bau był nie tylko przystojny, ale też okazał się świetnym ku-

charzem. Moreno pochłaniała główne danie, a cytrynowy sorbet na deser miał tę kwaskowatą lekkość, o której mówią przepisy, ale rzadko można na nią natrafić w rzeczywistości.

Facet, który umie gotować? – pomyślała. Nigdy wcześniej takiego nie spotkałam. Musi mieć trupa w szafie. Miała ochotę zapytać, dlaczego narzeczona z nim zerwała, ale nie znalazła ku temu sposobności, a on do tematu nie powrócił.

Zamiast tego rozmawiali o pogodzie, domu i sąsiadach. I o swoich zawodach. Bau był pracownikiem socjalnym, więc znaleźli nić porozumienia.

– Cholera wie, dlaczego wybrało się ciemną stronę – powiedział. – Nie twierdzę, że mi z tym źle, ale dziś wybrałbym coś innego. A ty dlaczego zostałaś policjantką?

Ewa Moreno zadawała sobie to pytanie tak wiele razy, że już nie była pewna, czy istnieje na nie odpowiedź. Albo istniała. Stało się, co się stało. Po prostu. Podejrzewała, że wielu ludzi ma podobnie. Życie potoczyło się w takim, a nie innym kierunku.

– Wydaje mi się, że wiele zależy od przypadku – powiedziała. – Nie od źle podjętych decyzji. Mamy nad sobą mniejszą kontrolę, niż się nam wydaje. A udawanie, że się ją sprawuje, to jeszcze inna sprawa.

Bau skinął głową, jakby pograżony w myślach.

– Choć ostatecznie dochodzimy chyba tam, gdzie nasze miejsce – stwierdził. – Czytałem niedawno o teorii kul bilardowych. Znasz ją? Każdy z nas, jak jedna z wielu kul, toczy się po równej, zielonej powierzchni. Prędkość i kierunek są ustalone, ale nie sposób przewidzieć, co się zdarzy, kiedy się zderzymy i potoczymy w innym kierunku. Wszystko jest z góry określone, ale nie możemy niczego przewidzieć, po drodze oddziałuje zbyt wiele czynników... no, coś w tym rodzaju.

Przypomniała sobie, co *komisarz* zwykł mówić, i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Pewne schematy – powiedziała. – Mówi się, że istnieją pewne schematy, których nie jesteśmy świadomi... Nie przed faktem. Po nim stają się jasne. To przypomina właściwie policyjne dochodzenie. Im dalej można się cofnąć, tym wszystko staje się klarowniejsze.

Bau skinął ponownie.

– Ale nie można się cofnąć – zauważył. – Nie w życiu. I w tym tkwi problem. Więcej wina?

– Pół lampki.

Kiedy po raz pierwszy spojrzała na zegarek, była za piętnaście dwunasta.

– Boże! Nie musisz wstać wcześniej rano do pracy?

– Tak. My po ciemnej stronie nigdy nie odpoczywamy.

– Dzięki za miły wieczór – powiedziała, wstając. – Następnym razem ja zapraszam, obiecuję. Muszę tylko wykuć parę przepisów.

Bau odprowadził ją do przedpokoju i ostrożnie uścisnął na pożegnanie. Kwadrans później leżała w łóżku, rozmyślając, jak to dobrze mieć fajnych sąsiadów.

Następnie pomyślała o Erichu Van Veeterenie. Pewnie miał tyle lat, co Bau i ona. Może kilka mniej. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej.

A inni?

Vera Miller skończyła trzydzieści jeden, a Wim Felders nie więcej niż szesnaście.

Kiedy wychodzi się poza wąski obszar sąsiedzkich relacji, łatwiej jest z rozpoznaniem innych znaków.

Reinhart obudził się, czując, jak Joanna ciągnie go za dolną wargę. Siedziała mu na brzuchu, uśmiechając się uroczo.

– Tata śpi – mówiła. – Tata się budzi.

Podniósł ją na wyprostowanych rękach. Krzyknęła z zachwytu, opluwając mu twarz strugą śliny.

Dobry Boże, pomyślał. To jest niesamowite! Szósta rano, a życie daje się we znaki!

Zaczął się zastanawiać, dlaczego w pokoju jest tak jasno, ale szybko przypomniał sobie, że córka właśnie nauczyła się zapalać światło i z zapalem trenowała nową umiejętność. Położył ją obok Winnifred i wstał. Zauważył, że w mieszkaniu świeciła się każda lampa, i poszedł je pogasić. Joanna podążyła za nim, mamrocząc coś o misiach.

Albo o kurach. W buzi miała smoczek, więc trudno było zrozumieć, co mówi. Wziął ją do kuchni i zaczął przygotowywać śniadanie.

W trakcie przypomniał sobie, co mu się śniło. Albo co pojawiło mu się w głowie gdzieś między snem a jawą.

Zapomnieli o wszczęciu poszukiwania Kellera.

Niech to szlag jasny trafi, pomyślał. Podniósł Joannę i posadził na krzeselku. Postawił przed nią talerz bananowej papki z jogurtem i poszedł do gabinetu, żeby zadzwonić na komendę.

Minęła chwila, zanim Klempje, który miał dyżur, zrozumiał szczegóły. Dał słowo honoru, że natychmiast zajmie się sprawą.

Nie wiem, czy wiesz, co to honor, pomyślał Reinhart, ale podziękował i odłożył słuchawkę.

Niedbalstwo, pomyślał po chwili. Jak, do cholery, można zapomnieć o czymś tak ważnym?

Dwie godziny później był gotów do wyjścia do pracy. Winnifred właśnie wstała, przypominając wypoczętą boginię. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zostać jednak w domu i się z nią nie pokochać. Właściwie nie było to niewykonalne. Joanna miała niebawem iść spać na godzinę, a opiekunka przychodziła dopiero po lunchu.

Wtedy przypomniał sobie o pracy. Rozchylił szlafrok Winnifred i ją objął. Ugryzła go lekko w szyję. Odwdzieczył się tym samym. Musiało wystarczyć. Włożył płaszcz.

– Będziesz miał wolne, tak jak chciałeś? – zapytała, kiedy stał w drzwiach.

– Nie ma problemu – odparł. – To znaczy, że skończymy za trzy dni. Najpóźniej za trzy dni.

Trochę się oszukiwał, ale robił tak już wcześniej. Byle nie oszukiwała go Winnifred.

Po tym jak Moreno bliżej przedstawiła przypadek Wima Feldersa, Reinhart zadzwonił do Smaagego, z którym rozmawiał poprzedniego popołudnia. Smaage pracował jako redaktor w „Telegraafie”, więc dość łatwo można go było złapać.

– Zapomniałem wczoraj o jednej rzeczy – powiedział Reinhart. – Chodzi o Clausena. Nie mieliście któregoś z tych swoich spotkań... –

Machnął ręką w stronę Moreno, a ta podała mu kartkę z datą – ... piątego listopada? Któregoś ze spotkań aniołków. To był czwartek. Może mi pan pomóc w tej konkretnej kwestii?

– Sekundę – odparł szybko Smaage, po czym Reinhart usłyszał, jak redaktor wertuje kartki. Jedna szansa na dziesięć, ocenił, czekając. Nie więcej. Mimo to był pewien, że by zagrał. – Zgadza się – powiedział po chwili Smaage. – Czwartek, piątego listopada. Poszliśmy do lokalu Bosch. Wszyscy bracia, miły wieczór... A co?

– Wiem, że trudno będzie odpowiedzieć na to pytanie, ale chcielibyśmy wiedzieć, o której Clausen pojechał do domu. Przynajmniej w przybliżeniu.

Smaage zaśmiał się.

– Że co? Nie mam zielonego pojęcia. Wpół do dwunastej, dwunasta, dłużej raczej nie siedzimy. Zakładam, że nie ma sensu pytać, po co wam...

– Dokładnie – uciał Reinhart. – Dziękuję za informację.

Odłożył słuchawkę i wyjął fajkę.

– Czasami mamy szczęście. Zgadza się. Niech mnie trafi, jeśli jest inaczej! Clausen mógł przejechać tego chłopca, godzina się zgadza... To mogło być powodem wszystkiego. Jasna cholera! Smutne, jeśli się o tym pomyśli.

– Co jest smutne? – spytała Moreno.

– Nie rozumiesz? Za całą tą głównianą sprawą stoi zwykły wypadek. Za śmiercią Ericha Van Veeterena. I Very Miller... No i za tym wszystkim, co zdarzyło się od czwartku. Zwykły cholerny wypadek, tylko tyle, a potem efekt domina...

Moreno myślała teraz o wczorajszej rozmowie z sąsiadem. O zbiegach okoliczności i schematach, kulach, które się zderzają albo nie. O nagłych zmianach kierunków... Efekte motyla?

– No – podsumowała. – Ciekawe. Chociaż musimy to sprawdzić dokładniej. To tylko jedna z opcji... Ale też sądzę, że pasuje. Mamy jeszcze ludzi w Rumfordzie? Chyba czas zmniejszyć siły. Przynajmniej w przypadku Clausena.

Reinhart skinął głową. Zapalił fajkę i zaczął szukać w papierach.

– Chodzi o tych dwóch sukinsynów – mruknął. – O Clausena i Kelle-

ra. Dotychczas troje zabitych... I obaj zniknęli. Pieprzona historia.

Dalej przeglądał plik, aż wyciągnął dokument, którego szukał.

– O Kellerze nikt nie miał nic do powiedzenia – stwierdził. – Najwyraźniej prawdziwy dziwak. Idealnie pasuje jako szantażysta, jeśli dobrze się zastanowić... Odpowiedni typ.

Moreno miała wątpliwości co do tak poważnego uproszczenia, ale nie zdążyła ich wyrazić, bo zza drzwi wysunęła się głowa aspiranta Krausego.

– Przepraszam, ale właśnie otrzymaliśmy ważny faks – powiedział

– Jaki faks? – spytał Reinhart.

– Z lotniska – wyjaśnił Krause. – Wygląda na to, że Aron Keller w sobotę po południu wsiadł do samolotu.

– Do samolotu? – zdziwił się Reinhart. – Dokąd?

– Do Nowego Jorku. Odlot z Sechshafen o czternastej pięć. British Airways.

– Do Nowego Jorku? Niech to szlag.



Przez resztę dnia nie działo się nic ponad to, że padał śnieg.

Tak przynajmniej widział to Reinhart. Padał śnieg, a jemu coś wy-  
mykało się z rąk. Godzina za godziną siedział w swoim pokoju i za  
każdym razem, gdy wyglądał na zewnątrz, widział jedynie wirujące  
płatki opadające na miasto. Kilka razy przystanął przy oknie i patrzył.  
Palił fajkę z rękami w kieszeniach i rozmyślał o *komisarzu*. O obietni-  
cy, którą złożył mu na początku śledztwa, i o tym, że był tak bliski jej  
spełnienia.

Czy faktycznie? Może wcale nie był blisko.

I jak sprawa przedstawiała się teraz? Co wydarzyło się między  
Clausenem i Kellerem? Wydawało mu się, że zna odpowiedź, ale nie  
miał odwagi wyciągnąć jej na światło dzienne. Jeszcze nie teraz.  
Może głównie ze względu na *komisarza* i złożoną mu obietnicę... tak,  
jeśli się nad tym zastanowić, to właśnie dlatego.

Tuż po lunchu pojawiła się Moreno, a za nią deBries i Bollmert.  
Rozsiedli się i zaczęli zdawać raport ze swoich postępów w ustalaniu  
kręgu znajomych Kellera. Tak jak się obawiali, takowy nie istniał.  
Nikt wymieniony w znalezionym notesie – czyli żadna z nieco ponad  
tuzina osób, z którymi udało się skontaktować – nie przyznawał się  
do bliskiej znajomości z jego właścicielem. Niektórzy nie wiedzieli na-  
wet, kim był Aron Keller, i nie mieli pojęcia, jakim cudem ich nazwi-  
ska trafiły do notesu. Tylko dwie osoby potwierdziły, że miały z nim  
nieco bliższy kontakt, a były to jego dwie siostry z Linzhuisen. Każda  
z nich szczerze przyznała, że brat był beznadziejnym marudą i samot-  
nikiem, ale że mimo to na zmianę zapraszały go do siebie. Czasami.

Mniej więcej raz do roku. Tak, na Boże Narodzenie.

Czasami przychodził, a czasami nie.

Nie miały za to dużo do powiedzenia na temat jego życia. Był dzi-

wakiem, od kiedy w wieku dziesięciu lat spadł z traktora i uderzył się w głowę. A może już wcześniej. Kiedyś był nawet żonaty, ożenił się z kobietą, która była taką samą zrzędą jak on, ale małżeństwo skończyło się po pół roku. Nazywała się Liz Vrongel i pewnie nie zmieniła nazwiska.

I tyle. Może jeszcze to, że lubił piłkę nożną.

– Hm – stwierdził Reinhart. – Przynajmniej w tym roku nie muszą mu wysyłać zaproszenia na święta. Wygląda na to, że i tak nie przyjdzie.

– Skąd wiesz? – zapytał deBries, który nie znał jeszcze wiadomości przekazanych z lotniska Sechshafen.

– Święta będzie obchodził w Nowym Jorku – westchnął Reinhart. – Skurczybyk. Wrócimy do tego później. A co z tym ostatnim Kellerem z notesu? Wydawało mi się, że było ich troje.

– To jego ojciec – wyjaśnił deBries z grymasem. – Siedemdziesięcioletni pijak z Haaldam. Mieszka w czymś przypominającym dom opieki, przynajmniej czasowo. Od dwudziestu lat nie miał kontaktu z żadnym ze swoich dzieci.

– Przyjemna rodzinka – podsumowała Moreno.

– Prawdziwa sielanka – zgodził się deBries. – Stary potrafi człowieka umęczyć. Może syn wdał się w niego?

– Tak przypuszczam – odparł Reinhart. – Macie coś jeszcze?

– Właściwie tak – wtrącił Bollmert. – Chyba wiemy, skąd Erich Van Veeteren go znał. Aron Keller przez kilka lat pracował jako kurator.

Reinhart wydał z siebie odgłos przypominający warknięcie.

– A niech mnie – powiedział. Toż to skandal, że pozwalają takim typom być kuratorami. Komu, według nich, taki dupek jak Keller może pomóc w wyjściu na prostą... Keller, który jedyną sensowną relację mógł mieć z własnym odkurzaczem?

– Od trzech lat nie miał żadnych podopiecznych – wtrącił deBries. – Choć to marna pociecha. Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy zajmował się Erichem Van Veeterenem, ale to będzie można szybko sprawdzić.

– To dlaczego jeszcze tego nie zrobiliście? – zapytał Reinhart.

– Dlatego, że kazalesz nam tu być o pierwszej – wyjaśnił deBries.

– Aha – odparł Reinhart. – To sorry.

Wstał i przez chwilę patrzył na padający śnieg.

– Zastanawiam się... – powiedział. – Tak, na pewno tak.

– Ale co? – zapytała Moreno.

– Na pewno miał jakiegoś haka na Ericha. W tej branży wręcz trudno tego uniknąć. A potem wykorzystał to, żeby zmusić chłopaka do odbioru pieniędzy. Cholera. Cholera, jasna cholera.

– Rozmawialiśmy już przecież o tym, że szantażyści to podłe typy – przypomniała mu Moreno. – Najwidoczniej Keller nie był wyjątkiem.

Reinhart wrócił na krzesło.

– Zadzwoń i sprawdź, czy był jego kuratorem – powiedział. – Jeśli tak, a na to wygląda, to chyba prawie wszystko będzie jasne. Pojutrze możemy zrobić sobie wolne.

– Dobrze – odparł deBries. – Sam chciałem to zaproponować. Nie miałem wolnego od Wielkanocy – dodał i wyszedł razem z Bollmerem. Reinhart w milczeniu przyglądał się kasetom z nagraniami, które leżały, gdzie leżały, i których już nigdy nie miał odsłuchać. Ani on, ani nikt inny.

– Tyle roboty – wymamrotał, spoglądając na Moreno. – Tyle roboty, do cholery, i tyle zmarnowanego czasu. Jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie, to szepnę Hillerowi słówko na temat twojego urlopu zimą.

– Dajesz.

– Co Keller robił z Clausenem w czwartek wieczorem? Co się tam, do licha, wydarzyło?

– Potrzebuję czasu do namysłu.

– Masz całe popołudnie. Idź do swojego pokoju i popatrz sobie na śnieg. To ułatwia myślenie.

Van Veeteren wyciągnął świeżo zwiniętego papierosa i zapalił go.

– Zatem wiesz, kto to zrobił? – zapytał.

Reinhart przytaknął.

– Owszem, wydaje mi się, że znaleźliśmy właściwą osobę. Nieprzyjemna historia, ale przecież zawsze tak jest. Zaczęło się od wypadku, mniej więcej. Ten cały Pieter Clausen śmiertelnie potracił chłopaka. Uciekł z miejsca wypadku, nieświadomy, że ktoś go zauważył. Może zatrzymał się, żeby sprawdzić, co się stało. To wydaje się prawdopo-

dobne. Tamtego wieczoru wracał do Boorkhejm, podobnie jak niejaki Aron Keller, który zapewne jechał na skuterze. Pogoda była parszywa, padało i wiało, ale Keller rozpoznał Clausena. Są sąsiadami z Boorkhejm. Keller postanowił zarobić na tym, co zobaczył... Mamy tu do czynienia ze wstrętnym bydlakiem, o tym mogę cię zapewnić.

– Szantażyści rzadko kiedy są przyjemniaczkami – odparł Van Veeteren.

– Zgadza się. W każdym razie w tamten wtorek Keller wysłał twojego syna, żeby odebrał pieniądze na Dikken. Nie wiem, czy znasz Kellera, ale przez parę lat zajmował się Erichem jako kurator... nie wiadomo nawet, czy Erich miał dostać za to jakąś zapłatę. Może Keller miał na niego jakiegoś haka. Clausen nie wiedział, kim jest szantażysta, miał już na sumieniu jedno życie, a nie chciał być od kogoś zależny. Zabił więc Ericha, myśląc, że zabija szantażystę.

Zamilkł. Minęło pięć sekund, które Reinhartowi dłużyły się niczym pięć lat. Potem Van Veeteren skinieniem dał mu znak, by kontynuował.

– A potem mamy zabójstwo Very Miller. O nim też chcesz posłuchać?

– Oczywiście.

– Nie wiem, dlaczego Clausen zabił także ją, ale to musi się jakoś wiązać z Kellerem i Erichem. Clausen i Vera Miller mieli romans, od niedawna. Tak, dopiero po jakimś czasie zorientowaliśmy się, o co chodziło. Na motyw szantażu i Arona Kellera naprowadziłeś nas ty, szkoda tylko, że tak późno wkroczyliśmy do akcji. Coś musiało się wydarzyć w czwartek lub w piątek w zeszłym tygodniu. Zapewne wtedy Clausen miał zapłacić całość. Przyznali mu kredyt w banku. Wybrał dwieście dwadzieścia tysięcy gotówką, a potem zniknął.

– Zniknął?

– Wiemy, co to może oznaczać – zauważył sucho Reinhart. – Nie trudno się domyślić, co się mogło stać. Aron Keller wyleciał w sobotę do Nowego Jorku. Nie ma go już w hotelu, w którym się zameldował, wymieniliśmy z nimi kilka faksów. Nie wiem też, gdzie podziewa się Clausen. Ślad po nim zaginął, ale nie wygląda na to, żeby i on zwiął. Jego paszport oraz portfel zostały w domu. Właściwie mam pewną

teorię, a mianowicie, że... że Keller pozbył się Clausena. Zabił go i gdzieś zakopał. Niestety. Obawiam się... obawiam się, że nigdy nie spotkasz się twarzą w twarz z zabójcą syna.

Van Veeteren wypił łyk wina i wyjrzał przez okno. Minęło pół minuty.

– Możemy mieć nadzieję, że wkrótce uda się znaleźć jego ciało – powiedział Reinhart, sam nie wiedząc, czemu to mówi. Jakby to miało przynieść jakąkolwiek ulgę.

Nawiązać znajomość ze zwłokami człowieka, który zabił ci syna? Absurdalne. Makabryczne.

Van Veeteren nie odpowiadał. Reinhart wpatrywał się w swoje dłonie i desperacko szukał odpowiednich słów.

– Mam jego zdjęcie – powiedział w końcu. – Możesz go zobaczyć, jeśli chcesz. Kellera zresztą też.

Wyciągnął z portfela dwie odbitki i podał Van Veeterenowi. *Komisarz* przez chwilę przyglądał się im ze zmarszczonym czołem, po czym oddał je z powrotem.

– A dlaczego Keller go zabił? – zapytał.

Reinhart wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Musiał dostać pieniądze, w przeciwnym razie nie mógłby zwać do Nowego Jorku. Tak mi się przynajmniej wydaje. Oczywiście można snuć różne domysły. Może Clausen w jakiś sposób go zidentyfikował. Keller to dziwak... a wiedział, że Clausen nie cofnie się przed zabójstwem. Strzeżonego pan Bóg strzeże, i tyle. Jeśli Clausen faktycznie wiedział, kim jest szantażysta, to Keller musiał zdawać sobie sprawę z tego, że ryzykuje życie.

Van Veeteren zamknął oczy i powoli pokiwał głową. Minęło kolejne pół minuty ciszy. Reinhart dał spokój rozpaczliwym próbom znalezienia jaśniejszych punktów tej historii i zamiast tego spróbował sobie wyobrazić, jak czuje się teraz *komisarz*. Oczywiście myślał o tym cały czas, mniej więcej, a skupianie się na tym wcale niczego nie ułatwiało. Ktoś morduje ci syna, ot tak, a potem zabójcę likwiduje kolejny sprawca, który sam był w równym stopniu winny śmierci Ericha. Czy też może nie należało na to patrzeć w ten sposób? Czy to miało jakieś znaczenie? Czy takie szczegóły były istotne, jeśli chodziło

o rodzzonego syna?

Na niektóre pytania nie znalazł odpowiedzi. Nawet się do nich nie zbliżył.

W każdym razie, jakkolwiek by na to patrzeć, Erich Van Veeteren był zaledwie pionkiem w grze, z którą nie miał nic wspólnego. Cóż za beznadziejna śmierć, pomyślał Reinhart. Zupełnie niepotrzebna ofiara... jedyną osobą, która mogła zarobić na jego śmierci, był Keller, który – kiedy Clausen miał kolejne życie na sumieniu – na pewno podwyższył cenę za swoją mroczną wiedzę.

Co za nieprzyjemna sprawa, pomyślał Reinhart po raz pięćdziesiąty tego ponurego dnia. Reżyser z piekła rodem uderzył na nowo.

– Co zamierzacie zrobić? – zapytał Van Veeteren.

– Przesłaliśmy do Stanów akta Kellera – odparł Reinhart. – Oczywiście. Może ktoś tam pojedzie, jeśli będzie trzeba. Choć to duży kraj, a facet ma pieniądze. Na pewno starczy mu ich na jakiś czas.

Van Veeteren wyprostował się i kolejny raz wyjrzał przez okno.

– Porządnie pada śnieg – powiedział. – Tak czy inaczej, bardzo dziękuję, zrobiliście, co mogliście. Będziemy w kontakcie, chciałbym wiedzieć, jak wam idzie.

– Zrozumiałe – odparł Reinhart.

Kiedy zostawił *komisarza* przy stole, po raz pierwszy od dwudziestu lat poczuł, że zbiera mu się na płacz.

Środę wieczór oraz pół czwartku spędził w starej secesyjnej willi na Deijkstraakvarteren. Krantze kupił całą prywatną bibliotekę po zmarłym; cztery i pół tysiąca tomów, które trzeba było sprawdzić, wycenić i zapakować do pudeł. Jak zwykle posługiwali się trzema kategoriami: książki o wątpliwej wartości, które trudno opchnąć (sprzedawane na wagę); te, które będą zdobić półki antykwariatu, dopóki w przyszłości ewentualnie nie trafi się na nie kupiec (z racji na ograniczoną przestrzeń mogło ich być góra dwieście–trzysta), oraz te, które najchętniej widziałby u siebie (najwyżej pięć, z czasem bowiem nauczył się przekładać kwestie moralne na konkretne liczby).

Chodzenie po tym starym mieszczańskim domu (o ile dobrze odczytał ich drzewo genealogiczne, członkowie rodu od wielu pokoleń byli prawnikami i sędziami sądu apelacyjnego) i kartkowanie książek było całkiem przyjemnym zajęciem. Nie mogło im też zabrać mniej czasu, ponieważ dziedziczny artretyzm Krantzego uniemożliwiał mu każdą pracę z wyjątkiem tej wykonywanej na siedząco. Lub stojąco. Oczywiście jednak Krantze najpierw upewnił się, że nabyty księgozbiór nie zawiera pism naukowych z siedemnastego i wczesnego osiemnastego wieku, jako że w jesieni życia ta wąska dziedzina stała się jego prawdziwą (i jedyną, musiał niestety stwierdzić Van Veeteren) pasją.

Po skończeniu pracy w środę zjadł nędzny samotny obiad i obejrzał stary film De Siki na kanale czwartym, a później czytał przez kilka godzin. Po raz pierwszy po śmierci Ericha poczuł, że może skupić się na takich czynnościach. Nie wiedział, czy miało to coś wspólnego z jego ostatnią rozmową z Reinhartem. Może tak, może nie. A jeśli tak, to dlaczego? Przed zaśnięciem leżał przez chwilę, podsumowując ten fatalny przebieg zdarzeń, który doprowadził do śmierci Ericha. I do tego, że ta pielęgniarzka podzieliła jego los.

Próbował wyobrazić sobie zabójcę. Myślał też o tym, że sprawca nie był motorem całej historii. Wyglądało raczej na to, że został wciągnięty w tę sytuację, w ten nakręcający się coraz mocniej, piekielny dylemat, który starał się rozwiązać wszelkimi środkami. Zabił raz, drugi, trzeci z jakąś desperacką, perwersyjną logiką.

A na koniec sam stał się ofiarą.

Cóż, Reinhart miał rację. Nieprzyjemna historia.

W nocy śniły mu się dwie rzeczy.

Najpierw wizyta u Ericha, kiedy ten siedział jeszcze w więzieniu. Nie był to zbyt bogaty w wydarzenia sen. Siedział na krześle w celi Ericha. Erich leżał na łóżku. Strażnik wszedł z tacą. Wypili kawę i zjedli jakieś ciasto, nie odzywając się do siebie ani słowem. W zasadzie to było bardziej wspomnienie niż sen. Obraz z pamięci, za którym nie kryło się nic więcej niż to, co było na nim widać. Ojciec odwiedzający syna w więzieniu. Archetyp.

Śnił także o G. O sprawie G, jego jedynym przez te lata niewyjaśnionym śledztwie. I w tym śnie również niewiele się działo. Ubrany w czarny garnitur G siedział podczas procesu w klatce i przyglądał mu się z głębi ciemnych oczu. Na wargach igrał mu sardoniczny uśmiezek. Oskarżyciel chodził w tę i z powrotem i zadawał pytania, ale G nie odpowiadał, tylko wpatrywał się w siedzącego wśród publiczności Van Veeterena w ten charakterystyczny, na wpół pogardliwy, na wpół kpiący sposób.

Ta krótka senna wizja była zdecydowanie bardziej nieprzyjemna, ale po przebudzeniu nie pamiętał, co śniło mu się najpierw. Który sen pojawił się pierwszy. Jedząc śniadanie, zastanawiał się, czy oba sny są w jakiś sposób zmontowane, jak filmy – Erich w więzieniu i G na sali rozpraw. I jakie przesłanie w takim układzie niosła ze sobą ta paralela.

Żadna odpowiedź nie przyszła mu do głowy, może dlatego, że nie chciał. A może dlatego, że takowa nie istniała.

Kiedy w czwartek po południu uporał się z pakowaniem i znakowaniem pudeł, zabrał torbę ze swoimi książkami do samochodu i pojechał na dwie godziny na basen. Do domu wrócił około szóstej. Miał



dwie wiadomości na automatycznej sekretarce, którą sprezentowała mu Ulrike. Jedna była od niej samej; chciała wpaść do niego w piątek z butelką wina i porcją pasztetu ze smardzami i zastanawiała się, czy nie mógłby zdobyć do tego małych ogórków i innych dodatków, według własnego uznania.

Druga wiadomość była od Mahlera, który uprzedził, że około dziewiętej ma zamiar ustawić pionki na szachownicy w siedzibie Towarzystwa.

W tym momencie *komisarz* był skłonny wyrazić wynalazcy automatycznej sekretarki – kimkolwiek by on był – połowiczne uznanie.

Kiedy wyszedł na ulicę, padało, ale powietrze było łagodne, poszedł więc drogą przez cmentarz, tak jak planował. Przez pierwszy tydzień po pogrzebie Ericha bywał tam codziennie, najchętniej wieczorami, kiedy ciemność zdążyła już troskliwie otulić nagrobki. Od ostatniej wizyty minęły jednak trzy dni. Im bliżej był grobu Ericha, tym bardziej zwalniał kroku, jakby z szacunku. Nie zastanawiał się nad tym, to była odruchowa, instynktowna reakcja organizmu. O tej porze dnia na cmentarzu nie było nikogo, na tle zapadających ciemności nagrobki i pomniki wydawały się jeszcze czarniejsze. Słyszał jedynie własne kroki, gruchające gołębnie i samochody przyspieszające gdzieś w oddali, w innym świecie. Doszedł do grobu. Przystanął i słuchał, jak zwykle, z rękoma w kieszeniach płaszcza. Jeżeli o tej porze dnia ktoś miał dla niego jakiegokolwiek subtelne znaki i wiadomości, to można je było wychwycić, jedynie słuchając, o tym akurat wiedział.

Umarli są starsi od żywych, pomyślał. Bez względu na to, w jakim wieku przekroczyli granicę śmierci, wszyscy mają za sobą doświadczenie, które sprawia, że są starsi od żywych.

Nawet dzieci. Nawet synowie.

W ciemności nie mógł odczytać tabliczki z nazwiskiem, którą umieszczono tam do czasu, aż zamówiony przez Renate nagrobek będzie gotowy. Nagle pożałował, że to niemożliwe. Chętnie zobaczyłby imię i daty narodzin i śmierci Ericha, postanowił więc, że przyjdzie tam jeszcze raz, ale już za dnia.

Kiedy tak stał, przestało padać. Po dziesięciu minutach ruszył dalej.

Tym razem pożegnał syna słowami: *Śpij dobrze, Erich.*  
Przyjdę do ciebie, kiedy czas pozwoli.

W siedzibie Towarzystwa przy Styckargränd było sporo ludzi. Jednak Mahler był na miejscu o czasie i zajął dla nich stały zakątek ze sztychami Dürera oraz żeliwnym świecznikiem. Kiedy Van Veeteren przyszedł, Mahler skubał brodę i pisał coś w czarnym notesie.

– To nowe wiersze – wyjaśnił i zamknął notatnik. – Czy też raczej stare myśli ubrane w nowe słowa. Mój język przestał być transcendentną formą mojego umysłu jakieś trzydzieści lat temu. Nie wiem już zresztą, co znaczy transcendentny. Jak się czujesz?

– Tak jak na to zasługuję – odparł Van Veeteren, rozsiadając się. – Czasami wydaje mi się, że przeżyję i to.

Mahler pokiwał głową i wyciągnął cygaro z kieszeni kamizelki.

– Taki już nasz los – powiedział. – Bogowie pozwalają walczyć dalej tym, których nienawidzą. To co, partyjkę?

Van Veeteren skinął i Mahler zaczął rozstawiać szachy.

Pierwsza partia skończyła się po pięćdziesięciu czterech ruchach, sześćdziesięciu pięciu minutach i trzech piwach. Van Veeteren zgodził się na remis, mimo że miał piona przewagi. Był to jednak pion z linii bocznej.

Mahler przez chwilę skubał brodę, a potem zapytał:

– A twój syn? Złapali tego drania, który to zrobił?

Van Veeteren dopił piwo i dopiero wtedy odpowiedział.

– Prawdopodobnie – odparł. – Choć wygląda na to, że Nemezis pierwsza spełniła swoją powinność.

– To znaczy?

– Z tego co słyszałem, leży gdzieś pochowany. Jakaś historia z szantażem. Erich był jedynie pionkiem... w każdym razie akurat teraz był czysty. O dziwo to mnie trochę pociesza. Choć naprawdę chciałem spojrzeć temu lekarzowi w oczy.

– Lekarzowi?

– Tak. Ich zadaniem jest ratowanie życia, ale ten wybrał inną drogę. On je kończył. Opowiem ci całą historię, ale innym razem, jeśli

nie masz nic przeciwko. Najpierw muszę złapać trochę dystansu.

Mahler przez chwilę się zastanawiał, potem przeprosił i wyszedł do toalety. Kiedy go nie było, Van Veeteren zdążył zwinąć i wypalić pięć papierosów. Wprawdzie kiedyś tyle wynosiła jego dzienna dawka, ale ta znacznie wzrosła w ostatnim miesiącu.

Co za różnica, do cholery? Pięć papierosów czy dziesięć?

Mahler wrócił z dwoma kolejnymi piwami.

– Mam propozycję – powiedział. – Zagramy Fishera.

– Fishera? – nie zrozumiał Van Veeteren. – A co to znaczy?

– No wiesz, ostatni wkład geniusza w dziedzinę szachów, tylny rząd ustawia się przypadkowo, rzecz jasna tak samo dla każdej ze stron. Żeby uniknąć tych idiotycznych analiz do dwudziestego ruchu. Jedy-ny warunek to król między wieżami.

– Kojarzę – odparł Van Veeteren. – Czytałem o tym. Studiowałem nawet jedną partię, wygląda na szaleństwo. Nigdy nie sądziłem, że sam kiedyś będę musiał spróbować... Naprawdę analizujesz do dwudziestego ruchu?

– Zawsze. To jak?

– Skoro nalegasz – powiedział Van Veeteren.

– Nalegam. Twoje zdrowie.

Zamknął oczy i sięgnął do pudełka z pionkami.

– Która linia?

– C – odparł Van Veeteren.

Mahler umieścił swoją białą wieżę na polu c1.

– Mój Boże – powiedział Van Veeteren, patrząc na nią.

Tak samo zrobili z resztą rzędu. Tylko jeden goniec trafił na swoją właściwą pozycję. Króle wylądowały w linii e, damy w g.

– Wspaniale, koń w rogu – stwierdził Mahler. – To jedziemy.

Dał sobie spokój ze swoją zwykłą wstępną koncentracją i zagrał e2-e3.

Van Veeteren oparł głowę na rękach i zapatrzył się w układ na szachownicy. Przez dwie minuty siedział bez ruchu, nie drgnął mu nawet mięsień. Potem walnął pięścią w stół i wstał.

– Niech to! Założę się, że... wybacz na chwilę.

Wykaraskał się zza stołu.

– A tobie co? – zapytał Mahler, ale nie dostał odpowiedzi. *Komisarz* zdążył już się przepchać do telefonu przy wejściu.

Rozmowa z Reinhartem zajęła mu niemal dziesięć minut. Kiedy wrócił na miejsce, Mahler znów siedział nad notatnikiem.

– Sonety – wyjaśnił i zapatrzył się w swoje zgaszone cygaro. – Słowa i forma! Świat wydaje się oczywisty, kiedy jest się czternastolatkiem, może nawet wcześniej. Potem potrzeba nam pięćdziesięciu lat, by nauczyć się języka, który może oddać te wrażenia, a one w międzyczasie nikną. Gdzie cię, do cholery, poniosło?

– Wybacz – powtórzył Van Veeteren. – Czasami, nawet w jesieni życia, człowieka może nagle olśnić. To przez tę przeklętą konfigurację.

Machnął ręką w stronę szachownicy. Mahler popatrzył na niego znad starych okularów.

– Zagadkowy jesteś – stwierdził.

To jednak nie był jeszcze czas na wyjaśnienia. Van Veeteren wypił łyk piwa, przesunął gońca z narożnego pola i zapalił papierosa.

– Twój ruch, poeto – powiedział.

VI

Komisarz Reinhart wylądował na lotnisku Johna F. Kennedy'ego o wpół do trzeciej w piątek osiemnastego grudnia. Odebrał go komisarz Bloomguard, z którym wcześniej rozmawiał przez telefon i z którym wymienił pół tuzina faksów przez ostatnią dobę. Bloomguard miał około trzydziestu pięciu lat, był przysadzistym, krótko ostrzyżonym facetem. Samym tylko uściskiem dłoni starał się przekazać nadmiar hojności, otwartości i ciepła typowy dla amerykańskiej kultury. Całkiem skutecznie. Na czas krótkiej wizyty Reinharta w Nowym Jorku zaoferował Reinhartowi nocleg w swoim domu na Queens. Reinhart już raz podziękował, ale podczas jazdy przez zatłoczone ulice Manhattanu miał okazję powtórzyć swoją odpowiedź kilka razy.

Zameldował się w Trump Tower na Columbus Circle. Bloomguard klepnął go w plecy i dał mu trzy godziny na zmycie z siebie podróznego pyłu. Potem Reinhart miał czekać przed wejściem, gotowy na wizytę na Queens i prawdziwy rodzinny obiad. Tylko tego mu brakowało.

Kiedy Reinhart został sam, przystanął w oknie i wyjrzał. Dwudzieste czwarte piętro z widokiem na północny i wschodni Manhattan. Zwłaszcza na Central Park, który rozciągał się w dole niczym zmarznięta miniaturowa makieta. Zmierzch już zapadał, ale panorama miasta wciąż była szara i niema. Wyczekujące nocy wieżowce zdawały się odpoczywać, korzystając z anonimowości, która bynajmniej nie wynikała z niewiedzy Reinharta na temat ich nazw i funkcji. W każdym razie niezupełnie. Kojarzył Metropolitan i Guggenheima położone dalej przy Piątej Alei po drugiej stronie parku, reszty nie był pewien. Tak czy inaczej, miasto nie wyglądało zbyt gościnnie. Raczej wrogo. Było kilka stopni poniżej zera, jak powiedział mu Bloomguard, a w nocy

miało się jeszcze ochłodzić. Tego roku jeszcze nie padał śnieg, ale można było mieć na to nadzieję.

Od ostatniej i jak dotąd jedynej wizyty Reinharta w Nowym Jorku minęło piętnaście lat. Wówczas wybrał się tu na urlop w sierpniu. Było gorąco jak w piekle. Pamiętał, że wypijał cztery litry wody dziennie i strasznie bolały go stopy. Przypomniawszy sobie też, że najbardziej podobała mu się nadbrzeżna promenada oraz zapyziałe Coney Island. No i oczywiście Barnes&Noble, szczególnie filia przy Ósmej Ulicy. Najlepsza księgarnia na świecie, otwarta całą dobę, a do tego z kafejką, gdzie można było czytać do woli.

Tamta podróż to była czysta przyjemność. Westchnął i odszedł od okna. Teraz czekała go służba. Zaczął od prysznic, zdrzemnął się na godzinę, a potem wziął kolejny prysznic.

Żona komisarza Bloomguarda nazywała się Veronique i robiła, co mogła, by upodobnić się do Jacqueline Kennedy.

Z niemałym sukcesem. Bloomguardowie mieli córkę o dwa tygodnie starszą od Joanny Reinharta, a mieszkali w niskiej, przypominającej hacjendę willi położonej w północno-zachodnim Queens. Właśnie tak Reinhart wyobrażał sobie dom przedstawicieli amerykańskiej klasy średniej. Podczas obiadu gospodarz opowiadał wybrane fragmenty z historii rodziny (gospodyni zaś od czasu do czasu robiła dygresje). Jego ojciec, który zresztą walczył zarówno w Afryce, jaki i w Korei, za swoje zasługi zdobywając pół tuzina medali oraz proteżę nogi, właśnie przeszedł operację – wszczepili mu potrójne bypassy – ale wyglądało na to, że dojdzie do siebie. Veronique właśnie skończyła trzydzieści wiosen, a pochodziła z Montany, gdzie zazwyczaj spędzali dłuższe urlopy, korzystając z czystego, górskiego powietrza. Młodszą siostrę Bloomguarda zgwałcono przed dwoma laty, ale w końcu znalazła terapeutę, który chyba potrafił jej pomóc stanąć na nogi. Poza tym rodzina przeszła na kawę bezkofeinową, aczkolwiek rozważała powrót do zwykłej. I tak dalej. Reinhart ze swojej strony odwdzieczył się dziesięciokrotnie krótszą historią swoich nieszczęść i kiedy doszli do lodów, uświadomił sobie, że o Bloomguardzie i jego rodzinie wie więcej niż o kimkolwiek z kolegów z wydziału kryminal-

nego w Maardam.

Kiedy Veronique, znakomicie spełniwszy swoje obowiązki, wyszła i zabrała ze sobą Quincey (do tej pory Reinhart był przekonany, że to imię męskie) obaj panowie policjanci rozsiedli się przed kominkiem ze szklaneczką koniaku i zaczęli dyskusję na poważnie.

O wpół do jedenastej Reinhart zaczął odczuwać skutki zmiany strefy czasowej. Bloomguard się zaśmiał i po koleżeńsku poklepał go po plecach. Wsadził do taksówki i wysłał z powrotem na Manhattan.

Nie licząc tego, że na papierosa musiał wychodzić na taras, Reinhart uznał, że wieczór był całkiem udany.

Zapewne zasnęłyby już w taksówce, gdyby nie to, że za kierowcę trafił mu się ogromny, podśpiewujący Portorykańczyk (Reinhartowi zawsze wydawało się, że Portorykańczycy są mali), który uparł się nie ściągać ciemnych okularów, chociaż był środek nocy. Reinhartowi przypomniała się filmowa kwestia *Are you blind or just stupid*, ale mimo że przez całą drogę miał ją na końcu języka, nie odważył się powiedzieć tego na głos.

Kiedy już był w pokoju, zadzwonił do Winnifred, od której dowiedział się, że w Europie jest za kwadrans szósta. Zrzucił z siebie ubranie, zwałił się na łóżko i zasnął.

Do Wigilii zostało pięć dni.

Bloomguard osobiście odwiózł go na Brooklyn w sobotę rano. Z Piątej Alei skręcili za Sunset Park i zaparkowali nieco dalej, przy Czterdziestej Czwartej. Niedaleko interesującego ich domu na rogu Szóstej Alei. Bura rudera z cegły o ciemnych oknach miała trzy niskie piętra i niczym nie różniła się od innych budynków w sąsiedztwie. Do wejścia prowadziły niewysokie schodki, a na chodniku walały się przepelnione worki ze śmieciami.

Latynosi i ortodoksyjni żydzi, jak wyjaśnił mu Bloomguard. Oraz Polacy. To najczęściej spotykane tu grupy. Choć żydzi zamieszkiwali raczej nieco dalej, przy Dziesiątej i Jedenastej.

Przez chwilę siedzieli w samochodzie i Reinhart na nowo zaczął tłumaczyć, jak delikatną sprawą jest ta pierwsza wizyta. Cholernie delikatną. Bloomguard zrozumiał aluzję.



– Zostanę w samochodzie – powiedział. – Idź sam. Ja zawsze gadam bez zastanowienia.

Reinhard przytaknął i wysiadł. Zerknął na park: rozległy, pochyły trawnik oraz szarobiałe, niskie zabudowania na środku. Wyglądały na basen. To nie było miejsce dla turystów, jak zauważył Bloomguard. W zasadzie dla porządnych ludzi też nie. Przynajmniej nie nocą. Po zapadnięciu zmroku Sunset Park zmieniał nazwę na Gunshot Park. Przynajmniej tak się na niego mówiło.

Akurat w tej chwili wyglądał wyjątkowo spokojnie. Jakiś biegacz podążał pod górę asfaltową ścieżką, kilku jegomości w wełnianych czapkach, najwyraźniej nie mając innego zajęcia, dzieliło się zawiniętą w papier butelką. Dwie grube kobiety szły z wózkiem i rozmawiały, żwawo przy tym gestykując. Jedno z łysych drzew stojących przy ulicy było całe obwieszane butami. Reinhart zapamiętał ten obrazek z pocztówki, którą kiedyś dostał, sam nie wiedział od kogo.

Powietrze było chłodne. Mroźny wiatr wiał od strony Hudson River, czuć było zbliżający się śnieg. Widok był niesamowity. Na północy widniała panorama Manhattanu odcinająca się od stalowego nieba, nieco bardziej na zachód widać było całe wejście do portu wraz ze Statuą Wolności oraz Staten Island. To tutaj dopłynęli, pomyślał Reinhart. To właśnie to miejsce stało się Nowym Światem.

Minał trzy domy i cztery samochody – duże, nieco nadgryzione rdzą wozy – i doszedł do numeru 602. Cyfry wskazywały położenie. Drugi dom między Szóstą i Siódmą Aleją, jak wyczytał. Pokonał osiem stopni i zadzwonił do drzwi. Rozległo się szczekanie psa.

Delikatna sprawa, pomyślał jeszcze raz. Cholernie delikatna.

Drzwi otworzył jakiś nastoletni chłopaczek w okularach i z wystającymi zębami. W ręku trzymał kanapkę z kremem czekoladowym.

– Szukam pani Ponczak – powiedział Reinhart.

Chłopaczek zawołał kogoś z głębi domu. Po chwili, postępując, po schodach zeszła tęga kobieta, która przywitała się z Reinhartem.

– To ja – powiedziała. – Elizabeth Ponczak. O co chodzi?

Reinhart wyjaśnił, kim jest, i kobieta zaprosiła go do kuchni. W salonie chłopaczek oglądał telewizję. Usiedli przy wąskim, popękanyim stole z laminatu i Reinhart zaczął wyłuszczać swoją sprawę, tak jak

sobie to wcześniej zaplanował. Po angielsku, sam nie wiedział dlaczego.

Zajął mu to kilka minut, a przez cały ten czas siedząca naprzeciwko niego kobieta poklepywała żółtoszarego kota, który wskoczył jej na kolana. Najwidoczniej ujadający pies należał do sąsiadów, od czasu do czasu słychać było, jak wyje lub szczeka.

– Nie rozumiem, co pan mówi – powiedziała, kiedy skończył. – Dlaczego miałby mnie szukać? Nie kontaktowaliśmy się ze sobą od piętnastu lat. Przykro mi, ale w żaden sposób nie mogę panu pomóc.

Reinhart zauważył, że po angielsku mówiła gorzej niż on. Może zwykle rozmawiała po polsku z panem Ponczakiem, o ile takowy nadal się koło niej kręcił. W każdym razie w tej chwili chyba nie było go w domu.

Ach tak, pomyślał Reinhart. To by było na tyle.

On sam nie powiedział prawdy. A ona?

Nie umiał osądzić. Kiedy tak zmyślał, czujnie obserwował jej reakcje, ale nic nie wskazywało na to, by coś ukrywała lub podejrzewała.

Gdyby tylko nie była taką flegmatyczką, pomyślał zirytowany. Tacy grubi, powolni ludzie bez problemu potrafią coś ukryć. Już wcześniej się nad tym zastanawiał. Wystarczy, że siedzą i tępo wpatrują się przed siebie, tak jak zawsze.

Kiedy wyszedł na ulicę, zrozumiał, że było to niesprawiedliwe uogólnienie. Niesprawiedliwe i nie na miejscu. Ale do licha, przeleciał Atlantyk z jednym tylko atutem w rękawie. Dość mizernym, którym nie ugrał żadnej lewy.

Powłócząc nogami, wrócił do samochodu.

– Jak poszło? – zapytał Bloomguard.

– *Nada* – odparł Reinhart. – Niestety.

Usiadł na miejscu pasażera.

– Możemy pojechać na kawę? Taką z kofeiną?

– Jasne – powiedział Bloomguard, odpalając samochód. – A plan B?

– Plan B – westchnął Reinhart. – Cztery dni, tak jak ustaliliśmy, potem dajemy sobie spokój. Wezmę tyle godzin, ile zdołam. Jesteś pewien, że możesz użyczyć mi ludzi?

– Jasne – odparł Bloomguard z entuzjazmem. – Ty sam nie musisz

tu siedzieć na obserwacji. W mieście nie brakuje nam zasobów. Wieją tu teraz inne wiatry niż piętnaście lat temu, że tak powiem. Zero tolerancji. Przyznaję, na początku byłem trochę sceptyczny, ale fakt faktem, to działa.

– Słyszałem już o tym – powiedział Reinhart. – Mimo wszystko nie chcę czuć się jak turysta. Zresztą musimy obstawić całą dobę, w przeciwnym razie to nie ma sensu.

Bloomguard pokiwał głową.

– Wóz jest do twojej dyspozycji – powiedział. – Zajedziemy teraz do nas i rozpiszemy grafik, tak żebyś mógł sobie wybrać takie pory, jakie chcesz. Ja zajmę się resztą. Okej, *compadre*?

– *No problem.*

Pierwszą zmianę przesunął na niedzielę. Bloomguard dopilnował, żeby począwszy od godziny czwartej w sobotę, na rogu Czterdziestej Czwartej Ulicy i Szóstej Alei na Brooklynie stał samochód z dwójką policjantów w cywilu. Reinhart spędził popołudnie i wieczór, spacerując po Dolnym Manhattanie, Soho, Little Italy, Greenwich Village i China Town. Na koniec wylądował w Barnes&Noble. To było nie do uniknięcia. Siedział tam i czytał. Popijał kawę, jadł brownie i słuchał odczytów poezji. Kupił pięć książek. Wyszedł o wpół do dziewiątej, udało mu się złapać właściwą linię metra jadącą na Columbus Circle. Kiedy wydostał się z podziemi, zaczął padać śnieg.

Co ja tutaj robię? – pomyślał. W tym mieście jest siedem milionów ludzi. Jak mogę sobie wyobrazić, że uda mi się trafić? Bardziej prawdopodobne, że się tu zgubię i zaginę, niż że coś znajdę.

Kiedy wjeżdżał windą, przypomniał sobie, że w zasadzie to *komisarz* przekonał go, że może mu się udać, ale szanse były nikłe. Tak przynajmniej wydawało mu się w tej chwili, podczas tego samotnego, sobotniego wieczoru.

Kiedy zadzwonił do Winnifred, budząc ją drugą noc z rzędu, powiedziała mu, że w Maardam też pada śnieg.

Moreno spotkała się z Marianne Kodesca na lunchu w Rote Moor. Według inspektora Rootha było to wyjątkowo babskie miejsce dla kobiet w wieku od trzydziestu czterech i pół do czterdziestu sześciu lat, które żyły na marchewkach i kielkach, czytały „Athene” i wyrzuciły już jednego czy też paru facetów na śmietnik. Moreno jeszcze nigdy nie była w tym lokalu, ale nie miała wątpliwości co do tego, że Rooth też nie.

Pani Kodesca (rok temu wyszła ponownie za mąż za jakiegoś architekta) mogła poświęcić Moreno tylko czterdzieści pięć minut. Potem czekało ją ważne spotkanie. Nie miała nic do powiedzenia o swoim byłym mężu.

Wyjaśniła to już przez telefon.

Jadły sałatę alle Piranesi i piły wodę mineralną o posmaku limonki. Do tego miały widok na plac Salutorget, po raz pierwszy odkąd Moreno sięgała pamięcią pokryty śniegiem.

– Pieter Clausen? – zapytała wprost, kiedy uznała, że wstęp ma już zaliczony. – Może pani trochę o nim opowiedzieć? Potrzebujemy dokładniejszego portretu psychologicznego, że tak powiem.

– Zrobił coś? – Marianne Kodesca uniosła brwi niemal do linii włosów. – Dlaczego go szukacie? Musi mi to pani wyjaśnić.

Poprawiła swój rdzawy szal, tym samym bardziej odsłaniając metkę.

– To jeszcze nie jest pewne – odparła Moreno.

– Nie? Chyba wiecie, dlaczego go szukacie?

– Zaginął.

– Coś mu się stało?

Moreno odłożyła sztucę i otarła usta serwetką.

– Mamy wobec niego pewne podejrzenia.

- Podejrzenia?
- Tak.
- Co do czego?
- Wybacz pani, nie mogę wchodzić w szczegóły.
- Cóż, nigdy nie wykazywał tego typu skłonności.
- To znaczy jakich?
- Przestępczych. Bo chyba o tym pani mówi, prawda?
- Czy nadal mają państwo ze sobą kontakt? – zapytała Moreno.

Marianne Kodesca odchyliła się do tyłu i popatrzyła na Moreno z uśmiechem, który wyglądał jak wyryty cyrklem na drzwiach lodówki. Chyba bołą ją zęby, pomyślała Moreno. Nie podoba mi się. Muszę się pilnować, żeby niczego nie wygadać.

- Nie, nie mamy ze sobą kontaktu.
- Kiedy widzieliście się po raz ostatni?
- Widzieliśmy?
- Kiedy go pani spotkała... zamieniła z nim słowo. Jak pani woli.

Pani Kodesca wciągnęła nosem metr sześcienny powietrza i zaczęła się zastanawiać.

- W sierpniu – odparła w końcu, wydmuchując powietrze.

Moreno zanotowała. Nie dlatego, że musiała, chciała po prostu rozładować agresję.

- Jak by go pani opisała?
- Wolałabym go nie opisywać. Czego wy chcecie?
- Potrzebujemy po prostu nieco pełniejszego wizerunku – powtórzyła Moreno. – Chodzi o ogólne cechy charakteru i tym podobne.

- Na przykład co?
- Czy na przykład zdarzały mu się agresywne zachowania?
- Agresywne?

Marianne Kodesca jakby łowiła wędka słowa z innej klasy społecznej.

- Tak. Czy kiedyś panią uderzył?
- Uderzył?

Wędka znów w użyciu.

- Jeśli woli pani odbyć tę rozmowę na komendzie, to świetnie – od-

parła Moreno uprzejmym tonem. – Może to miejsce pani nie odpowiada?

– Ekhm. Proszę wybaczyć, po prostu mnie zatkało. Co też wy wymyślacie? Potrafię sobie wyobrazić, że Pieterowi coś się stało, ale żeby on sam dopuścił się... nie, to wykluczone. Absolutnie wykluczone, może to pani sobie zapisać w notesie. Czy to już wszystko?

– Wie pani, czy po waszym rozwodzie związał się z kimś jeszcze?

– Nie – odparła Marianne Kodesca, wyglądając przez okno. – Tego typu tematami już sobie nie zaprzętam głowy.

– Rozumiem – powiedziała Moreno. – I nie ma pani pojęcia, dokąd mógł się udać? Od jego zaginięcia minęło dziesięć dni... nie odzywał się do pani przez ten czas, prawda?

Będąca wyrazem niezadowolenia zmarszczka pojawiła się pomiędzy prawym nozdrzem a kącikiem ust, dodając Marianne Kodesca pięć lat.

– Wyjaśniałam już, że nie kontaktowaliśmy się ze sobą. Nie potrafi pani tego pojąć?

Owszem, pomyślała Moreno. Nie potrafię pojąć, jakim cudem udało ci się znów wyjść za mąż.

Choć może nie poznała Marianne Kodesca od najlepszej strony.

Pół godziny później spotkała się z Jungiem w swoim pokoju.

– Liz Vrongel – powiedział Jung. – *Putz weg*.

– Ona też? – zapytała Moreno.

Jung pokiwał głową.

– Chociaż już dwadzieścia lat temu. Była żoną Kellera przez rok... dokładnie rzecz biorąc, dziesięć miesięcy... potem się rozwiedli, a ona przeniosła się do Stambegu. Najwidoczniej to taka zbłąkana dusza. Brała udział we wszelkich możliwych ruchach protestacyjnych. Wyrzucili ją z Green Peace po tym, jak ugryzła policjanta w twarz. Należała do kilku sekt, a na początku lat osiemdziesiątych najprawdopodobniej wyjechała do Kalifornii. Tam ślad po niej zaginał. Nie wiem, czy szukanie jej ma jakikolwiek sens.

Moreno westchnęła.

– Pewnie nie – powiedziała. – Równie dobrze możemy się zająć przygotowaniem do świąt i mieć nadzieję, że Reinhart wróci z czymś z Nowego Jorku.

– Myślisz, że to prawdopodobne?

– Nieszczerólnie – odparła Moreno. – Jeśli mam być szczerą.

– A jak tam była pani Clausen?

Moreno zaczęła się zastanawiać, jak to ująć.

– To na pewno inny typ niż była pani Keller – odpowiedziała. – Dyskretny faszyzm burżuazji, mniej więcej. Właściwie to niezbyt dyskretny, jak się zastanowić. W każdym razie nie miała nic do powiedzenia, a nie bardzo mam ochotę rozmawiać z nią kolejny raz.

– *Ritch bitch?*

– Mniej więcej.

Jung spojrzał na zegarek.

– No cóż – powiedział. – Może moglibyśmy iść już do domu? Maureen zaczęła sugerować, żebym zmienił pracę. Jestem bliski zgodzenia się z nią.

– A kim byś został? – zapytała Moreno.

– Jeszcze nie wiem. – Jung zaczął się z namysłem skubać w dolną wargę. – Bileter w kinie brzmi nieźle.

– Bileter?

– No ten, co wprowadza ludzi na salę z latarką, a w przerwach sprzedaje słodczyce.

– Takich już nie ma.

– Szkoda.

W niedzielę rano komisarz Reinhart sam dojechał autem na Czterdziestą Czwartą. Spóźnił się pół godziny. Nocna zmiana już sobie poszła, jednak budynek z numerem 602 nad wejściem nadal był strzeżony. Bloomguard zdecydował się wystawić dodatkowy patrol poza samochodem Reinharta, co z uwagi na to, jak jego europejski kolega znał miasto, okazało się niegłupim pomysłem.

Reinhart zaparkował między numerem 554 a 556, gdzie akurat było wolne miejsce, wsiadł do stojącego po drugiej stronie ulicy samochodu – trzydziestometrowego oldsmobile'a – i przywitał się.

Sierżant Pavarotti był niski, chudy i wyglądał na nieszczęśliwego. Reinhart nie wiedział, czy to ze względu na nazwisko, czy może były ku temu inne powody.

Choćby to, że musiał spędzić całą niedzielę w starym aucie na Brooklynie.

– Nieraz zastanawiałem się nad zmianą – wyjaśnił Pavarotti. – Są sytuacje, kiedy wolałbym się nazywać Mussolini. Nie mam ani krzty talentu do śpiewu. A co tam słyszać w Europie?

Reinhart powiedział, co i jak, i zapytał, czy Pavarotti czymś się interesuje.

Baseballem i filmami akcji, okazało się. Reinhart siedział z nim jeszcze pięć minut, potem wrócił do swojego wozu. Wcześniej zapytał Bloomguarda, czy to, że ktoś siedzi godzinami za kółkiem, nie wzbudzi niczyich podejrzeń, ale Bloomguard tylko zrobił minę starego wygi i z uśmiechem pokręcił głową.

– Tutejsi mieszkańcy nie wyglądają przez okna – wyjaśnił. – Zresztą tu zawsze faceci siedzą w wozach. Przejdź się po okolicy, to zobaczysz.

Trochę później Reinhart wybrał się na spacer po kwartale i przekonał się, że to prawda. Po obu stronach ulicy zaparkowane były ogromne samochody, a w co piątym lub co szóstym siedział jakiś facet, żując gumę lub paląc. Albo sięgając do paczki chipsów. Większość z nich miała ciemne okulary, mimo że słońce wydawało się odleglejsze niż średniowiecze. O co tu biega? – zastanawiał się Reinhart.

Powietrze było mroźne, na pewno było kilka stopni poniżej zera, a do tego wiał ten nieprzyjazny wiatr, który poprzedniego dnia ciągnął od rzeki.

Nie rozumiem tego społeczeństwa, stwierdził Reinhart. Czym się oni, na Boga, zajmują? Jakie są ich życiowe kłamstwa, których my jeszcze nie wymyśliliśmy.

Powiedział Pavarottiemu, żeby zrobił sobie godzinną przerwę na kawę. Sierżant nie był pewny, czy powinien przyjąć rozkaz od tego dziwnego komisarza, ale w końcu sobie poszedł.

Reinhart przeszedł przez niski murek otaczający Sunset Park i usadowił się na ławce. Stąd miał równie dobry widok na dom, jak z samochodu, a nie podejrzewał, by pani Ponczak go rozpoznała. W wełnianej czapce, długim szalu i wojskowej parce wyglądał jak pierwszy lepszy menel, tak mu się przynajmniej wydawało. Jak jedna



z tych gnanych wiatrem dusz, której nie stać nawet na samochód, gdzie mogłaby czekać na śmierć.

Za dziesięć jedenasta pani Ponczak wyszła z domu. Pavarotti jeszcze nie wrócił, mimo że minęła już ponad godzina, odkąd zniknął. Reinhart po krótkim namyśle postanowił pójść za nią.

Pani Ponczak doszła do Piątej Alei i skręciła w lewo. Idąc, lekko się kołysała i chyba nieco kulała, tak to wyglądało. Przez chwilę wydawało mu się, że zmierza do stacji metra przy Czterdziestej Piątej... okazało się jednak, że nie musi się zastanawiać, co by zrobił w takiej sytuacji, ponieważ kobieta weszła do minimarketu na rogu. Reinhart minął sklep i zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Zaczął nabijać fajkę skostniałymi jak sople lodu palcami.

Po pięciu minutach wyszła, w każdej ręce dzierząc po foliowej torbie. Ruszyła z powrotem tą samą drogą, to znaczy wzdłuż Piątej Alei. Skręciła w Czterdziestą Czwartą i minutę później była już w domu pod numerem 602.

Reinhart wsiadł do samochodu. No tak, pomyślał. Pewnie był to najbardziej dramatyczny punkt dnia. *Mrs Ponczak goes shopping*. Brzmiało jak tytuł angielskiego filmu dla gospodyń domowych.

Tak czy inaczej, prognoza okazała się słuszna. Ani pani Ponczak, ani jej flegmatyczny syn nie zadali sobie już tego chłodnego, wietrznego grudniowego dnia trudu, by wyjść. Bo i po co? Mieli przecież, na przykład, telewizję. Żaden pan Ponczak jak dotąd się nie pokazał, ale Reinhart domyślał się, że jeśli takowy istnieje, to zapewne leży teraz w domowym zaciszu i czyta gazetę lub też odsypia jakąś popijawę. Gdyby on sam był panem Ponczakiem, to właśnie by robił.

On natomiast to spacerował po Sunset Parku, to na wpół leżał w samochodzie, to gadał z Pavarottim. Podniósł również kwestię zachowania się w sytuacji, gdyby obiekt kolejny raz wyszedł z domu. Pavarotti uznał, że to dom jest obiektem obserwacji, a nie jego właścicielka, taki rozkaz dostali od Bloomguarda. Wyraźny rozkaz. Żeby uniknąć totalnego zamieszania, Reinhart zadzwonił na domowy numer Bloomguarda i prosił go o wydanie nowych poleceń. Ustalono, że gdyby obiekt Ponczak (pani) na nowo zaczął oddalać się od obiektu Ponczak (dom), zadaniem Pavarottiego było iść za tym pierwszym. Reinhart

miał bez względu na okoliczności tkwić na rogu ulicy, jako że nie za bardzo nadawał się do śledzenia kogokolwiek w siedmiomilionowym mieście, w którym znał sześć osób oraz nazwy dwóch parków i pięciu budynków.

Około drugiej Pavarotti przywiózł im po pudle z fastfoodem, do czwartej Reinhart zdążył przeczytać pierwszą z książek, które kupił w Barnes&Noble – *Sun Dogs* Roberta Olena Butlera – a równo o szóstej zastąpiła ich nocna zmiana.

Poza tym nic się nie działo, ani w domu numer 602, ani w pobliżu.

Jeśli tylko w drodze powrotnej do hotelu nie napadną mnie lub nie przejadą, będę mógł uznać tę niedzielę za spokojną, pomyślał.

Nie napadli go ani nie przejechali. Kiedy już udało mu się doprowadzić temperaturę ciała do normalnego poziomu, zadzwonił Bloomguard i zaprosił go na coś do jedzenia, jednak Reinhart podziękował. Wybrał się za to na długi spacer po ciemnym Central Parku (i tym razem nic mu się nie przytrafiło), zjadł kolację we włoskiej restauracji przy Czterdziestej Dziewiątej i o jedenastej wrócił do hotelu i kolejnej książki.

Jeszcze nigdy nie szedłem tak wąłym tropem jak ten, pomyślał. Zostały trzy dni. Wszystko to psu na budę. Gdyby nie chodziło o Van Veterena i jego cholerną intuicję...

Nastawił budzik na 2:15 i kiedy rozległ się sygnał, miał za sobą półtorej godziny snu. Minęła chwila, zanim wiedział, jak się nazywa oraz gdzie i po co się znalazł. I dlaczego się obudził.

Potem zadzwonił na drugą stronę Atlantyku i w słuchawce usłyszał rzeński głosik swojej córeczki.

Poniedziałek okazał się bogatszy w wydarzenia niż niedziela.

Ale tylko odrobinę. Ledwo Reinhart dotarł na swoje miejsce przy Sunset Park, pani Ponczak wraz z synem wyszli na ulicę. Tego dnia Pavarottiego zastąpił o wiele bardziej optymistyczny sierżant Baxter, który wyglądał jak udane połączenie buldoga z Robertem Redfordem. Po krótkim namyśle ruszył on śladem pani Ponczak w stronę Piątej Alei. Syn poszedł w przeciwnym kierunku, czyli na wschód, w stronę Siódmej, jednak Reinhart uznał go za średnio interesujący obiekt (w końcu w tym kraju też się chodzi do szkoły, pomyślał) i został w samochodzie Baxtera.

Dopiero po godzinie i dziesięciu minutach coś zaczęło się dziać. Baxter zadzwonił z domu handlowego przy Pacifik (również na terenie Brooklynu) i zdał raport, że właśnie pije kawę (z kofeiną) w kafejce naprzeciwko drogerii, w której najwyraźniej pracuje pani Ponczak. Przynajmniej tego dnia.

Ponieważ numer 602 wyglądał na opuszczony (z każdą godziną istnienie pana Ponczaka wydawało się coraz mniej prawdopodobne), Reinhart postanowił, że Baxter może sobie nadal popijać kawę i śledzić ruchomy obiekt, podczas gdy on zajmie się nieco mniej ruchomym domem przy Sunset Parku.

Mój Boże, pomyślał, kiedy już skończył rozmowę z Baxterem. Czy trafiały mi się takie zadania dwadzieścia pięć lat temu?

Do wpół do pierwszej przeczytał siedemdziesiąt stron *My Dark Places* Jamesa Ellroya i kolejny raz zaczął się zastanawiać, do jakiego kraju przyszło mu przyjechać. O pierwszej wysiadł na chwilę z samochodu, żeby zdobyć prowiant w minimarkecie na roku Szóstej i Czterdziestej Piątej. Kupił banany, butelkę wody mineralnej, tabliczkę czekolady i kilka bajgli. Najwidoczniej minimarket znajdował się tu na

każdym rogu, do wyboru, do koloru. Kiedy wracał do samochodu, zauważył, że powietrze zrobiło się nieco łagodniejsze, po kwadransie zaczęło padać. Dalej zagłębiał się więc w makabrycznym świecie Ellroya, kilka razy rozmawiał też przez telefon z Baxterem lub Bloomguardem. O wpół do czwartej do domu wrócił Ponczak junior w towarzystwie rudego kolegi, a pół godziny później Reinharta zwolnił jego następcą.

Poniedziałek, pomyślał, wracając na Manhattan. Jeszcze dwa dni. Co ja tu robię, do cholery?

Mimo że przyćmiony zmierzch już wisiał w powietrzu, wsiadł na prom na Staten Island. Udało mu się też złapać odpowiedni autobus na Snuggs' Harbor, gdzie przez godzinę spacerował wśród gnijących liści. W tym samym miejscu przechadzał się przed piętnastoma laty z pewną kobietą. Dlatego tu wrócił, ale to już nie było to samo. Wówczas było trzydzieści stopni, a drzewa zdobiły liście.

Wtedy, a miał nadzieję, że i teraz, nazywała się Rachel. Pamiętał, że przez cztery dni kochał ją namiętnie, zarówno głową, sercem, jak i przyrodzeniem. Piątego dnia głowa (a może i serce też) zgłosiły weto, a po szóstym się rozstali.

Wieczór spędził z Bloomguardem w azjatyckiej restauracji przy Canal Street. Bloomguard chciał go też zabrać na 1 Police Plaza, by pokazać mu najnowsze zdobycze techniki do walki z przestępczością (elektroniczny sprzęt do podsłuchu, laserowe czujniki itp.), jednak Reinhart odmówił najuprzejmiej, jak potrafił.

Wrócił do hotelu około północy. Winnifred przesłała mu faksem rys dłoni Joanny oraz wiadomość o tym, że mają do dyspozycji dom profesora Gentza-Hilliersa w Limbuijs na czternaście dni, począwszy od dwudziestego siódmego.

Wetknął wydruk z faksu pod poduszkę i zasnął, nie zadzwoniwszy do domu.

Kiedy przyszedł do Sunset Parku we wtorek rano, z początku nie rozumiał, co mówi do niego sierżant Pavarotti.

– Skurwiel jest w środku.

– Że co? – zapytał Reinhart.

– No ten bydlak. Jest w domu.

Wskazał ręką za siebie.

– Kto?

– Ten facet, którego szukasz. Bo niby po co tu siedzimy, do cholery?

– Co ty wygadujesz? Co... to znaczy co zrobiłeś? Skąd wiesz, że jest w środku?

– Stąd, że widziałem, jak wchodzi, oczywiście. Kwadrans temu. Przyszedł od strony Piątej Alei. Pewnie dojechał linią R do Czterdziestej Piątej. Minął mnie, wszedł po schodach, zadzwonił i... no i ona mu otworzyła i wpuściła go do środka. Pięć minut wcześniej chłopak poszedł do szkoły. Więc teraz on i ona są w środku.

– *Jesusfuckingchrist* – odparł Reinhart, żeby pokazać, że rozumie wagę sytuacji. – Jakie kroki podjąłeś?

– Zgodnie z rozkazem, ma się rozumieć – prychnął Pavarotti. – Zadzwoń do Bloomguarda. Jedzie tu z posiłkami. Lada moment powinni być.

Reinhart miał wrażenie, że właśnie obudził się z trzydniowego letargu.

– Dobrze – powiedział. – Bardzo dobrze, do cholery.

– To będzie prosta akcja – stwierdził Bloomguard po przyjeździe. – Nie możemy jednak ryzykować. Dwóch ludzi idzie na tyły domu. Dwóch zabezpiecza ulicę i okna na froncie. Dwóch podchodzi do drzwi i dzwoni... czyli ja i komisarz Reinhart. Nie mamy powodu, by przypuszczać, że facet jest uzbrojony, ale i tak działamy rutynowo.

Rutynowo? – zdziwił się Reinhart.

W dwie minuty cała grupa była na swoich miejscach. Pavarotti został w wozie z telefonem w jednej ręce i bronią w drugiej. Na znak Bloomguarda Reinhart wszedł po ośmiu stopniach i nacisnął dzwonek. Bloomguard kroczył dwanaście centymetrów za nim. Drzwi otworzyła pani Ponczak.

– Tak? – zapytała zdziwiona.

W ciągu trzech sekund do środka wpadło czterech ludzi. Sierżanci Stiffle i Johnson zajęli się piętrem, Bloomguard i Reinhart wbiegli do

salonu i kuchni na parterze.

Siedział właśnie w kuchni.

Kiedy Reinhart go zobaczył, facet właśnie lekko obrócił się na krześle i dojrzał dwóch rosyłych policjantów stojących na tarasie i mierzących do niego z waltherów kaliber 7,6. Bloomguard stał ramię w ramię z Reinhartem i też trzymał faceta na muszce.

Reinhart schował broń do kabury i odchrząknął.

– Doktorze Clausen – powiedziała. – Mam wątpliwą przyjemność aresztować pana za zabójstwo Ericha Van Veeterena oraz Very Miller. – Ma pan prawo milczeć, wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu.

Clausen się skulił, ale nieznacznie. Odstawił kubek z kawą, który trzymał w ręku. Z kamienną twarzą spojrzał na Reinharta. Jego ciemna twarz wyglądała na zaniedbaną. Kilkudniowy zarost, cienie pod oczami. Widocznie źle sypia, pomyślał Reinhart. Nic dziwnego.

W jego twarzy było jednak coś więcej; zupełnie nowy wyraz. Jakby dopiero co się na niej znalazł. Wyraz ulgi.

Niewykluczone. Pewnie tak się właśnie czuł.

– Keller – powiedział słabym głosem, niemal szeptem. – Zapomniał pan o Kellerze. Jego też zabiłem.

– Tak podejrzewaliśmy – odparł Reinhart.

– Przykro mi.

Reinhart nie odpowiedział.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego, ale się cieszę, że zabiłem Kellera.

Reinhart pokiwał głową.

– Resztę omówimy na komendzie. Wyprowadzić go.

Odkąd wtargnęli do domu, pani Ponczak nie odezwała się słowem, milczała też, kiedy wyprowadzano jej brata. Reinhart minął ją w przedpokoju jako ostatni. Przystanął na chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Proszę wybaczyć najście. – Tylko tyle przyszło mu do głowy. – Odezwiemy się do pani.

Skinęła i zamknęła za nim drzwi.

Przesłuchiwał Pietera Clausena przez trzy godziny w błękitnym pokoju na 22. posterunku policji. Nagrywał wszystko na taśmę, jednak protokół pisemny miał być wydrukowany i podpisany później, ze względu na kwestie językowe. Kiedy skończył, zostawił Clausena w strzeżonej celi i poszedł do pokoju Bloomguarda, skąd zadzwonił do Maardam. Po chwili połączył się z Moreno.

– Przylatuję z nim jutro wieczorem – wyjaśnił. – Przyznał się do wszystkiego. Chyba cieszy się, że to już koniec.

– A jak to było z Kellerem? – zapytała.

Reinhart wziął głęboki oddech i zaczął wyjaśniać.

– Zabił go. Zorientował się, że to on... Zaczaił się i po prostu zabił. Właściwie w ten sam sposób co Ericha i Verę Miller. I to tuż pod domem na Boorkhejm, w samym sercu osiedla, ale ponieważ była późna noc, nikt nic nie widział... Uderzył, kiedy Keller wybierał się odebrać pieniądze. Jeśli czegoś nie żałuje, to tego, że wykończył Kellera. Twierdzi, że Keller musiał wiedzieć, że Clausen go namierzył – tego wieczoru był uzbrojony w duży nóż. Jednak Clausen był szybszy. A potem zabrał go do samochodu, wywiózł do Linzhuisen i pochował w lesie. Opisał mi to miejsce, ale chyba nic się nie stanie, jeśli Keller poleży tam kilka dni dłużej.

– Z pewnością – odparła Moreno. – Ziemia jest zmarznięta, więc ciało się zachowa. Zaczyna się tutaj zima. A w jaki sposób zamienił się z nim rolami?

– Całkiem prosto. Zanim go pochował, zabrał mu klucze i portfel. Wrócił na Boorkhejm, wszedł do mieszkania Kellera i... cóż, można powiedzieć, że ukradł mu tożsamość. Byli do siebie dość podobni, właśnie to wpadło w oko Van Veeterenowi; zresztą kto, do cholery, wygląda jak na zdjęciu w paszporcie? W piątek zamówił telefonicznie bilet do Nowego Jorku, w porze lunchu wziął skuter i pojechał na Sechshafen. Spędził noc w hotelu obok lotniska, a potem wyleciał. Bez problemu przeszedł kontrolę paszportową. Przydzielana z automatu dwumiesięczna wiza turystyczna i biały kolor skóry rozwiązują wszystkie problemy, jak sądzę. Wynajął pokój w hotelu na Lower East, o tym zresztą już wiesz. Jednak przeniósł się po jednej nocy. Wynajął za to małe mieszkanie w rosyjskiej okolicy na Coney Island.

Wcześniej wpadło mu w oko ogłoszenie wywieszane w witrynie sklepowej. Nie rozumiem, dlaczego nie załatwił sobie czegoś lepszego, miał przecież dość pieniędzy. W każdym razie nie było tak dobrze, jak mu się wydawało.

– Został sam na sam z własnym sumieniem?

– Prawdopodobnie tak. Skontaktował się z siostrą i powiedział, że ma problemy. To było, zanim ją odwiedziłem. Zadzwoiła go ostrzec, ale nie wiedziała do końca, kim jestem, a on nie wytrzymał już dłużej samotności. Nie powiedział jej, co zrobił, tylko że jest w tarapatach. Przyszedł z wizytą, sądząc, że teren jest już czysty... a nie był. Facet musiał czuć się cholernie osamotniony. Im więcej ludzi mieszka w mieście, tym łatwiej o samotność. Poza tym chyba naszprycował się lekami, tylko dzięki temu jako tako dawał radę. Dopiero teraz dociera do niego, że zabił cztery osoby.

– Zatem wkrótce się załamie? – zapytała Moreno.

– Tak sądzę. Resztę omówimy, kiedy wrócę. Aha, możesz porozmawiać z *komisarzem*? Przyjeżdżam z Clausenem jutro wieczorem... lepiej, żeby *komisarz* powiedział, jak sobie to wyobraża. Jak sądzisz?

– Zgoda – odparła Moreno. – Będzie miał ostatnią rundę, tak jak chciał.

– Na to wygląda. No dobra, *over and out*.

– Na razie.

W środę rano znów padało. W samochodzie jadącym na lotnisko JFK było ich czterech; Bloomguard i Reinhart siedzieli z przodu, Clausen i potężny ciemnoskóry policjant, niejaki Whitefoot – z tyłu, skuci kajdankami, do których klucz Whitefoot miał w kieszeni. Reinhart miał zapasowy w portfelu. Było czuć, że zbliżają się święta. Dojazd na lotnisko zajął im tylko nieco ponad pół godziny, ale w międzyczasie w radiu dwukrotnie leciało *White Christmas*, a *Jinglebells* – trzykrotnie. Reinhart poczuł, że tęskni za domem.

– Miło było cię poznać – powiedział Bloomguard, kiedy stali przed punktem kontroli bezpieczeństwa. – Planujemy podróż do Europy gdzieś za trzy–cztery lata. Ja i Veronique. No i oczywiście Quincey też. Może spotkamy się na kawę? W Paryżu albo w Kopenhadze lub



gdzieś indziej?

– *Sure* – odparł Reinhart. – Można i tu, i tu. Masz mój numer.

Uścisnęli sobie dłonie i Bloomguard wyszedł z hali odlotów. Clausen, odkąd go znaleźli, z każdą godziną był coraz bardziej nie do życia, tak więc Whitefoot musiał niemal zawlec go na pokład samolotu. W głębi ducha Reinhart był wdzięczny, że to nie on musi spędzić siedmiogodzinny lot skuty kajdankami z mordercą. Wprawdzie zaproponował, że sam dostarczy doktora do kraju, ale nie było mowy, by ktoś na to przystał. Whitefoot odbywał podobne podróże już wcześniej, wiedział więc co i jak. Bez gadania usadził Clausena pod oknem, sam usiadł obok, a zewnętrzne siedzenie zostawił Reinhartowi. Wyjaśnił Clausenowi, że zgadza się na jedno wyjście do toalety, nie więcej, oraz że doktor może uznać swoją prawą rękę za amputowaną. Wszelkie czynności – jedzenie, kartkowanie książki i gazety czy dłubanie w nosie – miał wykonywać lewą. To żaden wyczyn, dodał Whitefoot, bo czasu jest w cholere.

Tak, Reinhart był zadowolony. Czytał dalej Ellroya, jadł i słuchał muzyki, a o 22.30 lokalnego czasu wylądowali na Sechshafen, w pokrytej mgłą Europie. Whitefoot się pożegnał. Miał pokój zarezerwowany na jedną noc w hotelu przy lotnisku. Clausena przekazał w ręce Reinharta, Moreno, Rootha oraz Junga i życzył im wesołych świąt.

– Aż troje? – zdziwił się Reinhart. – Nie musieliście tu wszyscy przyjeżdżać, do cholery.

– DeBries i Bollmert czekają w samochodach – wyjaśniła Moreno. Do świąt został jeszcze dzień.

Reinhart nie zarządził zebrania, niczego innego zresztą też nie.

Mimo to cały kwartet czekał w jego pokoju o dziesiątej następnego dnia, czyli w czwartek 24 grudnia. W wigilijne przedpołudnie. Moreno i Jung przysiedli na parapetach, próbowali jednak nie spoglądać na deszcz, który zaczął padać wcześniej rano, szybko zmywając nikłe marzenia o białych świętach. Szaro, mokro i wietrznie – miasto wróciło do swojego motywu przewodniego.

Nieco dalej od deszczu, przy biurku, pólżąc, tkwił Reinhart. DeBries i Rooth przysiedli na krzesłach ustawionych po dwóch stronach gwiazdy betlejemskiej, którą ktoś (prawdopodobnie panna Katz na osobiste polecenie komendanta) ozdobił pokój.

– No to statek wpłynął do portu – stwierdził Reinhart. – Niezły *timing*, muszę przyznać.

Tytoń w jego fajce wreszcie się zapalił i chmura dymu przysłoniła zarówno gwiazdę betlejemską, jak i deBriesa.

– No doprawdy – dodał Reinhart.

– O której przychodzi? – zapytał Jung.

Moreno spojrzała na zegarek.

– Przed południem – powiedziała. – Nie chciał powiedzieć dokładnie. Chyba nie powinniśmy wyznaczać mu konkretnej pory z uwagi na... na wszystko.

Reinhart pokiwał głową i nieco się wyprostował.

– Cóż, w tym przypadku wyjątkowo nie mamy się czym chwalić – zauważył, obrzucając wzrokiem wszystkich po kolei. – Skoro już i tak tutaj jesteście, to może warto zrobić podsumowanie... to znaczy zanim przyjdzie ta chwila.

– Zanim przyjdzie ta chwila – powtórzył Rooth. – O rany.

– To zabójstwo syna *komisarza* było punktem wyjścia tej sprawy –

stwierdził Reinhart. – I to właśnie *komisarz* ma największe zasługi, jeśli chodzi o jej rozwiązanie. Nie da się temu zaprzeczyć. To on natrafił na motyw szantażu, przekazał nam nazwisko Kellera i podejrzewał, że to Clausen uciekł do Nowego Jorku. Nie pytajcie mnie, skąd, na Boga, to wszystko wiedział. Na ten ostatni pomysł wpadł, grając w szachy. Tak twierdzi.

– Znaleźli już Kellera? – zapytał deBries.

Reinhart pokiwał głową.

– Le Houde ruszył w teren ze swoją ekipą. Wykopali go dziś rano. Clausen nie musiał z nimi jechać, wystarczyła mapa i opis. Cóż, na jego prawdziwy pogrzeb pewnie nie przyjdą tłumy. Chyba nikt nie opłakuje Arona Kellera.

– A to ciekawe – wtrąciła Moreno.

– A doktorek? Jak się miewa sam zabójca? – zapytał Rooth. – Radosny jak skowronek?

Reinhart przez chwilę palił w milczeniu.

– Sam nie wiem – odparł. – Myślę, że długo nie wytrzyma. A co będzie, kiedy spotka się z... doprawdy nie mam pojęcia. Obiecałem, że zostawimy ich sam na sam. Mam tylko nadzieję, że nie skończy się to katastrofą.

Rozległ się sygnał telefonu. Dzwonił Joensuu z portierni.

– Już tu jest – oznajmił uroczystym tonem. – Pan *komisarz* przyszedł.

Było słyhać, że stoi na baczność.

– No dobrze – odpowiedział Reinhart. – Poproś Krausego, żeby zszedł z nim do aresztu. Ja będę tam za minutę.

Odłożył słuchawkę i rozejrzał się.

– No to jedziemy – powiedział i wstał. – Komisarz Van Veeteren właśnie przyszedł, żeby przesłuchać zabójcę swojego syna. No więc na co czekacie, do cholery?

Pokój był kwadratowy i miał bladozielone ściany. Proste umeblowanie: stół z dwoma metalowymi krzesłami, dwa dodatkowe krzesła pod ścianą. Żadnych okien. Jarzeniówka pod sufitem sprawiedliwie oświetlała klinicznym światłem każdy centymetr kwadratowy.

Żadnej popielniczki na stole. Tylko karafka z wodą i plastikowe kubki.

Kiedy Van Veeteren wszedł, Clausen już był na miejscu. Siedział przy stole z rękami splecionymi na kolanach, wzrok miał spuszczonej. Prosta biała koszula, ciemne spodnie. Siedział bez ruchu już od jakiegoś czasu. *Komisarz* przez chwilę obserwował go przez wizjer, dopiero potem dał znak Krausemu i Reinhartowi, żeby go wpuścili.

Odsunął krzesło i usiadł przy stole. Clausen nie podniósł wzroku, ale Van Veeteren widział, jak napinają mu się mięśnie szyi i szczęk. Czekał. Splótł ręce w taki sam sposób jak zabójca jego syna i pochylił się nieco nad stołem. Minęło pół minuty.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Clausen przełknął ślinę, ale nie odpowiedział. Van Veeteren widział, jak bieleją mu knykcie, a głowa drga. Kiwała się nieznacznie to w tę, to w drugą stronę, niczym liście przed burzą. Wciąż patrzył w dół.

– Masz mi coś do powiedzenia?

Cisza. Zauważył, że Clausen wstrzymał oddech.

– Za godzinę spotykam się z Elizabeth Felders – powiedział Van Veeteren. – Mamą Wima, którego też zabiłeś. Mam jej coś od ciebie przekazać?

Czekał. Cieszę się, że nie mam broni, pomyślał.

W końcu Clausen wziął głęboki oddech i podniósł wzrok. Ich spojrzenia się spotkały. Patrzył na Van Veeterena oczami, które jakby chciały zapaść się w głowę.

– Musi pan wiedzieć... – zaczął, ale głos mu się załamał. Odkaszlnął kilka razy i zamrugał. Spróbował jeszcze raz.

– Musi pan wiedzieć, że jeszcze dwa miesiące temu byłem normalnym człowiekiem... zupełnie normalnym. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Odbiorę sobie życie, kiedy tylko nadarzy się ku temu okazja. Kiedy tylko nadarzy się okazja...

Zamilkł. Van Veeteren przez pięć sekund wpatrywał się w jego martwe oczy. Poczuł, że coś się z nim dzieje. Miał wrażenie, że wszystko wokół stołu nagle zaczyna się kurczyć, że powoli, acz nieuchronnie zapada się w mroczny wir. Że coś go wciąga, że nie ma odwrotu. Za-

cisnął mocno powieki i odchylił się do tyłu.

– Powodzenia – powiedział. – Nie zwlekaj z tym zbyt długo, w przeciwnym razie tu wrócę i ci przypomnę.

Siedział tam jeszcze kilka minut. Clausen znów zapatrzył się na swoje dłonie, nadal się trząsł. Klimatyzacja szumiała. Kilka razy coś pstryknęło w jarzeniówce. Poza tym nic się nie działo.

W końcu Van Veeteren wstał. Dał znak, żeby go wypuścili, i wyszedł z pokoju.

Nie zamienił ani słowa, ani z Reinhartem, ani z nikim innym. Skierował się prosto do wyjścia, rozłożył parasol i ruszył w miasto.

---

<sup>1</sup> Niedziela Wieczności – ostatnia niedziela w roku liturgicznym w części Kościołów protestanckich. Święto zogniskowane jest wokół rozmyślań nad sensem ludzkiego przemijania, nadzieją zmartwychwstania umarłych i zbliżaniem się Sądu Ostatecznego (przyp. red.).

==bgw0ADQHMQhpWm0OOg9qWThbbQ8+Wz0ONwRIA2BTMAg=

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

[I](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[II](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

11

12

III

13

14

15

16

17

IV

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

V

29



30

31

32

33

34

35

VI

36

37

38

39

Przypisy